NA TROPIE FAŁSZU

IPN odsłania manipulacje dotyczące udziału Polaków w zagładzie Żydów

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 7/310 11–17 LUTEGO 2019

Piotr Semka żegna premiera Jana Olszewskiego – człowieka, który mógł patrzeć prosto w oczy

Warzecha wróży jesień Wiośnie Biedronia

Łysiak przy okazji walentynek

TOTALNA OPOZYCJA KONTRA KATOLICY

Kościół skazany na PiS?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 07 >

Nakład: 79 tys. egzemplarzy

eprasa.pl 3ed46125cf

Pracownicze Plany Kapitałowe

Oszczędzaj na bezpieczną przyszłość ze swoim Pracodawcą i Państwem

Pracownik

Ty **2%** + dobrowolna składka do **2%**

+

Pracodawca

Składka **1,5%** + dobrowolnie dodatkowo do **2,5%**

+

Państwo

250 zł na dobry początek + **240 zł** rocznie

Pracownicze Plany Kapitałowe

W sumie się opłaca

- Proste i wygodne oszczędzanie na przyszłość
- Środki w pełni prywatne i dziedziczone
- Do każdej wpłaconej złotówki dokładają się Pracodawca i Państwo

www.mojePPK.pl

PFR Polski Fundusz Rozwoju

Ministerstwo Finansów

KANCELARIA PREZESA RADY MINISTRÓW

eprasa.pl 3ed46125cf

Wiosenna medialna alchemia

PAWEŁ LISICKI

Niebywała jest zdolność kreowania przez media. Potrafią robić to, co było przed wiekami marzeniem alchemików: z tego, czego nie ma, stwarzać to, co jest, z pustego przelewać w pełne, ze starego czynić nowe, ze szmelcu złoto. Ostatnim przykładem tych zdolności jest wytworzenie symulakrum w postaci partii Roberta Biedronia. Wszystko w niej jest sztuczne, banalne i fałszywe, a mimo to, najwyraźniej, pokazywane jest jako nowe i oryginalne.

Pierwszą i najważniejszą rzeczą, która charakteryzuje nowy ruch, jest absolutna miałkość programowa. W tym, co zaprezentowano w niedzielę na Torwarze w Warszawie, nie ma nic zaskakującego. Są tam stare, wyświechtane postulaty lewicy, głoszone od lat przez SLD, Janusza Palikota (od kiedy porzucił przynależność do pokolenia JPII), potem Barbarę Nowacką, Razem, Nowoczesną. Musiał tam być, jakżeby inaczej, postulat aborcji na życzenie do 12. tygodnia życia dziecka – pytanie tylko, dlaczego to roszczenie aż tak konserwatywne. Towarzysze lewicowi z USA, z Nowego Jorku i Wirginii pokazali, na czym polega prawdziwy radykalizm, wprowadzając swobodę aborcji do chwili porodu.

Podobnie wyglądają i inne hasła polskiego celebrytopolityka. Dlaczego zamiast likwidować klauzulę sumienia, nie zażądał likwidacji sumienia? Tu przynajmniej wyszedłby przed szereg. Tak samo nie wiadomo, w jaki sposób mógłby, nawet gdyby wygrał wybory, na co na szczęście się na razie nie zanosi, renegocjować konkordat? Biedroń korzysta z powszechnego w polskich (i ogólnie liberalnych) mediach prawa do atakowania Kościoła jako rzekomo największego wroga wolności. Ale znowu: nie ma tu ani jednej świeżej, nowej, prawdziwie radykalnej myśli. Tylko opodatkowanie tacy i zniesienie funduszu kościelnego. Nawet pole, na którym, jak można było sądzić, Biedroń błyśnie śmiałym konceptem, a więc relacje męsko-męskie i żeńsko-żeńskie, zostało ograniczone do legalizacji związków partnerskich.

Tak samo trudno nie dostrzec, że zarówno sam lider nowej formacji, jak i jego najbliżsi współpracownicy to w żadnej mierze nie są nowicjusze. Chciałoby się powiedzieć, że zęby na polityce zjedli. Jedni, tak jak Biedroń, terminowali u Janusza Palikota, drudzy, tak jak Krzysztof Gawkowski, sekretarz generalny, w SLD. Jedyne, co w tym wszystkim nowe, to lukier i pic. O, to właśnie potrafią dać media, o to zadbać, to wprowadzić. Skoro cała Europa, ba, świat cały czekają na polskiego Trudeau czy polskiego Macrona, to trzeba im to dać. Wielcy macherzy medialni dawno już zrozumieli, że treść praktycznie się nie liczy: to przekaz jest treścią, a przekaz jest taki, jakim się go stworzy. Dlatego skoro Biedroń ma być nowy, czarujący, pomysłowy, śmiały, rzutki, błyskotliwy i nowoczesny, chociaż jest banalny, powierzchowny, ograniczony i małomiasteczkowy, to się go takim zrobi. Jedyne, co naprawdę mnie w tej historii nieodmiennie dziwi, to to, że wciąż znajdują się naiwni, którzy takie rzeczy kupują. A może to dziwić nie powinno, bo może to jest właśnie podstawowa zdolność człowieka: gotowość do samooszukiwania się?

Jedyne, co jest naprawdę nowe w ugrupowaniu Biedronia, to nazwa. Ale i ta nowość to tylko przeniesienie na polski grunt doświadczeń innych „nowych" partii, choćby Ruchu Pięciu Gwiazd z Włoch czy Partii Piratów z Czech. Można być jedynie pewnym, że zanim nazwa powstała, to tak jak w przypadku każdego produktu marketingowego została zapewne poddana badaniu i pewnie wyszło z niego, że wiosna kojarzy się pozytywnie.

Na szczęście jak to w życiu bywa, nie nad wszystkim da się zapanować i raz po raz Biedroń, uwolniony spod kurateli czujnych specjalistów od wizerunku, daje upust swemu rozumkowi i targającym nim wciąż emocjom. Wtedy jest naprawdę autentyczny i naprawdę jest sobą. Nie wtedy, kiedy próbuje opowiadać o wielkiej polityce, ale gdy schodząc ze sceny ze spotkania z wyborcami w Poznaniu, wołał: „Wiosno, napierdzielaj". Tak, to jest właśnie ta jedyna nowa i autentyczna nuta, której, mam nadzieję, nie zabraknie w kolejnych wystąpieniach nowej nadziei lewicy. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 3ed46125cf

TEMAT TYGODNIA

16 PIOTR SEMKA
MIĘDZY MŁOTEM POLITYKI A KOWADŁEM LAICYZACJI
Totalna opozycja kontra katolicy

6 PIOTR SEMKA
CZŁOWIEK, KTÓRY MÓGŁ PATRZEĆ PROSTO W OCZY
Jan Olszewski (1930–2019)

KRAJ

22 ŁUKASZ WARZECHA
WIOSNA CELEBRYTY
Skrajnie lewicowa partia Biedronia

24 WOJCIECH WYBRANOWSKI
WYBORY PO TRAGEDII

26 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
PRZYPADKI STEFANA NIESIOŁOWSKIEGO

raport DO RZECZY

28 MACIEJ PIECZYŃSKI
NARZĘDZIE OSKARŻANIA

30 KRZYSZTOF MASŁOŃ
MANIPULOWANIE ZBRODNIĄ

KULTURA

34 WIESŁAW CHEŁMINIAK
ADAM WRÓCIŁ DO DOMU
Wystawa „Litwo, Ojczyzno moja…"

38 ROZMOWA Z DOROTĄ RABCZEWSKĄ „DODĄ"
MUSI BYĆ NA BOGATO

40 PIOTR GOCIEK
W DRODZE DO NORMALNOŚCI

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 TOMASZ GABIŚ
NIEMCY ZNIKNĄ
Prawdziwe skutki masowej imigracji

52 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
POWRÓT WOLI

CYWILIZACJA

54 WALDEMAR ŁYSIAK
NIMFETKI
Pikantnie na dzień zakochanych

HISTORIA

62 RADOSŁAW WOJTAS
STRAŻNICY URANU
Sowieckie bazy atomowe w Polsce

64 MARCIN MAKOWSKI
KRÓTKIE SPIĘCIE?

ŚWIAT

74 JACEK PRZYBYLSKI
„POSTĘPOWE" DZIECIOBÓJSTWO
Lewicowa cywilizacja śmierci

78 KRYSTIAN KRATIUK
IDŹCIE I NAUCZAJCIE… PLURALIZMU RELIGII

80 TERESA STYLIŃSKA
WIDMA IRLANDZKIEJ PRZESZŁOŚCI

EKONOMIA

82 ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM JAGIEŁŁĄ
WYCHODZIMY POZA ŚWIAT FINANSÓW
100 lat PKO BP – największego banku w Polsce

86 TOMASZ TELUK
TAKI MAMY KLIMAT

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
STRATEGIA NA RAKA
Nowoczesne leczenie onkologiczne

FELIETONY:
ZIEMKIEWICZ (9), SEMKA, WYBRANOWSKI (11), GMYZ, GOCIEK (12), KOWALCZUK (13), ZALEWSKI, WOLSKI (61), ZYCHOWICZ, KOPER (73), WARZECHA (77), GABRYEL, RYBIŃSKI (88), KOMUDA (92), POLAK-PAŁKIEWICZ (96), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 3ed46125cf

MINISTERSTWO
EDUKACJI
NARODOWEJ

Szanowni Rodzice i Opiekunowie,

zdajemy sobie sprawę z kluczowej roli i znaczenia nauczycieli w procesie edukacji Państwa dzieci, dlatego staramy się podnosić rangę i prestiż tego zawodu. Po raz pierwszy od 2012 roku, w tak krótkim czasie (w ciągu 17 miesięcy), zwiększamy wynagrodzenie tej grupy zawodowej. To jedno z priorytetowych działań Ministerstwa Edukacji Narodowej. Nauczyciele będą zarabiali więcej. Ich wynagrodzenia zasadnicze wzrosną – w zależności od stopnia awansu zawodowego – **od 371 zł do 508 zł**. Przełoży się to na zwiększenie wynagrodzenia średniego **od 444 zł do 818 zł**.

Pensje nauczycielskie zostaną podniesione o **16,1 proc.** Zagwarantowaliśmy na to pieniądze w subwencji oświatowej.

Oprócz podwyżek zaproponowaliśmy także dodatki za wyróżniającą pracę, która docelowo przełoży się na lepszą jakość pracy szkoły. Pomyśleliśmy również o młodych nauczycielach, z najkrótszym stażem. Od września 2019 roku – podobnie jak w przypadku wyprawki 300 zł na ucznia – będą oni otrzymywali przez dwa kolejne lata pracy 1 000 zł „na start". Warto wspomnieć również o płatnych godzinach za zajęcia rozwijające zainteresowania Państwa dzieci. To istotne zmiany, które są odpowiedzią na potrzeby uczniów i oczekiwania rodziców.

Myśląc o każdym dziecku, chcemy zapewnić wysoką jakość nauczania. Dbamy o wyposażenie i bezpieczne otoczenie szkół. Wprowadzamy **szerokopasmowy internet** oraz **naukę programowania** już od najmłodszych lat. Chcemy, aby każda sala lekcyjna była wyposażona w nowoczesną **tablicę multimedialną**. Szkoła zmienia się, bo inne są oczekiwania naszych dzieci i inne są wyzwania, z jakimi mierzą się każdego dnia.

Wiosną część uczniów przystąpi do egzaminów i będzie decydowała o wyborze dalszej ścieżki kształcenia. To ważny czas nie tylko dla dzieci. To ważny czas również dla rodziców, opiekunów i nauczycieli. Wierzymy, że egzaminy przebiegną w przyjaznej i spokojnej atmosferze, która umożliwi uczniom osiągnięcie jak najlepszych wyników.

W tym roku do **oddzielnej rekrutacji** do szkół ponadpodstawowych i ponadgimnazjalnych przystąpią absolwenci szkół podstawowych oraz uczniowie ostatnich klas oddziałów gimnazjalnych. Informacje o zasadach naboru można uzyskać u nauczycieli i dyrektorów, a także kuratorów oświaty. Szkoły zapewnią miejsce wszystkim absolwentom. Są na to przygotowane. Warto zaznaczyć, że młodzież może wybrać z bogatej oferty szkół ponadpodstawowych i ponadgimnazjalnych. Czekają na nią miejsca w szkołach branżowych, technikach oraz liceach ogólnokształcących. Wspólnie z dziećmi zastanówcie się nad wyborem najlepszej ścieżki kształcenia. Życzę powodzenia na egzaminach i podczas rekrutacji!

Z wyrazami szacunku

Anna Zalewska
Minister Edukacji Narodowej

eprasa.pl 3ed46125cf

Piotr Semka

Premier Jan Olszewski był człowiekiem wartości i takim zapamiętają go Polacy

Jan Olszewski przemawia w Sejmie w nocy z 4 na 5 czerwca 1992 r.

FOT. TOMASZ WIERZEJSKI/FOTONOVA

Człowiek, który mógł patrzeć prosto w oczy

W zbiorowej pamięci najsilniej pozostanie zmarły właśnie Jan Olszewski w dramatycznej scenie w Sejmie 5 czerwca 1992 r. tuż po północy. Wyprostowany, choć wyraźnie zmęczony wydarzeniami dnia, przemawia do sali, w której po lewej stronie panuje atmosfera politycznego linczu. Sali, w której jeden z posłów Unii Demokratycznej w arogancki sposób krzyczy z tylnych ław: „Cyganisz". Wtedy było to szokujące, dziś staje się niestety normalnym elementem sejmowych debat.

Olszewski wyraźnie zaznacza, że jego rząd nie składa rezygnacji, i mówi ważne słowa: „Czynię tak w przekonaniu, że od dzisiaj stawką w tej grze jest coś innego niż tylko kwestia, jaki rząd będzie w Polsce wykonywał ten budżet do końca roku. Że w grze jest coś więcej, że w grze jest pewien obraz Polski, jaka ona ma być". I na koniec wypowiada słowa, które wielu Polaków zapamiętało na zawsze. „Chciałbym [...] że wtedy, kiedy się to wreszcie skończy – będę mógł wyjść na ulice tego miasta, wyjść i popatrzeć ludziom w oczy".

Czas bardzo brutalnie zweryfikował te słowa w stosunku do wielu świetlanych postaci, które wówczas oburzały się na lustrację. W wielu przypadkach wyszło na jaw, że za ich ówczesnymi podniosłymi słowami o zagrożeniu państwa stała bardzo banalna obawa o ujawnienie grzechów z przeszłości zamkniętych w archiwach SB. A Jan Olszewski przez kolejne ponad 26 lat mógł patrzeć innym prosto w oczy.

CHŁOPAK WITAJĄCY MIKOŁAJCZYKA

Jan Olszewski, rocznik 1930. Z tej generacji wywodzili się najmłodsi uczestnicy wielkiego i skomplikowanego tworu, jakim było Polskie Państwo Podziemne. On trafił do „Szarych Szeregów". Po wojnie jego pokolenie przeżyło potworny szok. W zamian za odwagę i solidarność społeczeństwa w czasie niemieckiej okupacji jednego okupanta zastąpił drugi, sowiecki. W czerwcu 1945 r. młody Janek Olszewski wita na lotnisku Okęcie wracającego z Londynu Stanisława Mikołajczyka, przywódcę PSL. Jak wspominał po latach: „Rok 1945, lato, przyjazd Mikołajczyka to był czas, który rozbudził nadzieje. [...] Nigdy później nie widziałem Warszawy tak entuzjastycznie demonstrującej swoje poparcie, tak bardzo radosnej, jak w dniu przyjazdu Mikołajczyka. [...] Pojawiło się przekonanie, że nie zostaliśmy całkiem opuszczeni, skoro przyjeżdża stamtąd polski premier i w dodatku przyjeżdża – tak powszechnie sądzono – z jakimiś gwarancjami od naszych sojuszników. [...] Po raz drugi widziałem Warszawę w podobnych okolicznościach wiele lat później, kiedy w 1979 r. po raz pierwszy pielgrzymował do ojczyzny Jan Paweł II".

Olszewski był wśród tej młodzieży, która ochotniczo pilnowała lokalu PSL i drukarni jedynego wówczas opozycyjnego dziennika „Gazety Ludowej" przed napadami bojówek UB i PPR.

To pokolenie, które oglądało zmiażdżenie polskich nadziei, musiało znaleźć drogę do jakiegoś sensownego stawiania oporu w warunkach totalnej inwigilacji. Olszewski skorzystał z pierwszej możliwej okazji. Wszedł do redakcji „Po Prostu" i starał się w niej o oddanie sprawiedliwości żołnierzom AK. Do zespołu, który był zdominowany przez reformują-

eprasa.pl 3ed46125cf

cych się ZMP-owców, wniósł wrażliwość młodszych braci pokolenia AK-owskiego. Druk artykułu „Na spotkanie ludziom z AK", którego był współautorem, wywołał lawinę. Do redakcji „Po Prostu" przy ul. Wiejskiej zaczęli przyjeżdżać ludzie, którzy chcieli opowiedzieć o tym, jak torturowano ich na UB. Październikowa odwilż 1956 r. nie trwała długo. Zespół „Po Prostu" rozpędzono, a Olszewski znalazł miejsce dla swych opozycyjnych poglądów w Klubie Krzywego Koła. Było to dziwne miejsce, stykali się tu ludzie chcący w jakiś sposób chronić tradycje niezależnej myśli i ci wierni nurtom wolnomularskim lub utrzymujący kontakty z władzą. Dużego wyboru jednak nie było.

OBROŃCA NA CZARNĄ GODZINĘ

Od połowy lat 60. Jan Olszewski angażuje się w obronę ludzi sądzonych z powodów politycznych. Broni m.in. Melchiora Wańkowicza, Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego, Janusza Szpotańskiego oraz Adama Michnika. Prowadzi wiele spraw studentów zatrzymanych w demonstracjach Marca '68 w Warszawie. Z tego powodu zostaje przez komunistyczne władze zawieszony w prawie wykonywania zawodu. Już wtedy zyskuje ogromny autorytet w środowisku intelektualnym Warszawy jako człowiek o nieposzlakowanej uczciwości. W 1975 r. staje się współinicjatorem tzw. Listu czternastu – sprzeciwu wobec planów władz PRL wpisania do konstytucji nienaruszalności sojuszu ze Związkiem Sowieckim. Rok później podpisuje oświadczenie w obronie robotników Ursusa i Radomia. Nie wszedł do grona założycieli KOR tylko dlatego, że proszono go, by pozostał w pogotowiu na wypadek procesów założycieli Komitetu. Wchodzi do Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, które od 1976 r. rozpoczyna tworzenie intelektualnej bazy do starań o suwerenność Polski. Najbardziej jednak z tego czasu zapamiętano go za napisanie małej książeczki: „Obywatel a SB". Sam jako licealista studiowałem te niezwykle praktyczne porady i być może dzięki nim nie dałem się zapędzić w kozi róg w czasie pierwszego przesłuchania na SB w 1983 r. Z tego powodu jestem osobiście wdzięczny panu Janowi.

W 1980 r. Olszewski odgrywa znów niesłychanie ważną rolę. Razem z Karolem Modzelewskim przeforsowują jednolity kształt NSZZ „Solidarność". Olszewski świetnie rozumie, że Solidarność podzielona na poszczególne branże czy struktury zakładowe będzie łatwa do rozbicia i skłócenia. W stanie wojennym był obrońcą Lecha Wałęsy, Zbigniewa Romaszewskiego i Zbigniewa Bujaka. Ogromną popularność zyska, pełniąc funkcję oskarżyciela posiłkowego w procesie zabójców ks. Jerzego Popiełuszki. W 1989 r. znów objawia niezależność myślenia. Staje się jednym z najważniejszych działaczy Ruchu Komitetów Obywatelskich z Solidarności, które zachowały wierność tradycjom walki z komunizmem.

POLITYK ZASAD

W wielkim sporze Wałęsy i Mazowieckiego staje po stronie ówczesnego lidera Solidarności, wierząc, że ten doprowadzi do ostatecznego przecięcia pępowiny łączącej III RP z PRL. Jego niezależność budzi jednak coraz większą niechęć Wałęsy. Gdy w 1991 r. zostaje premierem, Wałęsa przyjmuje to z dużą niechęcią. Drogi najsłynniejszego elektryka i obozu, który chce zmian – w tym dekomunizacji i lustracji – zaczynają się szybko rozchodzić. Olszewski jako premier sprzeciwia się pomysłowi Jarosława Kaczyńskiego, aby stworzyć rząd partii prawicowych z Unią Demokratyczną. Po latach widać, że to on miał rację. Alians z partią Geremka i Balcerowicza absolutnie ubezwłasnowolni w późniejszych latach Akcję Wyborczą Solidarność z premierem Jerzym Buzkiem. Jednak odrzucenie Unii Demokratycznej spowodowało, że był to rząd słaby, bez trwałego zaplecza parlamentarnego. Mimo to Olszewski zdecydowanie zadeklarował chęć wejścia do NATO (co było wówczas aktem odwagi). Podjął starania na rzecz wyczyszczenia wojska z nieformalnych wpływów starej sitwy zasiedziałej w Wojskowych Służbach Informacyjnych i sparaliżował plany tworzenia na terenie byłych sowieckich baz wojskowych mieszanych spółek. I wreszcie Olszewski miał odwagę podjąć się realizacji uchwały lustracyjnej. Wtedy wydano na niego wyrok. Szybko powstał sojusz Wałęsy i partii przerażonych wizją lustracji. Rząd obalono w ciągu jednej nocy. Samego Olszewskiego próbowano przedstawić jako nienawistnego furiata, czego haniebną pamiątką pozostanie okładka tygodnika „Wprost" z twarzą premiera i napisem „nienawiść".

Dzisiaj widać wyraźnie, że rząd Olszewskiego był punktem wyjścia do nurtu politycznego, który dziś określa się obozem dobrej zmiany. A jednocześnie Olszewski jawi mi się jako reprezentant ducha przedwojennej Polskiej Partii Socjalistycznej. Nie jest to przypadek, bo urodził się na Pradze w rodzinie o silnych tradycjach sympatii dla partii Stefana Okrzei i Mieczysława Niedziałkowskiego. Po 1989 r. PPS odrodziła się w formie dziwacznej hybrydy, w której aktywni byli Jan Józef Lipski i Piotr Ikonowicz. Olszewski nie chciał wracać do tego starego szyldu i polaryzacja polityczna skierowała go ku prawicy. Zawsze jednak zachowywał wyrazistą wrażliwość społeczną, która spowodowała, że był gorącym przeciwnikiem polityki gospodarczej Leszka Balcerowicza.

Po latach obóz III RP uwielbiał bagatelizować znaczenie jego rządu. Głoszono, że był to rząd słaby, który i tak by upadł. Trudno się z tym zgodzić. Gdyby Olszewski uległ groźbom i porzucił plany lustracyjne, mógłby jeszcze trwać latami na łasce prezydenta Lecha Wałęsy. Tak naprawdę to, czym mógł być rząd Jana Olszewskiego, pokazał potem gabinet Jerzego Buzka.

Olszewski był jednak inny. I dlatego przyjął rolę doradcy prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Doskonale rozumieli się w kwestii konieczności szacunku dla tradycji NSZZ „Solidarność". Obaj mieli świadomość, że są dłużnikami ludzi, którzy w latach 80. zaufali temu ruchowi w imię nadziei na uczciwość w życiu publicznym. Zarówno Olszewski, jak i Lech Kaczyński doskonale wyczuwali znaczenie suwerenności Polski w czasach, gdy zachłystywano się wtapianiem się Polski w Unię Europejską.

Na pewno wiele prawdy jest w tym, że lepiej się sprawdzał w roli adwokata niż polityka. Bywał niezdecydowany, źle znosił atmosferę politycznej gry na haki. Na pewno można by wymienić polityków znacznie sprawniejszych w grach gabinetowych i sejmowych. Jan Olszewski był jednak człowiekiem wartości i to okazało się bezcenne w warunkach politycznego napięcia w czasie nocy z 4 na 5 czerwca 1992 r. Znacznie sprawniejsi od niego działacze opozycji, tacy jak Leszek Moczulski czy Jan Maria Rokita, okazali się w tamtym dramatycznym czasie tanimi politykierami. On wyszedł z sali sejmowej z podniesionym czołem. Zdolny do spojrzenia każdemu odważnie w oczy. I takiego zapamiętają go Polacy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ed46125cf

Z głębokim smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci Pana Premiera

ŚP.

Jana Olszewskiego

znakomitego adwokata,
obrońcy w procesach politycznych,

współtwórcy Komitetu Obrony Robotników i statutu „Solidarności”,

prezesa Rady Ministrów wyłonionej przez pierwszy po wojnie wybrany w pełni demokratycznie Sejm Rzeczypospolitej,

posła na Sejm I, III i IV kadencji,
kawalera Orderu Orła Białego,

doradcy śp. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego,

żołnierza Szarych Szeregów
i uczestnika powstania warszawskiego.

Rzeczpospolita żegna dziś
wybitnego polityka, męża stanu,
dobrego człowieka,
który przez całe życie
szedł drogą służby Niepodległej
i był wszędzie tam,
gdzie ważyły się losy wolności Polaków.

Rodzinie i Bliskim Zmarłego
składam wyrazy
serdecznego współczucia

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzej Duda

Z ogromnym smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci wyjątkowego, wielkiego Człowieka

ŚP.

Jana Olszewskiego

Prezesa Rady Ministrów
w latach 1991 – 1992,

posła na Sejm I, III i IV kadencji,

uczestnika Powstania Warszawskiego,
członka Szarych Szeregów,

niezłomnego działacza
opozycji demokratycznej,

obrońcy w procesach politycznych
w okresie komunizmu,

w latach 2006 – 2010 doradcy
Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego.

Był politykiem wielkiego formatu
i prawdziwym patriotą
o wspaniałym życiorysie.

Rodzinę i Najbliższych Zmarłego

wspieramy w tych trudnych chwilach
i zapewniamy o modlitewnej pamięci.

Marek Kuchciński
Marszałek Sejmu

eprasa.pl 3ed46125cf

KONDOLENCJE

7 lutego 2019 r. odszedł

Jan Olszewski

Wielka postać naszej historii.

Polityk, adwokat, działacz społeczny, obrońca w procesach politycznych w czasach komunizmu.

Premier Rządu wolnej Polski, poseł na Sejm I, III i IV kadencji,

Kawaler Orderu Orła Białego,

harcerz Szarych Szeregów i uczestnik Powstania Warszawskiego, współzałożyciel Komitetu Obrony Robotników, doradca Solidarności,

uczestnik obrad Okrągłego Stołu, doradca prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Był człowiekiem wielkiej odwagi i mądrości.

Był niezłomny i przez całe życie wierny idei niepodległej Polski.

Rzeczpospolita poniosła niepowetowaną stratę.

Cześć Jego pamięci!

Mateusz Morawiecki
Prezes Rady Ministrów
wraz z Radą Ministrów

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Solidarność alternatywna

Opozycja, która sama siebie nazwała „totalną", o tym, „żeby znowu było, jak było", może sobie tylko pomarzyć – ale ma też skromniejszy i nieco bardziej realistyczny „plan B". Można go streścić starym hasłem: Zbudujemy drugą Polskę – „Peolskę". W każdej dziedzinie życia publicznego, w każdym środowisku, jeśli nie jest w stanie zdominować go całkowicie – usiłuje opozycja totalna wykroić i wyizolować swoją domenę, w której będzie mieć tylko ludzi bezwarunkowo jej oddanych.

Opozycja ma swoje media, swoich duchownych... Nic więc dziwnego, że chce mieć też „swój IPN"

Nie ma mowy nie tylko o współpracy, lecz także nawet o koegzystencji z ludźmi o innych poglądach, zapatrywaniach i wrażliwości. Pisałem kiedyś o tym na przykładzie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich – kiedy kandydat „jedynie słuszny" nieznacznie przegrywał wybory na prezesa okręgu, odrzucał demonstracyjnie propozycję zwycięzcy, by wszedł do zarządu jako „wice", wraz z mniejszościową grupą reprezentantów swojej opcji – zamiast tego wszyscy rzucili legitymacjami i założyli swoją organizację dziennikarską, mocno zresztą groteskową.

Opozycja ma swoje media, swoich duchownych i swoich prawników i chce mieć tak wszędzie – pamiętają jeszcze państwo lekarza, który napisał na drzwiach gabinetu, że tu się nie leczy zwolenników PiS? Nic więc dziwnego, że chce mieć też „swój IPN". I tym anty-IPN-em uczyniła instytucję o nazwie Europejskie Centrum Solidarności. Całkowicie zawłaszczony ośrodek propagowania alternatywnej historii najnowszej – takiej, w której Wałęsa nie był nigdy „Bolkiem", Okrągły Stół stanowił „wielkie bezkrwawe zwycięstwo", a nie zamianę politycznych przywilejów nomenklatury na ekonomiczne, no i przede wszystkim – bohaterami walki z komunizmem (a raczej: nienazwanym konkretnie totalitaryzmem) byli tylko ci, którzy dziś są po stronie PO, a ludzi pokroju Walentynowicz, Wyszkowskiego czy Gwiazdy w ogóle nie było.

Cała przepychanka o ECS tu ma swój początek i koniec, i trudno się dziwić Solidarności, że się z tego anty-IPN-u wycofała, jak i rządowi, że nie chce go finansować. Jako pisarz przez wiele lat związany z fantastyką bardzo sobie cenię gatunek zwany historią alternatywną. Ale tylko wtedy, gdy zajmują się jej tworzeniem pisarze. Kiedy robią to politycy, a już zwłaszcza politycy-kombatanci, efekt jest raczej żałosny. ©℗

eprasa.pl 3ed46125cf

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu tylko jeden list. Przypominamy nasz adres e-mailowy: listy@dorzeczy.pl.

„Wszyscy chcą więcej" – Łukasz Warzecha, „DRz" 6/2019

Szanowna Redakcjo, w pełni zgadzam się z diagnozą red. Ł. Warzechy w sprawie społecznej presji płacowej wywieranej obecnie na rząd. [...] Nie kwestionując zrealizowania wielu pożytecznych społecznie programów, polityka płacowa w sferze budżetowej, a właściwie jej brak, jest piętą achillesową obecnego rządu, gdyż opiera się na doraźnym obdarowywaniu grup zawodowych, które mocniej „przycisną" rząd do ściany. Jednak nie ma to nic wspólnego ze społeczną sprawiedliwością, bo jak można mówić o sprawiedliwości, gdy emeryci otrzymują 3,26 proc. waloryzacji (wielu otrzyma tylko 70 zł), nauczyciele ok. 5 proc. podwyżki, a wojsko i najgłośniej protestująca policja oraz inne służby mundurowe aż kilkanaście (655 zł, w tym i 500 zł w przyszłym roku). Nie jest to na pewno sprawiedliwa społecznie dystrybucja finansów państwa wynikająca ze znacznego wzrostu PKB. Sprawiedliwie byłoby podnieść proporcjonalnie wynagrodzenia całej sferze budżetowej np. o 6 proc.

Kolejna kwestia to brak reform emerytalnych, który spowoduje jeszcze większe pogłębienie dysproporcji świadczeń emerytalnych między pracownikami cywilnymi a tzw. mundurówką. Pracownicy cywilni będą bowiem, według wyliczeń ekonomistów, otrzymywać najwyżej 35 proc. świadczenia emerytalnego, funkcjonariusze zaś często 100 albo nawet więcej procent ostatniego wynagrodzenia, gdyż emerytury mają obliczane z ostatniego wynagrodzenia, a istnieje również możliwość podnoszenia dodatku służbowego do 50 proc. wynagrodzenia zasadniczego w ostatnich miesiącach służby, z czego często się korzysta, a co powoduje znaczący wzrost emerytur. Dysproporcje wysokości emerytur między pracownikami cywilnymi a funkcjonariuszami, które już obecnie wynoszą dla cywili: 2179 zł brutto (1806 zł netto), a dla funkcjonariuszy prawie 4 tys. zł. Przy obowiązujących przywilejach funkcjonariuszy te dysproporcje będą jeszcze większe. [...]

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

KAZIMIERZ KUJDA W AKTACH SB

O obecnym szefie Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej stało się głośno po jednej z publikacji „Gazety Wyborczej" dotyczącej tzw. taśm Kaczyńskiego. Biznesmen, który miał wykonywać prace dla spółki Srebrna, nagrywał rozmowy z politykami – zarejestrował także rozmowę z Kazimierzem Kujdą, byłym wieloletnim szefem spółki Srebrna.

W ubiegłym tygodniu „Gazeta Wyborcza" i Onet.pl ujawniły, że Kazimierz Kujda został zarejestrowany przez Służbę Bezpieczeństwa jako tajny współpracownik o pseudonimie Ryszard. Dotyczące go akta przez wiele lat znajdowały się w zbiorze zastrzeżonym, do którego służby III RP długo broniły dostępu. Dopiero od niedawna mogą do niego zajrzeć m.in. dziennikarze. Według Onet.pl wśród dokumentów znajdują się teczka personalna TW „Ryszarda" oraz teczki jego pracy. Ma tam być osobiście podpisane przez Kujdę oświadczenie o podjęciu współpracy z tajnymi służbami PRL. Sama współpraca miała się zacząć od wyjazdu zagranicznego w 1979 r. Według Onet.pl Kujda miał relacjonować esbekom swoje podróże i m.in. charakteryzować spotykanych podczas nich rodaków i obcokrajowców. Jedną z osób, o której kontaktach opowiadać miał esbekom Kujda, był brat obecnego ministra energii Krzysztofa Tchórzewskiego.

Kujda zaczął mieć wątpliwości co do współpracy z SB w 1981 r. Złożył sprawozdanie po powrocie z Austrii i Niemiec, ale już nie bardzo chciał dokładnie mówić o ludziach i niektórych faktach. Po powrocie z wyjazdu do Austrii w 1983 r. miał powiedzieć funkcjonariuszowi, że spotyka się z nim już ostatni raz. Ostatecznie przekazał jednak sprawozdanie dotyczące firmy, w której był na stażu. SB wyrejestrowała go z grona czynnych agentów w 1987 r.

Kazimierz Kujda po publikacji mediów w tej sprawie wydał oświadczenie, w którym napisał: „[...] nigdy nie podjąłem z SB współpracy, która prowadziłaby do krzywdzenia kogokolwiek lub naruszania czyichś dóbr". Przyznał jednocześnie, że gdy jako student starał się o paszport na wyjazd do krajów Europy Zachodniej, mógł „podpisać jakieś dokumenty". Zamierza wystąpić do IPN o autolustrację.

– Ja nie wiedziałam, Jarosław Kaczyński też nic o tym nie wiedział. To była dla nas informacja nowa, to nas zaskoczyło – skomentowała sprawę rzeczniczka PiS Beata Mazurek.

(luz) © ℗

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Ewa Polak-Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress)
Współpraca: **Magdalena Złotnicka** (także TVP Warszawa), **Marek Budzisz**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Łukasz Szeląg/Reporter**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

FIRMA RODZINNA

PMPG POLSKIE MEDIA SA · spółka notowana na GPW · POLSKI WYDAWCA

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 79 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 3ed46125cf

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Partia jednego człowieka

Inauguracja nowej partii politycznej przypomina debiut w programie „Mam talent". Wiele miesięcy ćwiczeń, długie zastanawianie się, jakie chwyty będą najlepsze, ogromne nadzieje, wreszcie występ i tych parę sekund po nim, kiedy showman patrzy z napięciem na twarze jurorów. Zapewne z takim samym napięciem Robert Biedroń śledził po swej inauguracyjnej konwencji reakcje w mediach i wśród polityków. W komentarzach na wszelki wypadek nie wyklucza się sukcesu, ale entuzjazmu nie ma.

W kolejne dni po konwencji Biedroń zachowywał się tak, jakby w polityce był amatorem. Nie potrafił jasno wyjaśnić, skąd miał pieniądze na niezwykle wystawną konwencję. Szesnastu jego doradców to osoby mało znane. Dość pyszałkowato zapowiedział, że jesienią zostanie premierem, i w arogancki sposób zaproponował Grzegorzowi Schetynie funkcję wicepremiera. W Poznaniu przybyła na jego wiec dość umiarkowana grupa ludzi (2,5 tys.), choć organizatorzy wskazywali, że jak na powszedni dzień – wtorek – to i tak dużo.

Dorzućmy do tego pierwszą gafę – uznanie, że Szczecin leży nad morzem, gdy w istocie dzieli go od Bałtyku ok. 90 km. Przytoczone kiksy były różnej wagi, ale łączyła je jedna prawidłowość, którą dobrze znają doświadczeni politycy. Nie da się zaplanować z góry problemów, które sypią się po wskoczeniu na narowistego rumaka polityki. Dobrze skomentował to Grzegorz Schetyna. Pytany o przechwałki Biedronia, że już jesienią będzie premierem, lider PO spokojnie odpowiedział: „Nie on będzie decydował, tylko wyborcy. Dobry obyczaj nakazuje układanie mapy politycznej po wyborach. [...] 8 miesięcy przed wyborami Biedroń chce chyba tylko podkreślić, że na pewno będzie w Sejmie, ale nie będzie mu łatwo, bo będzie musiał odpowiadać na pytania. Teraz to karnawał, obietnice. To wszystko brzmi fajnie na początku – potem przychodzą konkrety".

Partia Wiosna zbudowana jest na popularności jednego człowieka. To jest jej siła, bo Biedroń ma więcej przebojowości niż ponury Adrian Zandberg z partii Razem czy dość już zgrany Włodzimierz Czarzasty. To jednak jednocześnie najsłabszy potencjalny punkt nowego ugrupowania. Biedroń wiele razy wyskakiwał z erotycznymi aluzjami w swoich politycznych wypowiedziach. Kiedyś, gdy był szeregowym posłem, to mniej raziło. Teraz, gdy jest liderem dużej partii, każde jego publiczne stanowisko musi być o wiele bardziej zrównoważone.

Jego gładkie teksty o nowym początku, końcu wojny dwóch partii i łączeniu Polaków mogą się szybko osłuchać. Czy lider Wiosny ma jeszcze jakieś polityczne asy w rękawie? Zobaczymy już niedługo. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Kropelka nienawiści

Od kilku dni goście telewizji publicznej otrzymują informacje, by do budynku wchodzić tylnym wejściem – ze względu na ich komfort i bezpieczeństwo.

Część odmawia, uważając, że nie można dać się zastraszyć politycznym terrorystom pikietującym pod siedzibą telewizji i najwyraźniej uważającym, że pod pozorem obrony „wolnych mediów" mogą zabijać w Polsce wolność słowa. Inni wchodzą bokiem, chyłkiem, z obawy, że padną ofiarami agresji „obrońców demokracji", jakiej doświadczyła niedawno Magdalena Ogórek przed siedzibą TVP. Nie należę do fanów pani Ogórek. Niemniej to, co ją spotkało, jest czytelnym odbiciem nienawiści, jaka dotyka na co dzień innych ludzi mediów bliskich prawicy. Nienawiści, która dziś przybiera formę wyzwisk, pogróżek internetowych, zaszczuwania bliskich (co dotknęło dzieci Krzysztofa Ziemca), by za chwilę, może, przerodzić się w fizyczną przemoc.

Polityczny mord na Marku Rosiaku, zabójstwo Pawła Adamowicza, agresja wobec dziennikarzy mają kilka cech wspólnych. Po każdym z bulwersujących zdarzeń następuje dzień, góra dwa wezwań do wyciszenia emocji, szybko przerwanych przez jednego z lewicowo-liberalnych przewodników stada komentarzem w stylu: „Źle się stało, ale tamci...", będącego dla potencjalnych agresorów czytelnym sygnałem „pokajaliśmy się, ale wicie, rozumicie... Róbcie swoje".

Tak w mojej ocenie należy odczytywać twitterowy wpis Donalda Tuska umieszczony zaraz po ataku na Magdę Ogórek. Wygląda na to, że autor słów o „moherowej koalicji" dalej będzie realizował swoje polityczne ambicje, stosując zasadę „divide et impera". ©℗

eprasa.pl 3ed46125cf

dwaj panowie g

Taśmy Kaczyńskiego robią się coraz bardziej przerażające. Nie dość, że przestał na nich występować sam Kaczor Dyktator, to jeszcze rozmaici przypadkowo nagrani ludzie z PiS odmawiają na nich brania łapówek oraz deklarują chęć rozdawania pieniędzy obywatelom. Tak nieludzkiej twarzy dyktatury nie spodziewali się jej najwięksi krytycy.

Zmiany, zmiany, zmiany. Miało być 11 lutego ogólnorządowo i potem przez dwa tygodnie resortowo, ale zmieniło charakter. Co? Wielkie przedstawianie nowych propozycji programowych PiS. Z powodu taśm oraz przedłużającego się wielkiego liczenia kasy zamiast nowości będą pokazywane starości. To znaczy czeka nas podsumowanie pracy rządu oraz ministerstw. Gdy się już wszystko podsumuje i zsumuje, przyjdzie czas na nowe obietnice.

Tymczasem w Eine Totalopposition. Konsternację wzbudził sondaż dla Radia Łżet, z którego wynika, że jeśli wszyscy pójdą z Peło do eurowyborów, to pokonają PiS. Nie to miało być jednak najważniejszym przesłaniem badania, o którym wiewiórki mówią, że zasugerował je sam Grzegorz Ludojad Schetyna. Chodzi o to, że w wersji bez zjednoczenia zieloni bracia z Peezelu i czerwoni bracia z SLD nie mają czego szukać. Sondaż ma więc być bacikiem konsumpcyjnym, umożliwiającym pożarcie przez Grzegorza nowych przystawek.

A tymczasem u prezydenta Andrzeja Sebastiana. Na spotkaniu z mediami w pałacu stawili się przedstawiciele pełnego spektrum, od „GazWyb" do „GazPol". Impreza miała przełomowy charakter – po raz pierwszy w dziejach oprócz wina podawano także piwo, w dodatku polskie. Pierogi były zaś ruskie. Przypadek?

Impreza przebiegała spokojnie, a temperatura podskakiwała jedynie wtedy, gdy pogawędki schodziły na Kura TV. Temat ten jednoczył w opiniach przedstawicieli wszystkich zwaśnionych redakcji. Podkreślamy: jednoczył w opiniach, a nie w pochwałach.

Ludzie nie zdają sobie sprawy, z jakim stresem wiąże się praca w mediach publicznych. Kiedy obserwowaliśmy wycieczkę gości prezydenta Andrzeja Sebastiana do palarni, składała się niemal

wyłącznie z pracowników TV Kura różnych szczebli. Byłych i obecnych. Mamy propozycję dla demonstrantów spod TVP – jeśli chcecie ich wykończyć, to zamiast pikiet organizujcie im papierosy.

Jeszcze o Jurnym Stefanie. Są takie rzeczy w jego sprawie, które wywołały lekki szok nawet w tabloidach. Kilka dni temu „Super" poinformował, że Jurny Stefan życzył sobie zdjęć prostytutek, na podstawie których wybierał swe seksłapówki. To prawda. „Superak" nie uściślił jednak, co dokładnie było fotografowane, to znaczy na podstawie oceny których fragmentów anatomii wybory podejmował Stefan. Rzadko to mówimy, ale rozumiemy szok „Superaka" i związane z tym milczenie.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Tymczasem obrońcą Jurnego Stefana został Ryszard Kalisz. Odnotujmy tę ważną chwilę w dziejach III RP. Sojusz pornograficznych grubasów został zastąpiony sojuszem pornograficznych staruchów.

Skoro już jesteśmy przy postaciach historycznych i symbolicznych. Kazio Marcinkiewicz wygłosił oświadczenie. Zamarliśmy w oczekiwaniu. Kazio Marcinkiewicz ogłosił, że jest gotów na Parlament Europejski. Zła wiadomość jest taka, że Parlament Europejski nie jest gotowy na Kazia. Następnie Kazio ogłosił, że Kaczor Dyktator chciał mu kiedyś kupować garnitury za „niepartyjne pieniądze". To tłumaczy rosnącą od lat miłość Kazia do Eine Totalopposition. Jak pamiętamy, Peło zwykła kupować garnitury po prostu za partyjne pieniądze.

Żeby nie być gołosłownym, mamy dla was cytat z „Newsweeka", rok 2013. Tekst Michała Krzymowskiego zatytułowany „PO. Władza z fasonem". Lead: „Sklepy z ubraniami – prawie ćwierć miliona złotych. Restauracje – dwieście tysięcy. Salon win i cygar – prawie sto tysięcy". Nasz ulubiony fragment dotyczy wieczoru wyborczego z roku 2011: „specjalny pokaz polegający na tym, że trzy roznegliżowane hostessy wiją się na barowej ladzie i zlizują z siebie bitą śmietanę. Atrakcją wieczoru była naga kobieta, z której goście mogli jeść sushi". Czy był tam Jurny Stefan?

Uwaga, teoria spiskowa. Takie lubimy najbardziej. Zieloni bracia z Peezelu chodzą po mieście i opowiadają, że Michał Kołodziejczak, lider AgroUnii, to człowiek Achima Brudzińskiego. I że to niby PiS wymyślił całą inicjatywę, żeby skompromitować słuszne protesty prawdziwych wyrazicieli opinii polskiej wsi, to znaczy zielonych braci z Peezelu. Zaczynamy zastanawiać się nad poważniejszą sprawą: A może to PiS założył Peezel?

Z okazji demonstracji AgroUnii uaktywnił się zapomniany nieco Krzysztof Jurgiel, były minister rolnictwa, który oświadczył, że wszystkie postulaty demonstrantów od Kołodziejczaka są słuszne. To wzmacniałoby teorię spisku, gdyby nie fakt, że widzieliśmy minę ministra Ardanowskiego, kiedy usłyszał słowa Jurgiela. Nie widzieliśmy takiej od czasu, kiedy Bambi stracił mamusię.

Na koniec całkiem poważnie. Słyszeliście pewnie, że Donald Tusk chce założyć antypisowski Ruch 4 Czerwca? Historia bywa złośliwa i w dniu, kiedy miał to być główny polityczny news spinowany za pomocą „Rzeczpospolitej", zmarł w szpitalu były premier Jan Olszewski. To sprawia, że chcieliśmy od razu postawić pytanie: Który właściwie 4 czerwca chce upamiętnić Tusk? Ten z 1989 r. czy z 1992 r., kiedy wspólny front obrońców komunistycznej agentury obalił rząd Olszewskiego, a Tusk wyróżnił się wśród spiskowców wezwaniem: „Panowie, policzmy głosy"? ©℗

eprasa.pl 3ed46125cf

PIECZEŃ RZYMSKA

O koncesjonowanym negacjonizmie

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

Foiba to rodzaj jaskini, a konkretnie „głęboka studnia krasowa". Włochom to słowo jednoznacznie kojarzy się z potwornym mordem. W foibach na terenie dzisiejszej Chorwacji i Słowenii w latach 1943–1945 partyzanci Tity przy haniebnym współudziale włoskich komunistów wymordowali kilka, a może i kilkanaście tysięcy Włochów z Dalmacji i Wenecji Julijskiej. 10 lutego jest w Italii Dniem Pamięci o Foibie.

Zbrodnie komunistów za sprawą lewicowców były we Włoszech tematem tabu

Oficjalnie i urzędowo, z udziałem najwyższych władz państwowych, hołd pamięci ofiar Italia oddaje jednak dopiero od 2004 r. Przedtem było to niemożliwe. Po prostu zbrodnie komunistów za sprawą lewicowców, którzy zdominowali kulturę i nauki historyczno-społeczne, były we Włoszech tematem tabu. Przez niemal 60 lat nie wolno było głośno mówić o zbrodniach włoskich komunistycznych partyzantów na rodakach popełnionych w latach 1944–1947 na północy Italii. Zamordowali ok. 20 tys. osób, także faszystów, ale pod pretekstem rozliczeń z faszyzmem likwidowali głównie „wrogów klasowych".

Historyków, dziennikarzy i pisarzy podejmujących odważnie te tematy czekał ostracyzm. Republika Włoska jest bowiem pobudowana na do cna zakłamanym micie komunistycznej partyzantki, rzekomej depozytariuszki najwyższych moralnych i patriotycznych wartości. Giampaolo Pansa, autor książek o zbrodniach włoskich komunistów, zdeklarowany człowiek lewicy, został zmuszony do opuszczenia postępowej „La Repubblica", w której pracował przez lata. Bojówki lewicowców atakowały ludzi na jego spotkaniach autorskich.

Narodowy Związek Partyzantów Włoskich postanowił w tym roku uświetnić obchody 10 lutego, organizując wiele sympozjów i spotkań, na których mówcy z tytułami naukowymi tłumaczą, że tę zbrodnię popełnili Niemcy oraz że zginęło tam zaledwie kilkadziesiąt osób. Ten rodzaj negacjonizmu ścigany nie jest. Związek partyzantów otrzymuje sowite subwencje państwowe. Wicepremiera Salviniego, który w związku z tym chce te dotacje wstrzymać, znów okrzyknięto faszystą. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Nie tędy droga, ale...

Agresja, której doświadczyła Magdalena Ogórek ze strony protestujących pod TVP, w pierwszych godzinach od zajścia spotkała się z niemal jednogłośnym potępieniem ze strony polityków i dziennikarzy. Mijały jednak dni, a narracje zaczęły schodzić na pozycje „przemoc jest zła, ale...".

„To, co zrobiono dziś p. Ogórek, należy potępić. Tak też reaguje całe środowisko. Jednak instrumentalizacja zajścia przez p. Brudzińskiego jest haniebna" – napisał Bartosz T. Wieliński. „Potępiam akcję z Ogórek pod TVP... Sam doświadczałem agresji ze strony wyznawców PiS na miesięcznicach smoleńskich. Człowiek czuje się wtedy strasznie... Agresywny tłum to zawsze zło" – tłumaczył z autopsji Wojciech Czuchnowski.

I to by było na tyle niuansowania, bo po chwili na scenę wkroczyli prawdziwi moraliści. „Ale co robić z k...ą?" – zastanawiał się Janusz Palikot. „Naklejanie nalepek na czyimś samochodzie nie jest oczywiście żadną »agresją« – jest szczytem głupoty. [...] z agresywnej propagandzistki władzy zrobiliście męczennicę" – tłumaczyła Hanna Lis. „Wobec p. Ogórek nie przekroczono granic debaty publicznej – dziennikarze TVP opłacani są z publicznych pieniędzy, a więc tym bardziej podlegają krytyce. Nie było linczu. Był gniew" – solidarnie dodała Ewa Siedlecka.

A potem przyszedł on, trendsetter opozycji. „Kłamstwo organizowane przez władzę za publiczne pieniądze to perfidna i groźna forma przemocy, której ofiarami jesteśmy wszyscy. I wszyscy powinni solidarnie, w ramach prawa, przeciw temu kłamstwu protestować" – tweetnął Donald Tusk.

„Przyznam, że też dałem się nabrać" – odparł przytomnie Borys Budka, który cofnął swoje oburzenie. „Debata po proteście przeciw Magdalenie Ogórek przybrała cechy paniki moralnej i domaga się uporządkowania" – podsumował „Tygodnik Powszechny". „Ugiąwszy się przed owczym wybuchem oburzenia, uległem na kilka godzin, ale wróciłem do pionu. Nie zrobiliście nic złego, wykrzyczeliście tej kobiecie prawdę! Dziękuję za to! Z wyrazami najwyższego szacunku" – dodał w geście samokrytyki Waldemar Kuczyński. I już nawet na „ale" nie było miejsca. ©℗

eprasa.pl 3ed46125cf

OBURZONY JAK PIRÓG!

Tancerz i celebryta Michał Piróg kpił ostatnio, że dostał propozycję udziału w nowym tanecznym show telewizji publicznej. Propozycję, jak poinformował, odrzucił. Z powodów polityczno-ideologicznych. „Kiedy publiczna pyta, czy zatańczę »Dance, dance, dance«, ja odpowiadam... tak, ale tylko na waszej pożegnalnej imprezie TVP" – skomentował na swoim Instagramie, okraszając swój wpis zdjęciem, na którym pokazuje środkowy palec. Został skrytykowany przez część swoich fanów, którzy zarzucili mu szczucie. „Piszę, żeby powiedzieć, że są pieniądze na tym świecie, które brudzą ręce" – odpowiadał. I wtedy całą zabawę popsuła TVP, która oświadczyła, że „nikt z TVP nie kontaktował się z Panem Pirógiem i nie proponował mu udziału w nowym programie tanecznym »Dance, dance, dance« Telewizji Polskiej". Cóż, są pieniądze na tym świecie, które budzą w człowieku największe oburzenie. To te, których nigdy mu nie zaproponowano. Panie Pirogu, łączymy się w żalu!

MONIKI WALKA Z PLOTKĄ

Niedawno Monika Richardson, teraz Zamachowska, w jednym z wywiadów powiedziała, że „dla miłości poświęciła wszystko", nawiązując do swojego małżeństwa. I zasugerowała, że nie jest wcale pewna, czy ono przetrwa.

FOT. MATEUSZ JAGIELSKI/EAST NEWS

– Chciałabym powiedzieć, że umrzemy, trzymając się za ręce, ale niestety nie mogę – wyznała. – Oboje wiemy, że każdy związek można skończyć. Pokazują to nasze doświadczenia – dodała. Te wyznania sprawiły, że ruszyła lawina spekulacji, czy to oznaka chwilowego kryzysu czy może rozwód już na horyzoncie. W końcu Monika postanowiła dać odpór plotkom. – „Kochani! Pozdrawiamy was z Zakopanego, również wszystkich tych, którzy nam życzą rozwodu" – napisała w mediach społecznościowych. „Niestety: czeka ich spore rozczarowanie, bo właśnie przeżywamy drugą miłość. Nawet nie wiem, czy to w ogóle jest możliwe, ale wygląda na to, że znowu się w sobie zakochaliśmy!" – dodała. Szanujemy ludzi, którzy tak skutecznie potrafią walczyć z obrzydliwymi i jakże krzywdzącymi plotkami. Zwłaszcza tymi, które sami generują!

FOT. PAWEŁ GROMADA

JAK MĘŻCZYZNA, TO KONIECZNIE W BIŻUTERII

Radosław Majdan, odkąd związał się z Perfekcyjną Lady Rozenek, stał się celebrycką ikoną stylu. Przynajmniej na takiego się kreuje. W rozmowie z „Faktem" zwierzył się ze swojego podejścia do kwestii męskiej biżuterii. Podkreśla, że noszenie jej nie powinno być dla faceta niczym wstydliwym.

– Uważam, że to żaden wstyd – przekonuje. – Kiedyś biżuteria była domeną kobiet, teraz jej producenci myślą też o mężczyznach. Mnie jest blisko i do świata biznesu, i do świata rock and rolla, więc lubię sobie założyć koraliki czy inne dodatki. Niektóre z tych rzeczy dużo dla mnie znaczą. Wierzę nawet, że przynoszą mi szczęście – dodaje. Niby mają szczęście przynosić, a przed opowiadaniem farmazonów nie potrafią uchronić? Do reklamacji powinien oddać.

WSZYSTKIE MĄDROŚCI ANNY

Aktorka Anna Mucha udzieliła wywiadu magazynowi „Viva!". Wywiadu o tym, jak to jest być seksbombą. A raczej – jak to jest się za taką uważać. Opowiada w nim m.in. o tym, że nie żałuje tego, iż brała udział w rozbieranych sesjach zdjęciowych. – Nie wstydzę się żadnych rozbieranych scen, w których brałam udział, bo nie mam powodu. Mam wrażenie, że seks jest w głowie, a moje ciało jest po prostu do grania – mówi. Dodaje, że jej dzieci nie mają z tym problemu. – Moje dzieci mój biust widzą na co dzień, więc nie rozumiem, czemu nagle miałoby to być dla nich problemem – dziwi się. W wywiadzie opowiada też o swoim specyficznym podejściu do macierzyństwa, które jej zdaniem nie ma nic wspólnego z kobiecością. – Nigdy nie definiowałam kobiecości przez macierzyństwo, dla mnie to jest jakieś abstrakcyjne połączenie. Oczywiście wiem, jak się robi dzieci, ale te dwie rzeczy jakoś mi się nie łączą. Z atrakcyjnością, kobiecością. Macierzyństwo nie kojarzy mi się z seksem. To dwa odrębne zbiory – tłumaczy. Nie, to jeszcze nie jest koniec mądrości!

– Mam dzieci, bo moje dzieci zdecydowały, że chcą ze mną być. W tajnym laboratorium obłożyły się planami i instrukcjami i w pewnej chwili nacisnęły guzik, i powiedziały: „Teraz!". Ja jestem dla nich żyzną, mam nadzieję, ziemią – konkluduje celebrytka. Też chcielibyśmy mieć taki guzik, tylko do znikania. Na przykład wywiadów Anny Muchy. ©℗

eprasa.pl 3ed46125cf

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jesteśmy zachwyceni partią Wiosna. Nawet nie musieliśmy słuchać, co mówi Robert Biedroń, żeby wiedzieć, iż jest to program adresowany do nas – wielkomiejskiego inteligenckiego elektoratu.

Pewną niezręczność budzi jednak to, iż na scenie politycznej istnieje już partia Razem, ponieważ trudno nam zadecydować, na które lewicowe ugrupowanie oddać nasz głos. A w tle jeszcze czai się SLD, chociaż ten fakt odnotowujemy jako lekko krępujący, zwłaszcza biorąc pod uwagę stylówkę Czarzastego. Ostatecznie na walnym zebraniu kolektywu (nazywamy tak nasze nasiadówki nad piwerkiem ze sprajtem) uznaliśmy, iż nie możemy dyskryminować Razem kosztem Wiosny lub odwrotnie. Stąd też uradziliśmy, iżby w nadchodzących sprężystym krokiem wyborach europejskich oraz czołgających się po pijaku wyborach tenkrajowych oddać po dwa głosy: jeden na Wiosnę, drugi na Razem. Nikt nie będzie pokrzywdzony, wszyscy dostaną tyle samo, szanse na robotniczo-tęczowo-sojowy sojusz w parlamencie UE i polskim Sejmie rosną :)

Słyszeliście, iż wyciekło kompromitujące osobo-Dudę nagranie, jak sam robi zakupy w jednym z krakowskich supermarketów? Straszna siara, a nawet kompromitacja. A wiecie dlaczego? Otósh najwidoczniej mamy prezydenta, który nie potrafi zrobić zakupów on-line... To kolejny cios dla wizerunku tego kraju na arenie międzynarodowej i w Europie. Najpierw naczelnik państwa, który nie ma kota w banku i mieszka z kontem, a teraz prezydent, który nie potrafiłby odnaleźć się w e-sklepie i robi tradycyjne zakupy. Żeby jeszcze w kasie samoobsługowej, ale oczywiście nie – podszedł do takiej z kasjerką.

Ale siara, znowu. Za najlepiej zredagowane hasło w polskiej Wikipedii na temat tego kraju uznano „wódkę". Oto nasz wkład w rozwój kultury i nauki w nowoczesnej Europie.

Pomyślcie sobie, jakie hasła są najlepiej opracowane w innych krajach. Gender. Sushi. Equality (ang. równość, dla tych, którzy nie są politoglotami). A w tym kraju of kors wódka.

Żeby to jeszcze było piwerko ze sprajtem, jeśli już koniecznie miałby to być alkohol, albo „prosecco z kija w modnej knajpie". Przynajmniej kojarzyłoby się jakoś wielkomiejsko, a nie z wąsatym januszem, który przepił rentę i pod wpływem bije osobożonę kablem od żelazka (oczywiście końcówką z żelazkiem). ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

POBYTY Z ZABIEGAMI
w Ciechocinku „Pod Tężniami"

Leczymy m.in.:
- bóle kręgosłupa i dyskopatie
- bóle mięśni i stawów oraz zmiany przeciążeniowe
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- schorzenie zwane ostrogą piętową
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu
- stany po udarach mózgu

posiłki bez limitu - bufet
25 zabiegów na 7 dni pobytu
dwa badania lekarskie
wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie
seans w Komnacie Solnej do 45 min. co drugi dzień
wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe

Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie:
10.02 - 24.02 oraz 24.02 - 31.03.2019 r.

KLINIKA UZDROWISKOWA® „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II

Klinika Uzdrowiskowa
„Pod Tężniami" im. Jana Pawła II
ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl

tel. 54 416 70 00

eprasa.pl 3ed46125cf

Piotr Semka

Najbliższe kampanie wyborcze będą dla niektórych środowisk licytacją na antyklerykalizm. Czy Kościół odważnie stanie w obronie swych praw, które może stracić, gdy do władzy dojdzie lewica?

FOT. SZYMON ZMARLICKI/FOTO GOSC/FORUM

eprasa.pl 3ed46125cf

Między młotem polityki a kowadłem laicyzacji

Konwencja założycielska ruchu Wiosna Roberta Biedronia miała wskazywać, że pojawia się nowa jakość w polskiej polityce. Faktycznie była jednak zapowiedzią agresywnej wojny religijnej nowej lewicy przeciwko Kościołowi katolickiemu w Polsce. Renegocjacja konkordatu, aborcja na życzenie, zniesienie klauzuli sumienia dla lekarzy i wreszcie zapowiedzi opodatkowania tacy – wszystko to pokazuje, z jaką skalą politycznej agresji musi w czasie najbliższych dwóch kampanii wyborczych liczyć się episkopat.

Jednocześnie jedna z inicjatorek akcji „Zatrzymaj aborcję", Kaja Godek, zapowiedziała wejście do koalicji narodowców, partii Janusza Korwin-Mikkego. „Głos oddany na PiS to głos za aborcją" – ogłosiła Kaja Godek. Te dwa wydarzenia pokazały, jak delikatną politykę musi prowadzić Kościół w obliczu bardzo rozognionych emocji politycznych.

Kościół w Polsce dał sobie narzucić status instytucji, która ma mniejsze prawa od innych w debacie nad kształtem kraju. Pytanie, z kim chce kooperować dla obrony swych praw, bo te w razie przegranej prawicy mogą być zakwestionowane niezwykle szybko.

DWIE POSTAWY

Sobota, 19 stycznia. Bazylika Mariacka w Gdańsku. Na mszy żałobnej za duszę Pawła Adamowicza przemawiają dwaj kapłani – metropolita i zakonnik. Główną homilię wygłasza abp Sławoj Leszek Głódź. Wielokrotnie obsadzany przez liberalne media w roli adwersarza prezydenta Gdańska ku zaskoczeniu wielu mówi bardzo ciepło o zmarłym. I formułuje mocny apel: „Śmierć prezydenta Pawła Adamowicza to wezwanie do definitywnego wyrugowania z przestrzeni życia społecznego języka pogardy, poniżania, deprecjonowania, obdzierania ze czci i z godności naszych braci, bliskich, czasem niedawnych przyjaciół. Tak dalej być nie może! Dość! Basta!".

Na koniec mszy głos zabrał o. Ludwik Wiśniewski. Jego wezwanie brzmiało podobnie: „Trzeba skończyć z nienawiścią, trzeba skończyć z nienawistnym językiem, trzeba skończyć z pogardą, trzeba skończyć z bezpodstawnym oskarżaniem innych".

Mimo podobnego przesłania wystąpienia obu duchownych zebrana w bazylice elita Gdańska przyjęła w różny sposób. Po kazaniu abp. Głódzia zapada cisza, po wystąpieniu o. Wiśniewskiego wybuchają gromkie oklaski.

Także media, relacjonując mszę, z uznaniem skupiły się na słowach o. Wiśniewskiego. Arcybiskupa Głódzia cytowano zdawkowo. Nie minęły cztery dni od gdańskiej mszy, gdy znany dominikanin przybył do studia Moniki Olejnik. Pytany o to, do kogo kierował swe słowa w bazylice, odpowiadał, że do wszystkich aktualnie zajmujących różne stanowiska. Pochwalił też prezydenta Andrzeja Dudę za to, że uznał słowa zakonnika za skierowane także do siebie. Jednak krytykując polityków, z nazwiska wymienił tylko jednego. „Zastanawiałem się, czy nie poprosić o audiencję pana Kaczyńskiego" – mówił o. Wiśniewski. „Powiedziałbym, by nie manipulował Kościołem. Całe to środowisko manipuluje". Swoją tyradę pod adresem prezesa PiS dominikanin zakończył reprymendą: „Wstydziłbyś się!".

Metropolita gdański, który od lat był przedstawiany jako kościelny żołnierz PiS, w chwili tragedii wzniósł się ponad polityczne podziały. Za to dominikanin znany z gromienia księży za mieszanie się do polityki sam dał się wykorzystać Monice Olejnik do wygłoszenia paru antypisowskich tyrad. Który z tych dwóch kapłanów wykazał większą bezstronność w obliczu tego konfliktu politycznego?

KRZYWE ZWIERCIADŁO

Dość podobnie jest z całym Kościołem katolickim w Polsce. Narzekania, że hierarchowie aktywnie wspierają PiS, powtarzane są rytualnie od wielu lat. Za to biskupi i księża sekundujący opozycji w myśl tych stereotypów nijak się do polityki nie mieszają. Oni jedynie ratują Kościół przed upolitycznieniem.

Przykłady? Proszę bardzo. Profesor Zbigniew Mikołejko ogłasza na łamach „Polityki", że „Kościół oddaje część prerogatyw religijnych partii politycznej", czego produktem miała być „religia smoleńska". Jan Turnau, pisząc list do Małgorzaty Trzaskowskiej, żony

eprasa.pl 3ed46125cf

prezydenta Warszawy, deklarującej, że chce zabrać dzieci z lekcji religii, zaczyna od stwierdzenia: „Zgadzam się z Panią, że polska władza rzymskokatolicka mogłaby się pisać E-PiS-kopat". Inny publicysta z „Gazety Wyborczej" – Paweł Kośmiński – komentując stanowisko Krajowej Rady Sądownictwa odrzucające legalizację związków jednej płci, ogłasza: „KRS w służbie PiS i episkopatu". Niekiedy teza o aliansie z rządzącą partią kojarzona bywa z zarzutem nieposłuszeństwa wobec Rzymu. Ksiądz John Pawlikowski, dyżurny liberał w koloratce „Gazety Wyborczej", głosi: „Od zwycięstwa PiS episkopat coraz energiczniej przeciwstawia się koncepcji Franciszka".

Autorzy takiej teorii uważają ją za tak „oczywistą oczywistość", że nawet nie silą się, by ją uzasadnić. Tymczasem w ciągu ostatnich paru lat wielokrotnie stanowisko episkopatu stało w sprzeczności z polityką PiS. Co więcej, ten rozziew raczej się poszerza, a nie zmniejsza. Najważniejszym punktem sporu jest oczywiście stosunek partii Jarosława Kaczyńskiego do obywatelskiego projektu „Zatrzymaj aborcję".

W grudniu 2017 r. przewodniczący episkopatu abp Stanisław Gądecki w czasie wizyty w sanktuarium Świętości Życia w Poznaniu mówił: „Wyrażam nadzieję, że władze państwowe bez zbędnej zwłoki podejmą działania mające na celu realizację zawartego w projekcie »Zatrzymaj aborcję« postulatu wyeliminowania z polskiego porządku prawnego możliwości pozbawienia życia nienarodzonego dziecka, u którego podejrzane jest występowanie choroby lub niepełnosprawności".

W marcu 2018 r. sprawę poruszył rzecznik Konferencji Episkopatu Polski ks. Paweł Rytel-Andrianik. „Biskupi proszą o modlitwę w intencji ochrony prawa człowieka do życia. Niepokoi fakt przedłużania się prac parlamentarnych nad obywatelskim projektem ustawy »Zatrzymaj aborcję«". Przypomniał, że podpisy pod projektem złożyło 830 tys. obywateli. Jak wiemy, PiS nie zrobił nic, by projekt trafił pod obrady Sejmu. Co więcej, na konferencji w grudniu 2018 r. Jarosław Kaczyński miał wyraźnie zadeklarować, że w tej kadencji Sejmu nic się nie zmieni.

Uniki PiS, które wielu biskupów przyjmuje krytycznie, nie skłoniły ich jednak do poparcia inicjatywy Kai Godek doszlusowania do koalicji Winnickiego i Korwin-Mikkego. Nikt z hierarchów nie wypowiadał się na ten temat. Z rozmaitych przecieków wynika, że biskupi życzliwi projektowi „Zatrzymaj aborcję" z zakłopotaniem przyjęli inicjatywę Kai Godek. Pojawiły się głosy, że wiążąc się z politykami znanymi z nieprzewidywalności, proliferka może łatwo roztrwonić kapitał zaufania, który wypracowali w ostatnich dwóch latach obrońcy życia.

Mitowi pełnej podległości biskupów wobec PiS przeczy też parę faktów z ostatnich dwóch lat. W lipcu 2017 r. szef KEP bardzo wyraźnie wsparł prezydenta Andrzeja Dudę w jego wecie wobec PiS-owskich projektów reformy systemu sądownictwa. Rok później, w sierpniu 2018 r., rzecznik episkopatu zaapelował do głowy państwa o zawetowanie ustawy o ordynacji do europarlamentu. Bardzo ostro PiS jest atakowany też przez jedną z czołowych twarzy stowarzyszenia Ordo Iuris – Kaję Godek. Krytycznie opisują działania PiS w kwestii aborcji tacy publicyści jak Bogusław Łoziński z „Gościa Niedzielnego" i Artur Stelmasiak z tygodnika „Niedziela".

Owszem, są biskupi życzliwi PiS, tacy jak metropolita krakowski abp Marek Jędraszewski czy wspomniany już wcześniej abp Leszek Sławoj Głódź, ale oni także bardzo ostrożnie formułują sądy na temat sytuacji politycznej. A w momentach krytycznych – jak to wykazał metropolita gdański – stają się mediatorami i uspokajają nastroje. Samo uznanie w tej czy innej homilii wartości niektórych posunięć rządu przedstawiane jest jednak przez niechętne Kościołowi media jako akt pełnego poddaństwa.

Owszem, są biskupi życzliwi PiS, ale oni także bardzo ostrożnie formułują sądy na temat sytuacji politycznej

I na odwrót – wyraziste sekundowanie opozycji nie budzi komentarzy. Na tej zasadzie większość liberalnych mediów nie widziała niczego nagannego w przyjmowaniu przez bp. Tadeusza Pieronka zaproszeń na spotkania Klubów Obywatelskich – instytucji powołanej przez PO. Bywalcami takich spotkań bywali także np. ks. Adam Boniecki czy ks. Kazimierz Sowa. Tak samo jedynie na prawicy gorzkie komentarze wywołała uroczysta msza koncelebrowana przez kard. Kazimierza Nycza z okazji końca kadencji prezydent Warszawy Hanny Gronkiewicz-Waltz.

Jeśli można mówić o demonstracyjnym spotykaniu się ludzi Kościoła z politykami PiS, to są to zazwyczaj dwa typy wydarzeń. Po pierwsze – pielgrzymki na Jasną Górę, po drugie – uroczystości z okazji rocznic powstania Radia Maryja. W obu przypadkach są to jednak przedsięwzięcia organizowane przez zakony, nad którymi biskupi nie mają bezpośredniej władzy. Tym bardziej że oburzenie na Radio Maryja za wsparcie partii konserwatywnej to wynik stosunkowo nowych trendów.

Tyle że jeszcze 50 lat temu obecność premiera katolika na jubileuszu katolickiego radia nie była uznawana za coś dziwnego. Na podobnej zasadzie kanclerz Angela Merkel odwiedza imprezy katolików świeckich – tzw. Katholikentage. W praktyce politycznej lat 60. we Włoszech, w RFN czy Belgii uznawano za coś naturalnego, że Kościół może współpracować blisko z partiami chadeckimi. Trzeba było ostatnich 30 lat, aby Kościół dał sobie narzucić dogmat, że musi być w tym samym odstępie od lewicy i prawicy. Niechęć do żyrowania przez Kościół partii wynikała oczywiście z sytuacji, gdy kredyt zaufania udzielany liderom politycznym narażał Kościół na kłopoty, gdy wychodziły na jaw ich rozmaite machlojki.

Jednak teraz wajcha poszła w drugą stronę. Zdarzają się księża lub zakonnicy, którzy głoszą, że Kościół powinien trzymać się w jednakowej odległości od prawicy i od lewicy. Tego typu opinie po cichu odrzucane są przez wielu proboszczów, którzy instynktownie czują, że po PiS przyjść może tylko znacznie bardziej laicyzatorska siła. Argumentem na rzecz upolitycznienia ambon są w ustach ludzi lewicy opowieści o politycznej agitacji w kościołach. Trudno jednak nie odnieść wrażenia, że jest to raczej mit niż rzeczywistość. Pytani o konkretne daty i miejsca takich agitacji antyklerykałowie zazwyczaj nie

eprasa.pl 3ed46125cf

Znany dominikanin, o. Ludwik Wiśniewski, wygłosił niedawno u Moniki Olejnik tyradę pod adresem prezesa PiS. Zakończył ją reprymendą: „Wstydziłbyś się!" FOT. TVN

są w stanie podać szczegółów. Zamiast tego słychać opowieści o „Kościele, który zdradził III RP".

W czerwcu 2018 r. Paweł Wroński z „Gazety Wyborczej" oskarżycielsko pisał: „Hierarchiczny Kościół polski w zdecydowanej większości wsparł siły polityczne, zmierzające do destrukcji państwa, które w 1989 r. współtworzył i którego najważniejsze wybory za czasów Jana Pawła II wspierał. Może dlatego, że od III Rzeczypospolitej dostał już wszystko". Odwróćmy tę tezę. Czyż nie było tak, że Kościół w 1989 r. żyrował Okrągły Stół? Czyż nie zachęcał prawicy spod znaku np. ZChN do wspierania wejścia Polski do Unii Europejskiej, a potem poparł ten postulat w referendum w 2004 r.? W zamian z dekady na dekadę spotykał się z coraz bardziej wrogim stosunkiem liberalnych elit, które kiedyś chętnie się Kościołem podpierały. Mój redakcyjny kolega Rafał A. Ziemkiewicz przypomniał, jak Platforma Obywatelska ogłosiła deklarację krakowską w 2003 r., w której zaklinała się, że będzie stać na straży tradycyjnych wartości. „Będziemy bronić praw religii, rodziny i tradycyjnego obyczaju, bo tych wartości szczególnie potrzebuje współczesna Europa" – to jeden z punktów tamtej solennej deklaracji. Kto pamięta, że politycy PO próbowali z kard. Stanisława Dziwisza uczynić antytezę o. Tadeusza Rydzyka? Kto jeszcze pamięta, jak platformersi jeździli na „dni skupienia" do klasztoru w podkrakowskich Bielanach? Dzisiaj częściej słychać w tych szeregach poparcie dla haseł „rozdziału Kościoła od państwa".

Kto jeszcze pamięta, jak platformersi jeździli na „dni skupienia" do klasztoru w podkrakowskich Bielanach? Dzisiaj częściej słychać w tych szeregach poparcie dla haseł „rozdziału Kościoła od państwa"

PARALIZATOR

Ta taktyka wmawiania biskupom pełnego uzależnienia od Jarosława Kaczyńskiego przynosi efekty. Można to nazwać „przesadą paraliżującą". Taki chwyt psychologiczny w wykonaniu lewicy polega na przejaskrawianiu czyjejś działalności w taki sposób, by ofiara sama zaczęła się mitygować i unikać przypisywanego zarzutu, bojąc się, że potwierdzi nieprawdziwy stereotyp. W podobny sposób po nominacji dziennikarki Polsatu Doroty Gawryluk w marcu 2018 r. na szefa „Informacji" Polsatu ogłoszono, że od tej chwili stacja Zygmunta Solorza będzie tubą PiS. Była to oczywista bzdura, ale spowodowała, że programy informacyjne Polsatu jeszcze bardziej uważały, by zachować odpowiedni dystans wobec rządu, bojąc się potwierdzania nieprawdziwej etykietki.

W ten sam sposób biskupi zasypywani oskarżeniami o podległość PiS bardzo ostrożnie dobierają słowa, wypowiadając się na temat rządu. Z Jarosławem Kaczyńskim spotykał się już Rex Tillerson w czasie pełnienia funkcji szefa dyplomacji amerykańskiej czy niedawno wicepremier Włoch Matteo Salvini, ale w ostatnim roku nie słychać było o żadnym spotkaniu prezesa PiS z czołówką episkopatu. Na dodatek po przejęciu premierostwa przez

eprasa.pl 3ed46125cf

Mateusza Morawieckiego PiS przesuwa się powoli ku partii technokratów niż ludzi deklarujących jakąś wyraźną chrześcijańską refleksję. Owszem, jest grupa posłów zwanych frakcją Radia Maryja, ale tacy ludzie jak Marek Jurek dawno są już poza PiS. Co więcej, spór o zaostrzenie ustawy aborcyjnej wywołał u części działaczy proliferskich głęboki resentyment wobec rządzącej partii. Jednak o tym z liberalnych mediów się nie dowiemy, chyba że potrzebny jest artykuł w stylu: „Czy biskupi odwrócą się plecami do PiS".

MONOLIT PEŁEN RYS

„Biskupi to", „biskupi tamto" – do takich tytułów przyzwyczaiły nas portale informacyjne. Jednak każdy, kto uważniej przygląda się życiu hierarchii, zauważa, że episkopat nie jest monolitem. I stosunkowo rzadko wyraża swoje opinie in gremio. Zazwyczaj są to listy pasterskie, które dotyczą spraw mało kontrowersyjnych, takich jak rocznice związane z Janem Pawłem II lub dotyczące aktualnych problemów duszpasterskich. Na temat polityki KEP wypowiada się niezwykle rzadko, z racji znacznego rozrzutu opinii na ten temat. Piotr Skwieciński, publicysta „Sieci", zdiagnozował tę sytuację w trafny, choć oschły sposób: „Dawno już odeszły w przeszłość czasy interrexa Wyszyńskiego i w polskim Kościele realnie nikt nie sprawuje władzy. Stał się on już nawet nie federacją, tylko niemal konfederacją biskupstw, czemu skądinąd sprzyja polityka papieża Franciszka".

Skwieciński oczywiście przesadza, mówiąc, że nikt polskim Kościołem nie rządzi. W tej mierze najwięcej odpowiedzialności ma przewodniczący episkopatu abp Stanisław Gądecki. Jednak nie wystawia on swej władzy zbyt często na próbę, wiedząc, że może funkcjonować tylko na zasadzie konsensusu. Funkcja prymasa Polski utraciła wiele ze swojego dawnego prestiżu i dziś – w czasie, gdy funkcję tę pełni abp Wojciech Polak – jest już raczej honorowym wyróżnieniem. Na tym tle grupa biskupów sytuujących się bardziej na lewo jest niewielka, ale dość aktywna. Zaliczani do niej bywają metropolita łódzki abp Grzegorz Ryś, kard. Kazimierz Nycz czy arcybiskup lubelski Stanisław Budzik. Z kolei duża część episkopatu to hierarchowie, którzy doceniają władzę PiS jako tamę przed rewolucją obyczajową, ale bynajmniej nie są to jacyś heroldowie prawicy. Wypowiadają się mało, a media ich zazwyczaj nie zauważają. I tu też tkwi problem. To liberalne media, nagłaśniając jedne wypowiedzi i przemilczając inne, pośrednio wytwarzają hierarchię ważności w episkopacie. Zwraca uwagę chociażby słownictwo używane pod adresem konserwatystów i liberałów. Zacytujmy „Gazetę Wyborczą", która np. pisze o abp. Marku Jędraszewskim jako „symbolu Kościoła oblężonej twierdzy, łaszącym się do PiS, w głębokim ukłonie wobec skrajnie prawicowych ugrupowań". Ktoś, kto czyta te słowa i nie zna polskich realiów, byłby bardzo zaskoczony, że w samym Krakowie są wierni mający pretensje, iż metropolita krakowski nadal toleruje status „Tygodnika Powszechnego" jako „tygodnika katolickiego".

I na odwrót. Każdy wywiad prymasa Polaka dla tygodnika z Wiślnej spotyka się w innych mediach liberalnych z komplementami i nagłośnieniem. To samo dotyczy abp. Grzegorza Rysia, który typowany jest przez „Gazetę Wyborczą" i „Newsweek" na nadzieję polskiego Kościoła.

Niekiedy stanowisko paru biskupów – gdy pasuje to do schematów propagandowych – przedstawiane jest jako stanowisko całego episkopatu. Gdy we wrześniu 2017 r. zespół KEP do spraw kontaktów z Konferencją Episkopatu Niemiec, złożony z jednego kardynała i dwóch biskupów, wyraził zaniepokojenie pogorszeniem się relacji po obu stronach Odry, powszechne było ilustrowanie tej informacji zdjęciami z plenarnych spotkań episkopatu. Tymczasem było to stanowisko kilku hierarchów, które nie było zatwierdzane przez wszystkich polskich biskupów. Taka wiedza w medialnym zgiełku zazwyczaj ginie. A media takie jak „Gazeta Wyborcza" nie przestają mieć ambicji wpływania na to, kto w episkopacie ma więcej wpływów, a kto mniej.

Rosnąca polaryzacja wokół postulatów rewolucji obyczajowej może zmusić biskupów do zastanowienia się, o jaką stawkę toczy się gra w tegorocznych wyborach

NIESPOKOJNY ROK

Tegoroczna podwójna kampania wyborcza może stać się polem do licytacji na antyklerykalizm. Do tej roli już się przymierza Platforma Obywatelska, a jak można się domyślić, ruch Biedronia, SLD i partia Razem będą podnosić raczej poprzeczkę w tej niepokojącej dla katolików rywalizacji o to, kto mocniej „dowali czarnym".

Jeśli w obozie PO wpływ na linię propagandową uzyska Donald Tusk, to będzie to raczej wpływ w kierunku zwiększania rewolucji obyczajowej. Już teraz pupil Tuska – nowy prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski – wyrugował księży z uroczystości opłatkowych i postulaty grup LGBT uznaje za ważny element swojej polityki miejskiej.

Jedne zjawiska mogą nakręcać klimat w innych sferach życia publicznego. Nie jest przypadkiem, że liberalne media nagłośniły pół roku temu wyrok sądu w Poznaniu, gdzie wysokie odszkodowanie dla ofiary gwałtów, których dokonał ksiądz, musiało zapłacić Towarzystwo Chrystusowe, a nie sam sprawca przestępstwa – Roman B. Dotychczas praktyką było obciążanie kosztami odszkodowania sprawcy, a nie jego diecezji czy zakonu. Jak twierdzi ks. Franciszek Longchamps de Bérier, za takim właśnie dotkliwym dla Kościoła rozwiązaniem opowiadała się prof. Ewa Łętowska na posiedzeniu Komitetu Nauk Prawnych PAN. Trudno przypuszczać, by znana prawniczka nie wiedziała, że taki właśnie sposób rozkładania kosztów za odszkodowania ofiar pedofilii doprowadził do bankructwa parę amerykańskich diecezji katolickich.

Rosnąca polaryzacja wokół postulatów rewolucji obyczajowej może zmusić biskupów do zastanowienia się, o jaką stawkę toczy się gra w tegorocznych wyborach. W razie przegranej prawicy jesienią tego roku prawa Kościoła mogą być zakwestionowane niezwykle szybko. I to na skalę, którą trudno sobie dziś jeszcze wyobrazić. Nie sposób zauważyć, by problem ten był tematem dyskusji wśród polskich biskupów. A czas nie stoi w miejscu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ed46125cf

Polska
Strefa Inwestycji

euro-park mielec

euro-park wisłosan

STREFA INWESTYCJI ARP

Od ponad dwóch dekad swojej działalności zarządzający obszarami pozyskuje polskich i zagranicznych przedsiębiorców, oferując im atrakcyjne możliwości inwestycyjne i kooperacyjne.

www.strefainwestycji.arp.pl

- EURO-PARK MIELEC
- EURO-PARK WISŁOSAN

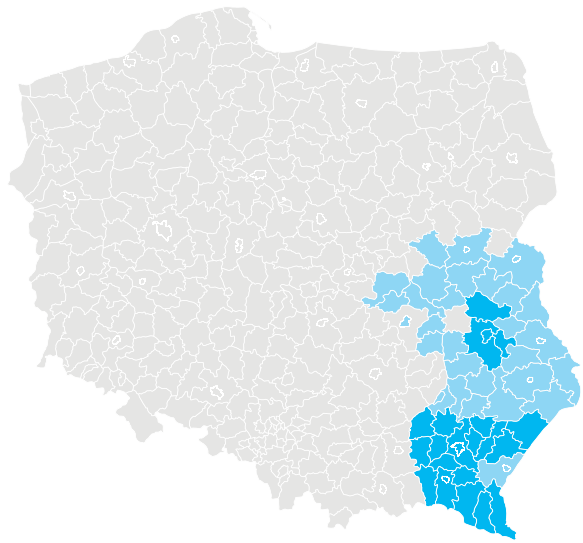

ZAPEWNIAMY:

- zwolnienie z podatku dochodowego
- doradztwo inwestycyjne
- rozbudowaną infrastrukturę
- bardzo dobrze skomunikowane tereny inwestycyjne
- budowę, sprzedaż i wynajem nieruchomości
- wykwalifikowaną kadrę
- sieć dostawców i podwykonawców z różnych branż przemysłu
- wsparcie na rzecz kształcenia zawodowego i w zakresie rozwoju polityki klastrowej

AGENCJA ROZWOJU PRZEMYSŁU S.A.
ul. Nowy Świat 6/12, 00-400 Warszawa
+48 22 695 36 00
www.arp.pl

ARP S.A. ODDZIAŁ W MIELCU
ul. Partyzantów 25, 39-300 Mielec
+48 17 788 72 36, +48 17 788 77 69
www.europark.arp.pl

ARP S.A. ODDZIAŁ W TARNOBRZEGU
ul. Zakładowa 30, 39-400 Tarnobrzeg
+48 15 822 99 99, +48 15 822 99 00
www.tsse.arp.pl

eprasa.pl 3ed46125cf

Wiosna celebryty

Łukasz Warzecha

Zamiast powiewu świeżości dostaliśmy od Biedronia ulepszoną wersję Ruchu Palikota. Oznacza to bratobójczą walkę po lewej stronie polityki

FOT. MICHAŁ DYJUK/FORUM

Z niesmakiem obejrzałem galę na cześć zbawcy narodu Roberta Biedronia, który był łaskaw obwieścić światu, że został właśnie bogiem Wiosny. Bóstwa wiosenne objawiają się (zmartwychwstają) zwykle w marcu lub kwietniu, ale niech mu będzie. Wszyscy wszak bardzo już czekamy na wiosnę". To nie fragment artykułu z którejś z konserwatywnych gazet czy któregoś z portali. To refleksje Jana Hartmanna, które opublikował na swoim blogu. Hartmann pisze dalej: „Co do tego, że Robert Biedroń podąża drogą Janusza Palikota, nie ma żadnych wątpliwości. Działa bardzo podobnie i adresuje swój przekaz do tych samych ludzi, zwanych do niedawna »sierotami po Palikocie«". Po czym filozof zadaje to samo pytanie, które zadaje wielu innych komentatorów: Skąd Biedroń ma pieniądze? Konwencja na warszawskim Torwarze była organizacyjnie poważnym wydarzeniem i musiała swoje kosztować.

Robert Biedroń przez dłuższy czas unikał sprecyzowania linii programowej. Wiadomo było oczywiście, jaka jest jego polityczna proweniencja, ale sam Biedroń powtarzał – jakkolwiek absurdalnie to brzmiało – że program piszą mu ludzie na spotkaniach w całej Polsce. Owszem, napisał też (lub raczej napisano mu) książkę zatytułowaną „Nowy rozdział", która w gruncie rzeczy jest tylko poszerzoną ulotką wyborczą. Ten przydługi i nudnawy wolumen mało kto zapewne przeczytał, tymczasem dawał on wyraźne wskazówki programowe – ale bez śladu konkretów. Nie stawiał kropki nad „i". Owszem, bardzo mocno obecne były w „Nowym rozdziale" klasyczne lewicowe, a nawet lewackie wątki, ale polityk wciąż zostawiał sobie pole manewru.

Jeżdżąc po kraju, rozmawiając z ludźmi i występując w mediach, Biedroń pozycjonował się przede wszystkim trochę jak lewicowy Paweł Kukiz, czyli człowiek spoza dwupartyjnego sporu i spoza układu. Był w tym oczywiście głęboki fałsz. Kukiz, startując na prezydenta w 2015 r., a potem wchodząc do Sejmu, był faktycznie człowiekiem spoza polityki. Biedronia za osobę w polityce nową może uznać tylko ktoś, kto kompletnie nie zna jego życiorysu i nie pamięta, jak zaczynał na poziomie lokalnym w SLD jeszcze na początku ubiegłej dekady, a później, w 2011 r., wszedł do Sejmu z listy Ruchu Palikota.

IDEOLOGIA W SPOŁECZEŃSTWIE

Biedroń starał się jednak przekonywać, że jego głównym atutem jest

eprasa.pl 3ed46125cf

świeżość. Stworzył oczekiwanie, że zaproponuje program lewicowy, ale przede wszystkim oparty na sprzeciwie wobec partyjniactwa i sięgający jednak do centrum. Można było się spodziewać, że nie będzie w nim elementów nadmiernie konfrontacyjnych i że – podobnie zresztą jak Palikot w swoim wcześniejszym wydaniu – Biedroń skupi się w dużej mierze na kwestiach gospodarczych, tyle że z socjalnym akcentem.

Stało się inaczej. Podczas konwencji Wiosny na pierwszy plan były prezydent Słupska wybił postulaty typowo ideologiczne, a co ważne – to właśnie one, w szczególności te dotyczące walki z Kościołem, budziły wśród publiczności największy entuzjazm. Nie ma wątpliwości, że mamy do czynienia z ruchem radykalnej lewicy, stawiającym populistyczną ideologię na pierwszym miejscu.

Na konwencji Wiosny usłyszeliśmy więc o wycofaniu religii ze szkół, likwidacji Funduszu Kościelnego, opodatkowaniu datków wiernych (co byłoby w istocie podwójnym opodatkowaniem tych samych pieniędzy), przerywaniu ciąży na życzenie do trzeciego miesiąca (co w polskich warunkach jest postulatem bardzo radykalnym), renegocjacji konkordatu, wprowadzeniu powszechnej refundacji in vitro i „małżeństwach" jednopłciowych.

Jak wskazał szef Klubu Jagiellońskiego Piotr Trudnowski, ta część programu Biedronia, który podkreślał ze sceny, jak ważna jest konstytucja (oczywiście wtórowały temu okrzyki: „Konstytucja, konstytucja!"), pogwałcałaby kilka artykułów polskiej ustawy zasadniczej. Na przykład artykuł 18, mówiący o tym, że małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny, artykuł 38, mówiący o prawnej ochronie życia (której rozciągnięcie na nienarodzone dzieci potwierdził dawno temu Trybunał Konstytucyjny), czy artykuł 53, dający obywatelom prawo do uzewnętrzniania swojej wiary.

Dodajmy do tego akcent humorystyczny, na który mało kto zwrócił uwagę. Biedroń wykrzyczał ze sceny, że doprowadzi do uznania „języka" śląskiego (nie istnieje język śląski, istnieje śląska gwara) za „język narodowy". Z czego wynikałoby, że zdaniem lidera Wiosny Ślązacy są osobnym narodem. Jest to oczywisty absurd, ale gdyby te wiecowe pokrzykiwania potraktować poważnie, trzeba by uznać, że działalność Biedronia może zagrażać polskiej racji stanu.

Drugi wątek programu Biedronia, socjalno-gospodarczy, jest całkowicie już kabaretowy. Lider Wiosny zapowiada zamknięcie wszystkich polskich kopalń węgla do 2035 r., dzięki czemu mamy mieć „najczystsze powietrze w tej części Europy". Nie wyjaśnia, ani w jaki sposób miałby zamiar przeprowadzić zamknięcie „wszystkich kopalń" – bo przecież nie wszystkie w Polsce są w rękach państwa, ani jak zamierzałby w ciągu 15 lat wyrównać bilans energetyczny. Nie usłyszeliśmy ani słowa o budowie elektrowni jądrowej, jedynie ogólniki o energii odnawialnej, utrzymane w tonie ekologicznej poprawności politycznej.

„Wprowadzimy 30-dniowy limit czekania na lekarza specjalistę" – deklaruje Biedroń, nie wyjaśniając, jak zamierza to zrobić. Limit wprowadzić oczywiście można, ale będzie to miało równie duży sens co uchwalenie ustawy, zgodnie z którą wszyscy mają być szczęśliwi.

„500+" ma przysługiwać na każde dziecko, nie wiadomo jednak, skąd wziąć na to pieniądze. Płaca minimalna ma wynosić 60 proc. średniej krajowej, wątpliwe jednak, żeby za tą deklaracją stała jakakolwiek analiza możliwości sprostania temu wymogowi przez polskich przedsiębiorców. I tak dalej, i tak dalej.

Szczególne rozbawienie wśród ekonomistów wywołały wyliczenia Biedronia, który uznał, że na realizację rozbuchanych obietnic wystarczy 35 mld zł. Tymczasem samo poszerzenie „500+" oznacza 19 mld rocznie. Do tego zapowiadana emerytura obywatelska, dopłaty do leków i inne punkty – koszt realizacji obietnic byłby absurdalnie wysoki. Tłumacząc, skąd na to wziąć pieniądze, Biedroń uderza ponownie w populistyczny ton, obiecując oszczędności na skasowaniu kościelnych przywilejów, lub snuje fantasmagorie, mówiąc o tym, że będzie więcej pieniędzy, bo do 2022 r. „zlikwidujemy pieczątki". Ta zapowiedź to zresztą kolejne świadectwo oderwania od rzeczywistości. Jakkolwiek bowiem sam postulat jest słuszny, wprowadzenie go w życie wymagałoby integracji wszystkich systemów informatycznych państwa, potężnych zmian w kodeksie postępowania administracyjnego, ingerencji państwa w samorządy. Krótko mówiąc – Biedroń nie ma pojęcia, o czym mówi. Jednak brzmi to ładnie i nowocześnie.

Biedroń nawiązał też, nieświadomie oczywiście, do „Roku 1984" Orwella. W świecie Winstona Smitha Ministerstwo Prawdy pełniło, jak wiadomo, funkcję ministerstwa szczególnie kłamliwej propagandy. Podobnie jest z zapowiadaną przez Biedronia Komisją Sprawiedliwości i Pojednania, która w istocie ma być komisją do spraw osądzenia obecnej władzy przez członków establishmentu III RP. Będzie więc ona miała tyle wspólnego z pojednaniem, co Orwellowskie Ministerstwo Prawdy z prawdą.

Tutaj objawia się podstawowa sprzeczność w przekazie Biedronia. Z jednej strony lider Wiosny grzmi, że dość już wojny polsko-polskiej i czas na pojednanie, z drugiej zaś nie pozostawia złudzeń, iż w urządzonej według jego recepty Polsce zwolennicy obecnej władzy, a bardziej ogólnie – konserwatyści czy osoby o prawicowych poglądach – nie mają czego szukać. Czyli pojednanie polsko-polskie – tak, ale bez przesady, w granicach lewicowej ortodoksji.

PRAWA STRONA ODETCHNIE

Ogłoszony przez Biedronia bardzo mgławicowy program to dobra wiadomość dla PiS, Kukiz'15 i PSL, a zła dla tych, którzy starają się zagospodarować lewą stronę. W tym dla Platformy, która sama odsunęła się od środka sceny politycznej, schodząc na lewo. To tam bowiem będzie się toczyć ostra walka, zwłaszcza że Biedroń poczuł wiatr w żaglach i nie ma motywacji, żeby poddawać się dyktatowi Grzegorza Schetyny.

Kukiz'15 może odetchnąć, skoro pole w centrum (z lekkim odchyłem na prawo) pomiędzy głównymi graczami pozostaje przez Biedronia nienaruszone. PSL może próbować łowić w tym samym akwenie, nastawiając się na nie tylko wiejski, bardziej konserwatywny, lecz także mniej narodowy elektorat. PiS pozostaje liczyć na to, że notowania Biedronia będą się utrzymywać na poziomie podsycającym walkę po lewej stronie, co może skutecznie rozbić głosy zwolenników opozycji, a w konsekwencji wzmocnić pozycję PiS na jesieni.

Na razie Biedroń może pławić się w blasku najnowszego sondażu, dającego jego ugrupowaniu 14 proc. i trzecie miejsce po PiS i PO. Ten sondażowy efekt świeżości nie jest niczym niezwykłym i pojawiał się w przeszłości wiele razy. Późniejszy wynik wyborczy bywał gorzkim rozczarowaniem. Biedroń na razie okazuje się płytkim politycznym celebrytą i wątpliwe, żeby kiedykolwiek stał się kimś więcej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ed46125cf

Aleksandra Dulkiewicz, wiceprezydent Gdańska, ma poparcie Donalda Tuska
FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Wybory po

Wojciech Wybranowski

Wybory uzupełniające w Gdańsku mogą się okazać plebiscytem popularności najbliższych współpracowników Pawła Adamowicza

Zaplanowane na 3 marca wybory uzupełniające w Gdańsku, ogłoszone po tym, jak z rąk Stefana W. zginął prezydent miasta Paweł Adamowicz, zapewne zostaną rozstrzygnięte już w pierwszej turze. Zdecydowaną faworytką jest Aleksandra Dulkiewicz, obecna komisarz miasta. Gdańska elekcja, w której prawą stronę będzie reprezentować reżyser Grzegorz Braun, może jednak pokazać, czy on sam i jego polityczni koalicjanci z Ruchu Narodowego i Partii Wolność są na tyle interesujący dla wyborców, by mogli zacząć tworzyć alternatywę dla Prawa i Sprawiedliwości.

– Chociaż kontekst jest dla mnie trudny i bolesny, wiem, że pan prezydent by sobie tego życzył – mówiła Dulkiewicz podczas konferencji prasowej, na której zapowiedziała swój start w wyborach uzupełniających w Gdańsku. PiS i PO nie wystawiły kontrkandydatów, a głosowanie miało być tylko formalnością. Dzisiaj już wiadomo, że gdańska elekcja, której datę wyznaczono na 3 marca, nie obędzie się bez politycznej awantury. Ta już się zaczęła.

Grzegorz Braun złożył w Państwowej Komisji Wyborczej skargę i PKW uznała, że Dukiewicz rejestrując nazwę swojego komitetu (KWW Wszystko dla Gdańska), użyła nazwy istniejącego już stowarzyszenia. Nakazano jej zmianę nazwy. PKW uznała jednocześnie, że podpisy pod poprzednią nazwą komitetu zostały zebrane prawidłowo i będą ważne. Z tym Braun znów się nie zgodził i zaskarżył uchwałę PKW do Sądu Najwyższego. – Podpisy zbierane na całkiem inny komitet mają być zaliczone w poczet wymaganej do zatwierdzenia przez kandydata dokumentacji, kiedy będzie tę dokumentację składał nowy komitet, pod nową nazwą. Ta decyzja nie ma precedensu i podstawy w prawie polskim – stwierdził Grzegorz Braun.

PRAWA RĘKA ADAMOWICZA

Aleksandra Dulkiewicz, obecnie komisarz w Gdańsku, wcześniej była wiceprezydentem Gdańska ds. polityki gospodarczej. Jej polityczne zaplecze to aktywiści stowarzyszenia Wszystko dla Gdańska. Założył je przed ostatnimi wyborami sam Adamowicz, gdy zrobiło się głośno o niejasnościach związanych z jego majątkiem i Platforma odmówiła mu poparcia.

Dulkiewicz, która była członkinią PO od momentu założenia partii, została z niej usunięta, gdy jesienią poparła Adamowicza i została szefową jego sztabu wyborczego. Po zwycięskiej kampanii Adamowicz miał ją skomplementować: „Olka, nie sądziłem, że potrafisz być tak twarda".

Dzisiaj Dulkiewicz może liczyć na zdecydowane poparcie PO. Nieoficjalnie mówi się w Gdańsku, że była partia przekonuje ją nawet do powrotu w szeregi ugrupowania.

Obecna komisarz Gdańska, z wykształcenia prawniczka, do tej pory nie była uważana za politycznego „fightera". Pozostawała w cieniu bardziej rozpoznawalnych polityków. Zanim wstąpiła do PO, należała m.in. do stowarzyszenia Młodzi Konserwatyści, a później do Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego (jej rodzice działali w Ruchu Młodej Polski). W 2005 r. zaangażowała się w kampanię wyborczą Hanny Gronkiewicz-Waltz.

Od 2006 r. była blisko związana z Pawłem Adamowiczem, uczestniczyła w większości realizowanych przez niego w Gdańsku projektów, m.in. Europejskiego Centrum Solidarności, w którym pracowała przez pięć lat. Była też gdańską radną i szefową klubu samorządowego PO. W przeszłości pracowała w Gdańskiej Agencji Rozwoju Gospodarczego Invest.

– W partii zawsze należała do grupy ludzi zdecydowanie bliżej związanych z Donaldem Tuskiem niż z Grzegorzem Schetyną. Nie mam wątpliwości, po której stronie by się opowiedziała, gdyby po powrocie Donalda do Polski doszło do jego rywalizacji z Grzegorzem – mówi nam jeden z parlamentarzystów Platformy.

Może się też okazać, że to właśnie od Tuska otrzymała najważniejsze polityczne poparcie. Były premier napisał na swoim profilu twitterowym: „Olu, prowadź nasze miasto. Tak wszyscy odczytujemy wolę Twojego Szefa".

eprasa.pl 3ed46125cf

Grzegorz Braun chce w Gdańsku zdobyć zaplecze na wybory do Parlamentu Europejskiego

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

tragedii

Czy Grzegorz Braun, wyrastający na głównego rywala Anny Dulkiewicz, ma szansę podjąć z nią realną walkę wyborczą w Gdańsku?

RZĄDZĄ MAFIE, SŁUŻBY I LOŻE

Kilka tygodni temu, słynący z mocnego głosu i artyzmu w posługiwaniu się literackim językiem polskim, deklarujący się jako monarchista Braun, stojąc na czele założonej w 2015 r. organizacji o nazwie Pobudka (której celem ma być: „Realizacja programu pracy organicznej na rzecz wolności, bezpieczeństwa oraz emancypacji duchowej, intelektualnej i materialnej Polaków"), przystąpił do koalicji Ruchu Narodowego i Partii Wolność. Głosów gdańskich wyborców PiS niechętnie zerkających na polityczne inicjatywy pojawiające się na prawo od partii Kaczyńskiego raczej Braunowi to nie przysporzy.

Wśród politycznych współpracowników Brauna z nowej koalicji mówi się, że w wyborach gdańskich startuje nie po to, by wygrać, ale by przebić się do ogólnopolskich mediów przed wyborami do Parlamentu Europejskiego.

– O zwycięstwo w Gdańsku będzie bardzo trudno. Ale nie poddajemy się. Przypomnę casus Janusza Dobrosza, któremu też nikt nie dawał żadnych szans we Wrocławiu [w 2006 r. – przyp. red.], a walczył i zdobył 7 pkt proc. poparcia. Wokół tego wyniku można było gromadzić wyborców – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" poseł Robert Winnicki, lider Ruchu Narodowego, który zaangażował się w kampanię Brauna.

Reżyser nie jest politycznym nowicjuszem. W drugiej połowie lat 80. współpracował ze słynną wrocławską Pomarańczową Alternatywą, był rozpracowywany przez SB. W 2007 r. miał być kandydatem do Senatu z ramienia utworzonej wówczas Ligi Prawicy Rzeczypospolitej (koalicja UPR i LPR), ale nie udało się zebrać wystarczającej liczby podpisów pod jego kandydaturą. Trzy lata później startował z listy Polski Wrocław w wyborach do Rady Miejskiej Wrocławia – bez sukcesu.

W 2015 r. był jednym z najbardziej barwnych kandydatów na prezydenta Rzeczypospolitej. Głośno też było o jego wyborczym haśle: „Wiara! Rodzina! Własność! Kościół! Szkoła! Strzelnica!". W swoim spocie wyborczym mówił wówczas: – Jestem niezależnym reżyserem. Nie należę do żadnej partii. Nie wierzę w demokrację, bo za jej fasadą rządzą mafie, służby i loże. Jestem monarchistą, bo cenię wolność i szanuję tradycję – mówił w nim kandydat na prezydenta.

Dodawał też, że prawo do posiadania broni należy się każdemu wolnemu Polakowi, i wyraziście przedstawiał swoje inne poglądy: – Socjalizm to dla mnie kradzież, aborcja to zbrodnia, normalna rodzina to podstawa. „Nie" – dla promocji sodomii, podatki proste i niskie, kara śmierci dla morderców i zdrajców stanu, Polacy gospodarzami we własnym kraju, nie dla żydowskich roszczeń.

– To niezwykle inteligentny człowiek, odrobinę ekscentryczny, który postrzega politykę w kategoriach sceny i pewnego rodzaju gry aktorskiej z udziałem głównych politycznych graczy. Często te jego analizy są bardzo trafne – uważa poseł Winnicki.

Grzegorz Braun bardziej niż ze swoich dokonań politycznych znany jest z cenionych, mocnych filmów dokumentalnych. Wyreżyserował m.in. „Plusy dodatnie, plusy ujemne" – ujawnił nieznane wcześniej dokumenty wskazujące, że Lech Wałęsa był agentem SB o pseudonimie „Bolek". Był współreżyserem serialu „Errata do biografii" ujawniającego powiązania znanych polskich pisarzy z komunistyczną służbą bezpieczeństwa. Wspólnie z Robertem Kaczmarkiem zrealizował też głośny dokument „Towarzysz generał" – demaskatorski film o życiu i karierze Wojciecha Jaruzelskiego. Obraz przez wiele lat czekał na zgodę na emisję, przeciw której protestował sam Jaruzelski, a także działacze SLD. Kontynuacją był kolejny film ujawniający kompromitujące Jaruzelskiego fakty – „Towarzysz generał idzie na wojnę".

To Grzegorz Braun ogłosił też, że znany językoznawca prof. Jan Miodek był współpracownikiem SB. Reżyser przegrał postępowania sądowe w Polsce, ale Europejski Trybunał Praw Człowieka uznał, że polskie sądy bezprawnie naruszyły prawa Brauna do wolności wypowiedzi.

W Gdańsku miał w wyborach walczyć też Piotr Walentynowicz, wnuk znanej opozycjonistki, ale w środę ogłosił, że rezygnuje ze startu. – Udało mi się zebrać ok. tysiąca podpisów. Bardzo krótki okres, jaki wyznaczono na zbieranie poparcia, dla komitetu nieposiadającego ogromnych struktur okazał się być zaporowym – powiedział „Do Rzeczy".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ed46125cf

Agnieszka Niewińska

Przypadki Stefana Niesiołowskiego

W historii entomologii zapisze się dzięki musze *Suillii niesiolowskii*. W politycznej postrzegany będzie jako ten nieprzebierający w słowach i bohater afery z prostytutkami w tle

Letnia atmosfera. Poseł Stefan Niesiołowski w turkusowym polo nagrywa wypowiedź dla TVN24. Nagle z jego kieszeni dobiega odgłos kwakania. – Kaczyński dzwoni – rzuca, wyciągając telefon. – Mój głos pójdzie, że Kaczyński dzwoni? – dopytuje telewizyjną ekipę. – To będzie przebój na całą Polskę, jakby to się wam udało puścić – zachęca rozradowany. Dopiął swego, bo wieść o jego telefonicznym dzwonku obiegła większość mediów.

ANTYKOMUNISTYCZNA KARTA

Niesiołowski lubi bywać w mediach. Nie przeczy, że goszczenie w programach sprawia mu przyjemność. Media z kolei lubią Niesiołowskiego, bo ten waleniem w politycznych przeciwników zapewnia cytowalność i klikalność. Jarosława Kaczyńskiego porównuje do grzechotnika, nazywa go „podłym człowiekiem". Nie kłania się mu, bo „jest prostakiem".

– Jak widzę Adama Hofmana, to zawsze myślę: szkoda, że na wiosnę wszystkie bałwany nie topnieją – wypalił kilka lat temu w Radiu Zet. Joachima Brudzińskiego nazywał „ćwokiem". O Dominiku Tarczyńskim z trybuny sejmowej mówił: „Ten orzeł od jenotów". „PiS-owski lizus" to klasyk wśród określeń, jakimi raczy oponentów. Nieprzychylna mu prasa to „wszawe PiS-owskie piśmidła". – Niech pani idzie do PiS-u i do tych lizusów PiS-owskich swoich! I proszę nie rozmawiać ze mną, bo pani rozbiję kamerę – groził Ewie Stankiewicz.

Dla niejednego obserwatora polityki stał się jedną z osób demolujących debatę publiczną. Jerzy Wenderlich z SLD, który w latach 2007–2011 podobnie jak Niesiołowski był wicemarszałkiem Sejmu, widzi to inaczej. – Strefa publiczna w polityce musi chodzić na skróty i niewątpliwie pod tym względem Stefan Niesiołowski w swoich publicznych wystąpieniach jest osobą zdecydowaną – mówi. – Był wicemarszałkiem, który wnosił wiele inicjatyw, i starał się, by nie przegłosowywać ich większością, ale budować wokół nich powszechną zgodę. Autorytet działacza opozycji niepodległościowej mu w tym pomagał. Uważam go za człowieka o dużym poczuciu humoru i otwartości na innych.

Jednak z anegdoty, którą Wenderlich przytoczył w TOK FM lata temu, wynika, że otwartość Niesiołowskiego się kończy, gdy chodzi o Antoniego Macierewicza. Polityk opowiadał, że stałym elementem na posiedzeniach prezydium Sejmu był sprzeciw Niesiołowskiego co do powierzenia jakiegokolwiek stanowiska w komisjach sejmowych Macierewiczowi. A kiedy któregoś razu Wenderlich zgodził się poprowadzić za niego obrady, postawił warunki: poparcie dla Macierewicza w jakiejś komisji i zagłosowanie za projektem SLD o związkach partnerskich. – Na to Stefan Niesiołowski mówi: do związków partnerskich już mnie przekonałeś – opowiadał Wenderlich.

Dla Antoniego Macierewicza Niesiołowski ma szeroki repertuar inwektyw. Nazywał go już „wariatem", „cymbałem", „szkodnikiem". Zastanawiał się, czy jest on agentem czy jedynie głupcem. A jeszcze trzy dekady temu Niesiołowskiego z Macierewiczem łączyła przyjaźń. W czasach Sejmu Kontraktowego Kaczyńskiego postrzegał z kolei jako sojusznika.

W 1989 r. do Sejmu Niesiołowski wszedł jako bezkompromisowy antykomunista. W 1965 r. napisał słowo „Katyń" na pomniku przyjaźni polsko-radzieckiej w Łodzi, w 1968 r. zrzucił tablicę z płaskorzeźbą Lenina z Rysów. Na dobrych kilka lat przed powstaniem KOR i niemal dekadę przed porozumieniami sierpniowymi został skazany na siedem lat więzienia za przygotowania do obalenia ustroju PRL. W 1970 r. wpadł na pomysł wysadzenia pomnika Lenina i podpalenia poświęco-

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

eprasa.pl 3ed46125cf

nego mu muzeum w Poroninie. Akcję miał przeprowadzić z kolegami z konspiracyjnej organizacji Ruch. Nie udało się. Akcję „Poronin" zaplanowali na 21 czerwca 1970 r. Dzień wcześniej organizatorzy zostali aresztowani. Niesiołowski miał zaledwie 25 lat, kiedy trafił do więzienia. Najpierw był na Rakowieckiej, potem z kryminalistami w więzieniu w Barczewie. – Pierwsza łaźnia w więzieniu w Barczewie to makabryczne wspomnienie. Gdyby ktoś dał mi wtedy cyjanek, prawdopodobnie połknąłbym truciznę – opowiadał wiele lat później „GW". W jego obronie listy pisali Zbigniew Herbert i Wiktor Woroszylski.

Wyszedł na mocy amnestii w 1974 r. Wrócił na Uniwersytet Łódzki, gdzie się doktoryzował i zrobił habilitację. Dzisiaj jest profesorem, specjalistą entomologii. Prowadził badania nad muchówkami. W 2013 r. na cześć Niesiołowskiego naukowiec Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu nazwał nawet odkryty przez siebie gatunek muchy. *Suillia niesiolowskii* pochodzi z Indii, ma ok. 4 mm długości.

„UPADEK LEGENDY"

Na UŁ Niesiołowski należał do NSZZ „Solidarność", był przewodniczącym komisji zakładowej, w stanie wojennym został internowany w Jaworzu. Po 1989 r. współtworzył Zjednoczenie Chrześcijańsko Narodowe (ZChN). Jednym z flagowych projektów ZChN w tamtym czasie była ustawa antyaborcyjna, za którą gorąco opowiadał się Niesiołowski. W fotograficznych archiwach znaleźć można jego zdjęcia na tle bannerów „Stop aborcji", co wielu mu wytknęło po tym, jak wziął udział w czarnych protestach, a o projekcie Ordo Iuris dotyczącym aborcji mówił, że jest „projektem przestępczym".

W ZChN był obrońcą Kościoła. Dzisiaj słynie m.in. z ataków na środowisko Radia Maryja. Ojca Tadeusza Rydzyka nazywa biznesmenem i oligarchą. Nazwę radia określił jako „bluźnierczą". Biskup Marek Jędraszewski to według niego „nieudacznik wygłaszający rasistowskie tezy".

– Wbrew pozorom Stefan od lat 90. w istocie nie zmienił swoich poglądów – ocenia Artur Zawisza, który podobnie jak Niesiołowski był w ZChN, a następnie w Przymierzu Prawicy. – Do ZChN należały osoby o orientacji narodowej, takie jak Wiesław Chrzanowski, Marek Jurek czy Jan Łopuszański, a także działacze szeroko rozumianej Solidarności o inspiracji chrześcijańskiej i w tym gronie znalazł się właśnie Niesiołowski. Kiedy jako jeden z tzw. trzech muszkieterów ZChN razem z Jurkiem i Łopuszańskim wypowiedział posłuszeństwo OKP z Bronisławem Geremkiem na czele, to nie wynikło to z jego prawicowych poglądów, ale z sytuacyjnego przeciwstawienia się lewicy laickiej. Ostro wypowiadał się przeciwko politykom obozu postkomunistycznego, ale 20 lat później w ten sam sposób zwalczał prawicę. Odkąd pamiętam, miał przekonania centrowe i to się nie zmieniło. Prawicowość przypisywano mu niesłusznie, a wynikało to z jego temperamentu, emocjonalności w wypowiadaniu się – uważa Zawisza.

Inny kolega partyjny Niesiołowskiego z tamtych lat widzi to inaczej. – Istota problemu Stefana Niesiołowskiego polega na tym, że choć ma wiedzę, to nie ma poglądów. Za to jest lojalny w stosunku do układu politycznego, w którym aktualnie się znajduje. Dlatego zawsze jest w szpicy ataków na przeciwników ugrupowania, w którym akurat funkcjonuje. W ramach tej lojalności jest w stanie atakować dawnych przyjaciół – mówi nasz rozmówca. Prosi o niepodawanie jego nazwiska. – Ostatnie lata jego aktywności są nie do obrony. Dla mnie jego historia jest przykra. Chociaż od lat nie mamy kontaktu, to mam go w pamięci jako osobę bardzo pomocną, duszę towarzystwa – mówi nasz rozmówca.

– Potrafi opowiadać barwnie anegdoty, czasem pieprzne. Pamiętam wesele Mariana Piłki, na którym siedziałem przy stoliku z Niesiołowskim i z Kazimierzem Marcinkiewiczem. Ten ostatni nie miał nic ciekawego do powiedzenia. Za to Niesiołowski bawił towarzystwo nieskończoną ilością żartów – mówi Zawisza. – Niestety, w ostatnich czasach za sprawą swoich publicznych wypowiedzi stał się symbolem najgorszej plugawości. Szkoda, bo to człowiek niezwykle zasłużony dla polskiej niepodległości. Młodzi ludzie nie mają pojęcia i wręcz nie wierzyliby, że przygotowywał się do wysadzenia pomnika Lenina w Poroninie i podpalenia poświęconego mu muzeum. Kojarzą go jedynie z jego najgorszymi wypowiedziami. Te ostatnio ujawnione oskarżenia prokuratury pod adresem Stefana to ostateczny upadek w oczach opinii publicznej. Dla mnie upadek legendy – ocenia.

31 stycznia prokuratura krajowa oświadczyła, że zwróci się do marszałka Sejmu o uchylenie immunitetu Niesiołowskiego w związku z tym, że „przyjmował korzyści osobiste w postaci usług seksualnych w zamian za działania na rzecz spółek należących do zaprzyjaźnionych z nim biznesmenów". Zanim pojawił się komunikat, za sprawą przecieków ze śledztwa szczegóły o spotkaniach posła z prostytutkami przetoczyły się przez media.

Sprawa ta przypomniała dziennikarzom skandal z 1992 r. Niesiołowski był jednym z bohaterów „Pamiętników Anastazji P.". Anastazja Potocka (właściwie Marzena Domaros) podała się w Sejmie za korespondentkę „Le Figaro". W książce opisała swoje rzekome intymne kontakty z politykami. Rozdział o Niesiołowskim zatytułowała: „Stefan Niesiołowski – spacery z erotomanem". Pisała, że ówczesny poseł ZChN miał się jej narzucać. Nazwała go „psychopatycznym erotomanem". Niesiołowski pozwał autorkę i proces wygrał.

„GOŃCZY PIES" PO

W 2001 r., kiedy ZChN przepadł w wyborach, wielu polityków tego ugrupowania – w tym Niesiołowski – było już w Przymierzu Prawicy. To w 2002 r. zjednoczyło się z PiS. – W zasadzie wszyscy z Porozumienia Prawicy weszli do PiS, tylko nie Stefan. Dlaczego? Zapewne chodziło o to, że Niesiołowski uznawał, że komuna upadła i już jest wszystko w porządku. Kaczyńscy z kolei byli zdania, że choć udało się doprowadzić do upadku komuny, to nie wszystko w kraju jest we właściwym porządku – przypomina sobie Artur Zawisza.

Inny rozmówca, związany z Przymierzem Prawicy, jest z kolei zdania, że to bracia Kaczyńscy nie chcieli Niesiołowskiego, i stąd dziś jego niechęć do Kaczyńskiego. – Gdyby Niesiołowskiego zapytać, dlaczego nie wszedł do PiS, to pewnie by powiedział, że już wtedy z Kaczyńskimi nie chciał mieć nic wspólnego – śmieje się Zawisza.

Do 2016 r. Niesiołowski należał do PO. W tej partii zasłynął bezpardonowymi atakami na przeciwników. Polityk, który poznał go w latach 90., ma swoją teorię na ten temat. – Komunistyczne więzienie go zdołowało. Po upadku komunizmu odżył, ale moim zdaniem tamte doświadczenia w nim zostały. Tymczasem jego sponsorzy polityczni z PO zamiast znaleźć mu odpowiednie miejsce w domu spokojnej starości przy książkach historycznych i ciepłej herbatce, wykorzystali jego nadwerężoną emocjonalność i traktowali go jak psa gończego. Wskazywali cel i dawali mu sygnał do ataku, a on ujadał – ocenia.

Mało kto wierzy, że po aferze z prostytutkami Niesiołowski zostanie w polityce. Jego adwokat Ryszard Kalisz (którego Niesiołowski nazwał kiedyś pornogrubasem) zapewnia jednak, że jego klient jest niewinny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ed46125cf

raport DO RZECZY

Książka „Dalej jest noc" powstała pod redakcją prof. Jana Grabowskiego i prof. Barbary Engelking

FOT. JACEK DOMINSKI/REPORTER

Narzędzie oskarżania

Maciej Pieczyński

Głośna książka, firmowana przez Centrum Badań nad Zagładą Żydów, wywołała kolejną falę oskarżania Polaków o współudział w niemieckim ludobójstwie

Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski", praca pod redakcją prof. Barbary Engelking i prof. Jana Grabowskiego, to podsumowanie kilkuletniego projektu badawczego, realizowanego przez Centrum Badań nad Zagładą Żydów. Ogromne kontrowersje wywołała jeszcze na długo, zanim trafiła do księgarń. Publikacja została bowiem wykorzystana jako kolejne narzędzie w propagandowej odsłonie wojny polsko-polskiej. Znalazła się na sztandarach mediów lewicowo-liberalnych. „Gazeta Wyborcza" opublikowała fragment książki, a „Newsweek" poświęcił jej okładkowy materiał. „Jak Polacy dobijali Żydów" – głosił tytuł, nie pozostawiając żadnych wątpliwości, co według redakcji tygodnika jest najważniejszym przesłaniem omawianej pracy naukowej. Na okładce widniała papierowa gwiazda Dawida, przecięta nożem. Na biel papieru kapią czerwone krople krwi. Tę okładkę skrytykowała nawet Barbara Engelking. „Rozumiem wymagania marketingowe i pewnego rodzaju pogoń za sensacyjnością, która w mediach obowiązuje, ale nasza książka nie polega na tym, jak Polacy dobijali Żydów. To w ogóle nie jest temat tej książki" – komentowała w programie Tomasza Lisa. Nie oznacza to jednak, że autorka całkowicie odrzuciła narrację „Newsweeka". Uwaga dotyczyła raczej sposobu rozstawienia akcentów.

Profesor Engelking zauważyła, że polską opinię publiczną, szczególnie na fali dyskusji o nowelizacji ustawy o IPN, bardziej niż losy Żydów interesuje odpowiedź na pytanie: Jak wobec Żydów zachowywali się Polacy? Badaczka stwierdziła, że to „narcystyczne" podejście. – To nie my jesteśmy podmiotem tej historii – podkreślała. Przypomniała, że książka powstała jako rezultat projektu badawczego pod nazwą „Strategie przetrwania Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski". Samo użycie słowa „strategia" zakłada postawę aktywną. Celem publikacji – w założeniu jej autorów – było więc pokazanie, w jaki sposób Żydzi radzili sobie w czasie wojny, oraz udowodnienie, że nie byli tylko bierną masą, pokornie idącą na rzeź.

NA SPOSÓB GROSSA

Przy okazji jednak dostało się Polakom. Zarówno Engelking, jak i Grabowski w licznych wywiadach promujących książkę kreślą mniej więcej następującą narrację: „Gdy Jan Tomasz Gross napisał »Sąsiadów«, debatowaliśmy o tym, czy w ogóle Polacy mordowali Żydów. Dzisiaj nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Teraz pozostało rozstrzygnąć: ilu Żydów zamordowali".

Jan Grabowski ma własną, autorską odpowiedź na to pytanie. Podczas spotkania autorskiego w Muzeum POLIN stwierdził, że dla niego „punktem wyjścia" jest liczba 200 tys. Przyznał jednocześnie, że to wyłącznie jego szacunek, którego nie należy traktować jako liczby oficjalnie uznanej przez pozostałych autorów. Dodał też: „Historia nie jest nauką ścisłą, każdy ma prawo do własnych uogólnień".

Paweł Lisicki w programie „Warto rozmawiać" zauważył, że podana przez historyka liczba nie została w żaden sposób uzasadniona, naukowo uargumentowana. Redaktor naczelny „Do Rzeczy" stwierdził, że idąc tym tropem, każdy uczestnik debaty może podać dowolne statystyki bez szczegółowego wyjaśnienia. W tym samym programie Krzysztof Wyszkowski zarzucał autorom książki zaangażowanie w bieżącą politykę.

eprasa.pl 3ed46125cf

Na potwierdzenie cytował fragment wstępu, w którym Engelking i Grabowski przyznali, że ich publikacja jest „rodzajem polemiki" z polską racją stanu. Zwłaszcza Grabowski jest ostrym krytykiem obecnej polityki historycznej. Pozostaje w konflikcie z IPN, niedawno proponował nawet rozwiązanie tej instytucji.

Autorzy książki stawiają tezę, że dwóch z trzech Żydów poszukujących ratunku zginęło, „najczęściej za sprawą swoich sąsiadów chrześcijan". Co jednak warte odnotowania, unikają jednoznacznego przypisania winy za zbrodnie „narodowi polskiemu". Mordowali nie tyle „Polacy", co „określone grupy Polaków". Motywacje? Według Barbary Engelking: „na pewno strach, chciwość, podłość". Autorka stwierdza jednocześnie, że „dużo trudniejsza jest do zrozumienia dobroć", czyli odpowiedź na pytanie: „Co kierowało tymi, którzy ratowali Żydów". Grabowski bardziej zdecydowanie mówi po prostu o „polskim antysemityzmie". Jego zdaniem „sprawiedliwi" Polacy to „miły, sympatyczny wycinek", ale absolutnie „niereprezentatywny" dla reszty społeczeństwa.

HISTORYCY OBURZENI

Książka „Dalej jest noc" spotkała się z ostrą krytyką nie tylko publicystów, lecz także historyków. „Bardzo nieuczciwe jest kolportowanie danych niepopartych żadnymi dowodami" – zauważył wiceprezes IPN Mateusz Szpytma w wywiadzie dla „Gościa Niedzielnego". Profesor Grzegorz Berendt na łamach „Biuletynu IPN" z czerwca 2017 r. dowodził, że powtarzana przez Grabowskiego liczba 200 tys. żydowskich ofiar polskich sprawców jest nieprawdopodobna, ponieważ tylu Żydów nawet nie podjęło próby ucieczki (a właśnie uciekinierów z gett dotyczą szacunki historyka).

„Mam ogromne zastrzeżenia co do postawy, z jaką Centrum Badań nad Zagładą Żydów w osobie Jana Grabowskiego podchodziło do źródeł" – przyznał w rozmowie z PAP historyk Radosław Jóźwiak. „W momencie rozpoczęcia akcji niemieckiej obowiązywał kategoryczny zakaz zbliżania się Polaków do węgrowskiego getta [Grabowski w rozdziale książki swojego autorstwa omówił sytuację właśnie w powiecie węgrowskim – przyp. red.], więc opisy, w których Polacy »wpadają« na jego teren, są zupełnie bez sensu" – dodał. Jan Grabowski pisze o „brygadach strażackich", jakoby biorących udział w mordowaniu Żydów. Zdaniem Jóźwiaka takie sformułowanie sugeruje, że chodzi o kilkusetosobową grupę sprawców. „W rejonie pracowało wówczas 30–35 strażaków. Konkretne zarzuty postawiono ośmiu osobom i po wojnie odbył się słynny proces. Okazuje się, że 75 proc. strażaków nie miało nic wspólnego z akcją. Profesor Grabowski nie mówi także, że ostatecznie skazano jedną osobę, a pozostałych uniewinniono" – zauważa Radosław Jóźwiak.

Historyk przypomina też, że po wojnie odbył się proces dwóch policjantów, w którym nie padł zarzut udziału w akcji likwidacyjnej węgrowskiego getta: „Jeden z policjantów był oskarżony, a następnie uniewinniony za doprowadzenie Żydów z sąsiedniej wsi, drugi z policjantów został oskarżony o zastrzelenie na rynku węgrowskim Żydówki w 1943 r. Ostatecznie go uniewinniono, bo okazało się, że strzelał inny policjant". Jóźwiak konkluduje: „Jeżeli prof. Grabowski mówi, że policjanci gorliwie wyciągali Żydów na oczach ludzi, a później okazuje się, że po wojnie stawia się w stan oskarżenia ludzi kompletnie niezwiązanych z akcją likwidacyjną, stanowi to jakiś paradoks".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 3ed46125cf

raport DO RZECZY

Manipulowanie zbrodnią

Krzysztof Masłoń

„Dalej jest noc" pokazuje, że większość Żydów ukrywających się po likwidacji gett zginęła z rąk Polaków. IPN udowadnia, że opracowanie jest pełne błędów, przeinaczeń i manipulacji

W kwietniu zeszłego roku opublikowany został, pt. „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski", liczący prawie 1,7 tys. stron dwutomowy zbiór artykułów monograficznych dziewięciu autorów związanych z Centrum Badań nad Zagładą Żydów Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk.

Praca ta – zredagowana przez dwoje profesorów: Barbarę Engelking i Jana Grabowskiego – wychodzi z założenia, że wojnę na omawianych terenach przeżyło mniej niż 2 proc. ludności żydowskiej, która mieszkała tam jeszcze latem 1942 r. A przytłaczająca większość tych Żydów, którzy próbowali się ukryć po likwidacji przez Niemców gett, zginęła bądź z rąk Polaków, bądź przy ich udziale.

Zanim jeszcze książka „Dalej jest noc" trafiła do sprzedaży, zaanonsował ją prof. Jan Grabowski, obecnie na Uniwersytecie Ottawskim, bulwersującym stwierdzeniem, że Polacy w trzeciej fazie Holokaustu zamordowali lub przy-

eprasa.pl 3ed46125cf

Żydowscy policjanci z Jüdischer Ordnungsdienst przeszukują mężczyznę, łódzkie getto, ok. 1942 r.
FOT. GETTY IMAGES

czynili się do zamordowania 200 tys. Żydów.

Jak można się było spodziewać, „rewelacje" Grabowskiego natychmiast zostały nagłośnione m.in. przez „Newsweek", dzięki czemu książka znalazła się – wprawdzie na krótko – na liście bestsellerów. A niezależnie od tego, że poszczególni autorzy odcinali się potem od kategoryczności sądu Grabowskiego, pozostaje faktem, że publikację Centrum Badań nad Zagładą Żydów firmują razem. Dla porządku więc wymieńmy ich w porządku alfabetycznym: Barbara Engelking, Tomasz Frydel, Jan Grabowski, Dariusz Libionka, Karolina Panz, Alina Skibińska, Dagmara Swałtek-Niewińska, Jean-Charles Szurek, Anna Zapalec. Publikację sfinansowano przy wykorzystaniu funduszy Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego (w ramach Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki), Conference of Jewish Material Claims Againts Germany i Social Sciences and Humanities Research Council of Canada.

Zaraz po ukazaniu się książki dyskusję nad poruszoną w niej tematyką zorganizował Instytut Pamięci Narodowej. Dzisiaj ukazuje się pierwsza, firmowana przez instytut, recenzja z „Dalej jest noc". Ma 70 stron, jest zatytułowana „Korekta obrazu?", a napisał ją, szczególnie skupiając się na powiatach łukowskim, złoczowskim i miechowskim, dr Tomasz Domański z kieleckiego oddziału IPN. I jest ta „Korekta obrazu?" czymś, co nazwałbym suplementem do „Dalej jest noc", którego znajomość wydaje się konieczna, by do lektury sławnego już dzieła dziewięciu autorów, podejść nie jako do prawdy objawionej maluczkim, ale też nie wyłącznie jako do kamienia obrazy rzuconego w twarz narodowi polskiemu. W każdym razie na pewno prostującego zawarte w omawianej pracy błędy, przeinaczenia i, niestety, manipulacje. Tych ostatnich jest bowiem najwięcej.

NIE WYCHODZIĆ Z DOMU

Już na samym wstępie do „Dalej jest noc" bije po oczach używanie pojęcia „administracja niemiecka" wymiennie z „administracją niemiecko-polską". Polska znajdowała się pod okupacją niemiecką i odpowiedzialność za żydowską Zagładę ponosi III Rzesza, nikt inny. Wydawałoby się, że jest to oczywiste. Okazuje się jednak inaczej. „Autorzy – powiada Tomasz Domański – bardzo często prowadzą narrację w taki sposób, jakby sugerowali czytelnikowi fałszywe tropy, nie rozumiejąc, że polska administracja państwowa funkcjonowała w warunkach okupacji wyłącznie w podziemiu. Rzeczpospolita Polska nie udostępniła Niemcom żadnej ze swoich służb. To, że Niemcy ze względów praktycznych sięgnęli po część polskich obywateli (podobnie jak po materialne aktywa polskich urzędów), wykorzystując ich w ramach narzuconych porządków i własnej administracji w GG, nie powodowało wyjścia żadnego elementu tejże administracji spod władzy państwowej Rzeszy Niemieckiej". Polska nigdy nie była Francją, gdzie po 1940 r. istniały jawnie, obok siebie, struktury administracyjne niemiecka i francuska, a jednak w „Dalej jest noc" tzw. granatowa policja nazywana jest po prostu policją polską, tak jakby była to formacja powołana w ramach struktur państwa polskiego. W efekcie Dariusz Libionka „potrafi użyć sformułowań typu »kolumna otoczona przez funkcjonariuszy polskiej i niemieckiej policji«, jakby chodziło o zgodną współpracę służb dwóch państw".

Podobnie jak granatowa policja została potraktowana niemiecka Służba Budowlana (Baudienst), opisywana bez podania informacji, że pobór do niej był przymusowy i działała ona pod nadzorem oraz dowództwem niemieckim. „W literaturze przedmiotu – przypomina dr Domański – już od ponad pół wieku opisywano wykorzystanie Baudienstu do akcji likwidacyjnych w gettach, do kopania grobów dla Żydów mordowanych przez Niemców i do przeszukiwań zwłok pod ścisłym nadzorem Niemców, oraz to, że za ucieczki z oddziałów »skazywani byli na surowe kary więzienia, na karę śmierci i umieszczani byli w obozach karnych. Najczęściej stosowano dwie ostatnie kary«". Na fakt ten w „Dalej jest noc" zwrócił uwagę jedynie w swoim artykule Tomasz Frydel. Słaba to przeciwwaga dla powtarzającego się przypisywania samodzielności w działaniach – cytuję – „wójtów, sołtysów, Ochotniczych Straży Pożarnych, służby leśnej oraz straży wiejskich".

Nie istnieje za to w tej wątpliwej z polskiego punktu widzenia mikrohistorii uprawianej pod egidą Polskiej Akademii Nauk – Kościół. A jeśli już, to możemy dowiedzieć się od prof. Grabowskiego, że proboszcz z Węgrowa w czasie zorganizowanej przez Niemców zbrodniczej akcji starał się „nie wychodzić z domu". Z kanadyjskiej perspektywy twierdzi on, że „interwencja miejscowego sołtysa, nauczyciela czy księdza mogła przynajmniej w pewnym stopniu schłodzić mordercze pasje i poruszyć sumienia". To tak, jak gdyby – powiada Domański – „chodziło o demonstrację w demokratycznym kraju, a nie zbrodnicze praktyki niemieckich władz w okupowanej Polsce. Warto autorowi przypomnieć realia okupacyjne, powtarzając […] rozporządzenie »celem zwalczania czynów gwałtu w GG«: »Kto nawołuje lub zachęca do

eprasa.pl 3ed46125cf

nieposłuszeństwa rozporządzeniom lub zarządzeniom władz Niemieckich, podlega karze śmierci«".

GRABIEŻ NA WIELKĄ SKALĘ

Motywacja współdziałania wyrzutków naszego narodu z okupantem hitlerowskim, denuncjowania przez nich, a niekiedy i mordowania ludności żydowskiej, bywała różna, najczęściej jednak brała się, po prostu, z chęci zysku. Przy czym rabunek domów żydowskich w miasteczkach nazywany bywa w „Dalej jest noc" „grabieżą na wielką skalę". Takiego sformułowania nie używa jednak Dariusz Libionka na określenie faktu, że już wcześniej Niemcy zgarnęli wszystko, co tylko mogli, grożąc karami tym, „którzy uszczkną coś z tak świeżo pozyskanego »majątku państwowego« Rzeszy".

Autorzy, choć we wstępie zapowiadają „odtworzenie losów całych wspólnot żydowskich, polityki okupanta oraz postaw i działań polskiego społeczeństwa", w istocie skupiają się wyłącznie na domniemywanym polskim współudziale w Holokauście. W kontekście tym dr Tadeusz Domański przypominał już wcześniej, bo w 2011 r., sformułowaną przez Barbarę Engelking opinię o „polskich chłopach" będących „wolontariuszami w dziele wymordowania Żydów".

Obraz ten publikacja Centrum Badań nad Zagładą Żydów sama zaciemnia, jak może. Anna Zapalec, opisując powiat złoczowski, pozwala sobie np. na taką uwagę: „Wyjątkowo negatywną rolę [w Holokauście] odegrali też policjanci (byli wśród nich także Polacy) służący w Złoczowie w Policji Kryminalnej [Kriminalpolizei], z których część prawdopodobnie przyjęła volkslistę". Dalej okazuje się jednak, że autorka nie znalazła śladu dowodu na to, co napisała wcześniej.

Co gorzej, wygląda na to – utrzymuje Tomasz Domański – że w „Dalej jest noc" mamy do czynienia z przemilczaniem bądź umniejszaniem roli Niemców w Zagładzie. Przy czym daje się zauważyć pewną dowolność w korzystaniu ze źródeł. Tak np. Barbara Engelking, pisząc o mordach Żydów w Siemiatyczach latem 1941 r., pomija odnoszący się do tych wydarzeń znany artykuł [konkretnie chodzi o „Zagładę ludności żydowskiej w Siemiatyczach" Mirosława Leszczaka], gdyż zawiera on relacje sprzeczne, a przynajmniej nieprzystające do tych, do których sama się odwołuje. Z jej opisu wynika zaś, że to „Niemcy zebrali całą młodzież, a potem oddzielono Żydów od chrześcijan. Potem Niemcy kazali wskazać »przestępców, tzn. komunistów«, co »chrześcijanie natychmiast wykorzystali«. Po czym Engelking przytacza bezosobowo zdanie »spośród dziesięciu wybranych siedmiu zostało zamordowanych«, nie uzupełnia go jednak o informację na temat rzeczywistych sprawców. Czytelnika z tym zostawia, choć to sugerować może, że zabójcami byli owi chrześcijanie".

Wybiórcze wykorzystywanie materiałów doprowadziło w końcu do tego, że – jak twierdzi autor „Korekty obrazu?" – przy pisaniu nie uwzględniono znacznej ilości źródeł dostępnych w Polsce w Archiwum IPN, w Archiwum Narodowym w Krakowie, a nawet – co już jest kuriozalne – w Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego.

MECHANIZM LUDOBÓJSTWA

„Dalej jest noc" odnosi się często do wydarzeń przedwojennych, z reguły jednak prezentując – zwraca uwagę autor „Korekty obrazu?" – „dość jednostronną i pełną uproszczeń wizję tego czasu". A z rozdziału prof. Grabowskiego o powiecie węgrowskim dowiemy się tylko, że endecja miała tam zorganizować bojkot sklepów żydowskich, zresztą nieudany. „Gdyby – czytamy – autor zaprezentował szersze tło dwustronnych relacji w okresie dwudziestolecia z uwzględnieniem życia gospodarczego, nie miałby uzasadnienia dla umieszczenia wręcz absurdalnego zdania na zakończenie tego wątku: »Wybuch wojny zastał społeczność żydowską zepchniętą do dalekiej defensywy, a przemoc wobec Żydów, tak wyraźna w końcu lat trzydziestych, miała niebawem spotęgować się wraz z nadejściem Niemców«. Tego rodzaju narracja oddala nas, a nie przybliża do realiów epoki. Jak ocenić należy taki zapis? Kto odpowiadał za eskalację przemocy wobec Żydów? Czyżby wbrew faktom autor usilnie próbował wpisać Zagładę dokonaną przez Niemców w okresie II wojny światowej na okupowanych ziemiach polskich w obraz sporów pomiędzy obiema społecznościami żyjącymi w wolnym kraju przed 1939 r.? Byłoby to działaniem oddalającym nas od zrozumienia prawdziwego mechanizmu tego ludobójstwa".

TOMASZ DOMAŃSKI „KOREKTA OBRAZU?" IPN 2019

WIEJSKIE „KOMANDA"

Nierzetelnością popisać się miał prof. Grabowski w opisie tragicznych wydarzeń z sierpnia 1943 r. we wsi Ziomaki w powiecie węgrowskim. Konsekwentnie nie przyjmował do wiadomości, że najazdu na gospodarstwo Ratyńskich dokonała wyłącznie granatowa policja, eliminując występujących w niewygodnych zeznaniach żandarmerię i Wehrmacht. Tymczasem Wiktor Ratyński zeznawał po wojnie, że przyjechali do niego „żandarmi wraz z policją z posterunku Grębków na czele z komendantem Kurkowskim z kartką w ręku napisane mieli, ile osób znajduje się i gdzie są przechowywani, mnie w tym czasie w domu nie było, bo pojechałem moczyć len". Wszystko wskazuje na to, że w wydarzeniach uczestniczyli i policjanci, i żandarmi, ale prof. Grabowski sięga prawą ręką do lewego ucha i w jakimś celu dokonuje karkołomnych manipulacji. Nie wiadomo, skąd zjawiają się u niego nagle „sąsiedzi", jakby po to, by kogokolwiek przekonać, że na wsi zbrodnie dokonywane na Żydach stawały się sensacją mającą możliwie wielu świadków. „Takie nienaukowe praktyki – czytamy – naginanie materiału źródłowego do swoich tez, podważają zaufanie do autorów. Tym bardziej że ostatni epizod tej historii pokazywał rzeczywiście zbrodnicze działania grupy chłopów (nazwanej przez Grabowskiego »wiejskim komandem«) podjęte już bez obecności niemieckich funkcjonariuszy we wsi. Na tym autor i tak mógł się skupić". Dokładnie na zabiciu przez tych chłopskich bandytów trzech spośród wyciągniętych z ukrycia Żydów (dwóch najprawdopodobniej uciekło). Grabowski jednak, znów bez podstaw, orzeka, że zbiegli od Ratyńskich Żydzi nie przeżyli. „»Dowodem« – pisze Tomasz Domański – jest stwierdzenie, że w przeciwnym razie złożyliby relację ze swoich przeżyć, a Ratyńscy zostaliby bez wątpienia uznani przez Yad Vashem za Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. To przykład wnioskowania już zupełnie odległego od zasad nauki. Przecież teza, że wszyscy Żydzi, którzy przeżyli okres II wojny światowej, złożyli relacje uprawniające do nadania tytułu Sprawiedliwych, jest najzwyklejszą niedorzecznością".

PRZECIEŻ JESTEŚMY LUDZIE

A oto jeszcze jedno nieprzypadkowe przekłamanie dotyczące wydania

eprasa.pl 3ed46125cf

ukrywającej się w Skalbmierzu Estery Zylberband. Historyk Dariusz Libionka, powołując się na akta sprawy sądowej z 1949 r., utrzymuje, że uczyniła to niejaka Natalia Wójcik, koleżanka Magdaleny Kozioł, kobiety ukrywającej Żydówkę. Sęk w tym, że sąd ten nie uznał oskarżenia za zasadne i Natalię Wójcik oraz jej męża uniewinnił. W stosowym przypisie ten sam historyk przywołuje jeszcze dwa dokumenty: list Dawida Wolgelerntera z 1948 r. i o pół roku późniejszy protokół z jego przesłuchania. Dokumenty te wzajemnie się wykluczają, co pewnie tłumaczy taki, a nie inny wyrok sądowy, ale nie wyjaśnia postępowania badacza, który wskazuje na przeciwstawne źródła, pomijając milczeniem różnice między nimi.

Dawid Wolgelernter ukrywał się u tej samej co Estera Magdaleny Kozioł, gdzie – jeśli wierzyć Libionce – otrzymywał wraz z bratem Chaimem „coraz gorsze jedzenie, mimo że musieli za nie słono płacić, a wreszcie z dnia na dzień wymówiono im kryjówkę". Niczego podobnego Dawid Wolgelernter nie zeznał. Potwierdził jedynie, że razem z bratem „był na utrzymaniu" u Magdaleny Kozioł. W liście zaś, o którym była już tutaj mowa, Dawid wspominał: „Przyszła do nas P. Magdalena strasznie nieszczęśliwa i łamiąc ręce, obawiała się, [że] może Esterka powiedziała przed swoją męczeńską śmiercią, gdzie i kto ją przechowywał. Myśmy bardzo płakali, gdyż od P. Magdaleny musimy iść, a przecież absolutnie nie mieliśmy gdzie. Ale Magda nas nie puściła, powiedziała, trudno, co będzie z wami, to będzie ze mną, przecież jesteśmy ludzie. U P. Magdaleny byliśmy 16 miesięcy. Dalszych moich przeżyć nie piszę, gdyż to nie jest istotne dla sprawy. Muszę tylko dodać, że P. Magdalena trzymała nas bezinteresownie, gdyż myśmy żadnych pieniędzy nie mieli".

STOPNIOWANIE SKALI POMOCY

Wyciszone, zmarginalizowane, a czasem wręcz usunięte z przytaczanych w „Dalej jest noc" relacji zostały głosy krytyczne wobec Judenratów. Autorzy, którzy tak chętnie eksponują wszelkie negatywne zjawiska związane z Polakami, w tym miejscu zachowują milczenie bądź najdalej posuniętą wyrozumiałość. W efekcie Dariusz Libionka, sięgając do cytowanego już tutaj listu Dawida Wolgelerntera, wycina z tego, istotnego przecież, źródła jednoznacznie negatywną ocenę działań Jüdischer Ordnungsdienst: „Służba porządkowa bardzo szybko posiadła dużą władzę i stała się postrachem ludzi. Uległością i butą starała się przypodobać swym panom gestapowcom. Podczas każdej akcji i wykonywania rozkazów jej funkcjonariusze wyróżniali się okrucieństwem. Także w obecnym wysiedleniu nie siedzieli z założonymi rękami. I jeśli kiedyś jakiś historyk żydowski zechce spisać dzieje tych dni i dojdzie do rozdziału: »Ordnungsdienst«, zarumieni się ze wstydu". Doktor Domański napomina w tym miejscu, że nawykły do takiej narracji czytelnik zgoła nie pojmie, dlaczego ileś stron dalej ten sam autor przywołuje relację, z której wynika, iż Żydzi obawiali się kontaktów z policją żydowską.

Autorzy „Dalej jest noc", pisząc dużo o negatywnych zachowaniach Polaków, zachowują milczenie wobec kolaborującej z Niemcami żydowskiej policji. Z lewej: funkcjonariusz tej służby w warszawskim getcie w maju 1941 r. FOT. LASKI DIFFUSION/EAST NEWS

Barbara Engelking pokusiła się natomiast o stopniowanie skali pomocy Żydom. Odróżnia ona „ratowanie" Żydów od „pomagania" im. To pierwsze ceni wyżej jako długotrwałe, połączone z ukrywaniem, żywieniem, utrzymywaniem. Pozostałe formy powinny być, jej zdaniem, nazywane tylko pomocą, która oznacza większą „sprawczość Żydów". A układając całą tę konstrukcję, nie wspomni pani profesor ani słowem o tym, że kara śmierci z niemieckich rąk groziła Polakom za wszystkie „nielegalne" kontakty z Żydami, za ratowanie i pomaganie im. Czapa, ta sama czapa.

„Korekta obrazu?" Tomasza Domańskiego to pierwsza z zapowiedzianych przez Instytut Pamięci Narodowych recenzji książki „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski". Dotknęła ona tylko wybranych zagadnień poruszonych w podjętych przez autorów książki obszarach badań. Sądzę, że na należną odprawę czeka zupełnie niewiarygodne, znacznie zawyżone wyliczenie tych ofiar żydowskich, do których śmierci w czasie okupacji hitlerowskiej przyczynić się mieli lub wręcz ją zadali – Polacy.

A jakie wnioski płyną z „Korekty obrazu?"? Doktor Tomasz Domański powiada, „że w »Dalej jest noc«, która pretenduje do miana opracowania historycznego, posłużono się swoistą, nieznaną szerzej historykom metodą badawczą w zakresie interpretacji i krytyki źródeł. Zjawisko to niepokoi i stawia pod znakiem zapytania wnioski, które grupa badaczy zaprezentowała w swojej pracy. Przegląd zawartości tylko części z wykorzystanych przez autorów źródeł dostarcza świadectw dużej ilości manipulacji, zniekształceń, błędnych interpretacji. Uchybienia i manipulacje źródłami nie wystawiają »Dalej jest noc«, przedstawianego jako opracowanie naukowe, dobrego świadectwa. Wiele z wymienianych zjawisk i zdarzeń powinno zostać opisanych od nowa z uwzględnieniem realiów okupacyjnych i rzetelnej analizy źródeł".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ed46125cf

Wiesław Chełminiak
z Wilna

Mickiewicz łączył Polaków. Czy jednak pogodzi nas z Litwinami?

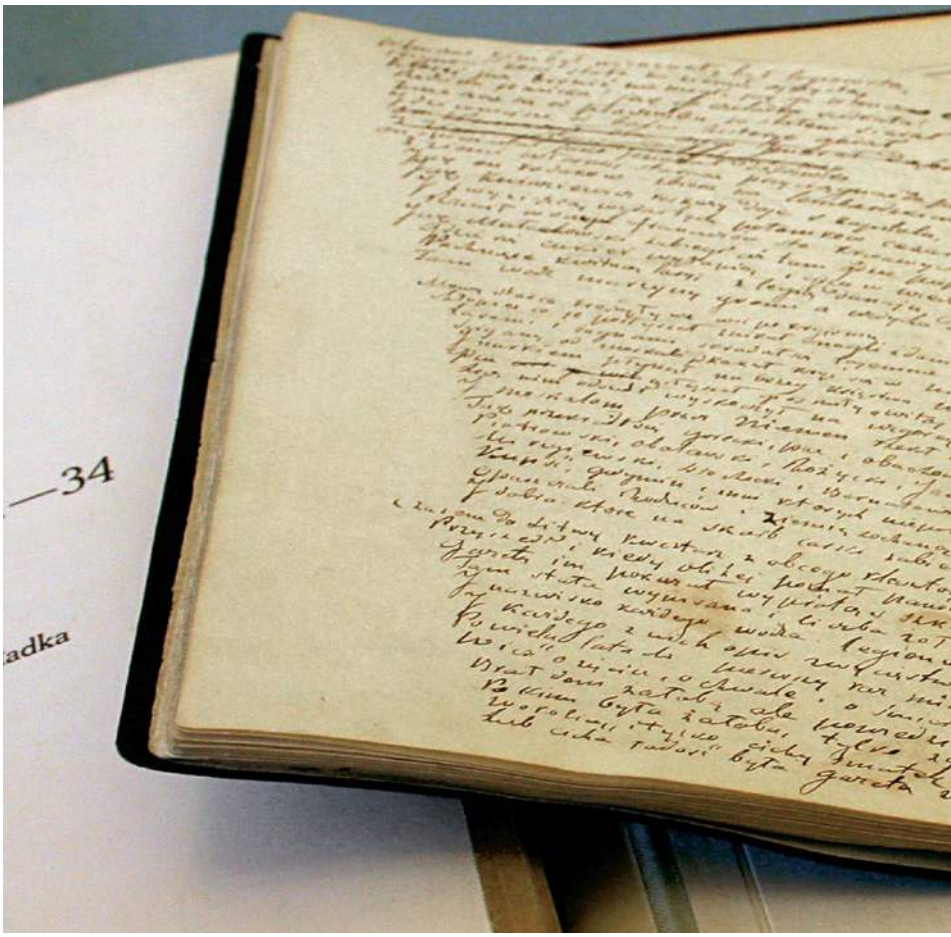

Adam wrócił

Warszawa odbudowała z ruin Zamek Królewski, Wilno zafundowało sobie nowiuteńki Pałac Wielkich Książąt. Obie budowle miały służyć celom reprezentacyjnym, ostatecznie jednak ulokowano w nich muzea. To dobra zmiana, gdyż politycy przychodzą i odchodzą, kultura zaś – przynajmniej w teorii – jest wartością trwałą, samoistną i ponadpartyjną.

Zmartwychwstanie rezydencji, wzniesionej za ostatnich Jagiellonów, zrujnowanej przez wojsko rosyjskiego cara i rozebranej tuż po trzecim rozbiorze, wypada uznać za akt dziejowej sprawiedliwości. Trochę dziwi stojący przed wejściem pomnik pogańskiego władcy Giedymina, za to wewnątrz unosi się duch Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Bohater wystawy „Litwo, Ojczyzno moja… Adam Mickiewicz i jego poemat »Pan Tadeusz«" przyszedł na świat już po upadku państwa. Nazwanie go pogrobowcem uznałby jednak za ciężką obrazę.

W czasach wieszcza polskość – rozumiana jako kulturowa wspólnota wszystkich obywateli, niezależnie od ich pochodzenia i wyznawanej religii – wciąż miała się dobrze. Kto wie, może nawet lepiej niż w czasach króla Stanisława Augusta, gdy przy wtórze wzniosłych haseł o ratowaniu ojczyzny objawił się zawstydzający splot korupcji, prywaty, naiwności i tchórzostwa naszej elity. Paradoksalnie Polska jako idea wyszła z politycznej katastrofy wzmocniona, przekonana o swej moralnej wyższości i prawie do istnienia. Mickiewicz oraz inni romantycy w tej tradycji wyrośli i potężnie ją umocnili. Powstał kapitał, którego nie mogło roztrwonić nawet tysiąc przegranych powstań. Nadwątliła go dopiero nowoczesność.

POEZJA I WIEPRZOWINA

Polsko-litewska współpraca kulturalna ruszyła z kopyta 10 lat temu. Przyjęto zasadę, że wypożyczamy, co mamy najcenniejszego: za skarby katedry wileńskiej zrewanżowaliśmy się krakowskimi arrasami. Muzealnicy prześcigają się w zapewnieniach o wzajemnej życzliwości. W 2009 r. na aukcji w Paryżu Litwini sprzątnęli Polakom sprzed nosa tapiserię z herbem Zygmunta Augusta, która być może podróżowała do Wilna razem z królem. „W Krakowie cieszyliśmy się z takiego rozstrzygnięcia" – przekonywał wicedyrektor Zamku Królewskiego na Wawelu, Jerzy T. Petrus.

Do odbudowanego Pałacu Wielkich Książąt idealnie pasowałaby ekspozycja poświęcona Jagiellonom lub Radziwiłłom, ale czasy unii wciąż wzbudzają nad Wilią mieszane uczucia. Wybrano więc postać wzbudzającą najmniej kontrowersji. Mickiewicza czcili nawet komuniści, poza tym jest doskonałym bohaterem opowieści o wspólnej polsko-litewskiej przeszłości: umarł, zanim drogi obu narodów zaczęły się rozchodzić.

Poeta nigdy nie był w Warszawie ani Krakowie. Kowna nie cierpiał, za Wilnem tęsknił do końca życia. Wystawę można więc uznać za symboliczny powrót autora „Ballad i romansów" do domu. Nawiasem mówiąc, tych domów, a raczej wynajmowanych pokoi, było kilkanaście. Niektóre już nie istnieją. W zaułku Bernardyńskim, gdzie ubogi student Adam pomieszkiwał kątem u nauczyciela matematyki, znajduje się dziś niewielkie muzeum.

Zwiastunem wystawy był spektakl „Dziadów", wystawiony tuż przed Zaduszkami w wileńskim Teatrze Opery i Baletu. Eimuntas Nekrošius umarł trzy tygodnie później, nie zdążył już wyreżyserować „Króla Leara" w warszawskim Teatrze Narodowym. Żal tym większy, że jego działalność przyczyniała się do przełamywania

eprasa.pl 3ed46125cf

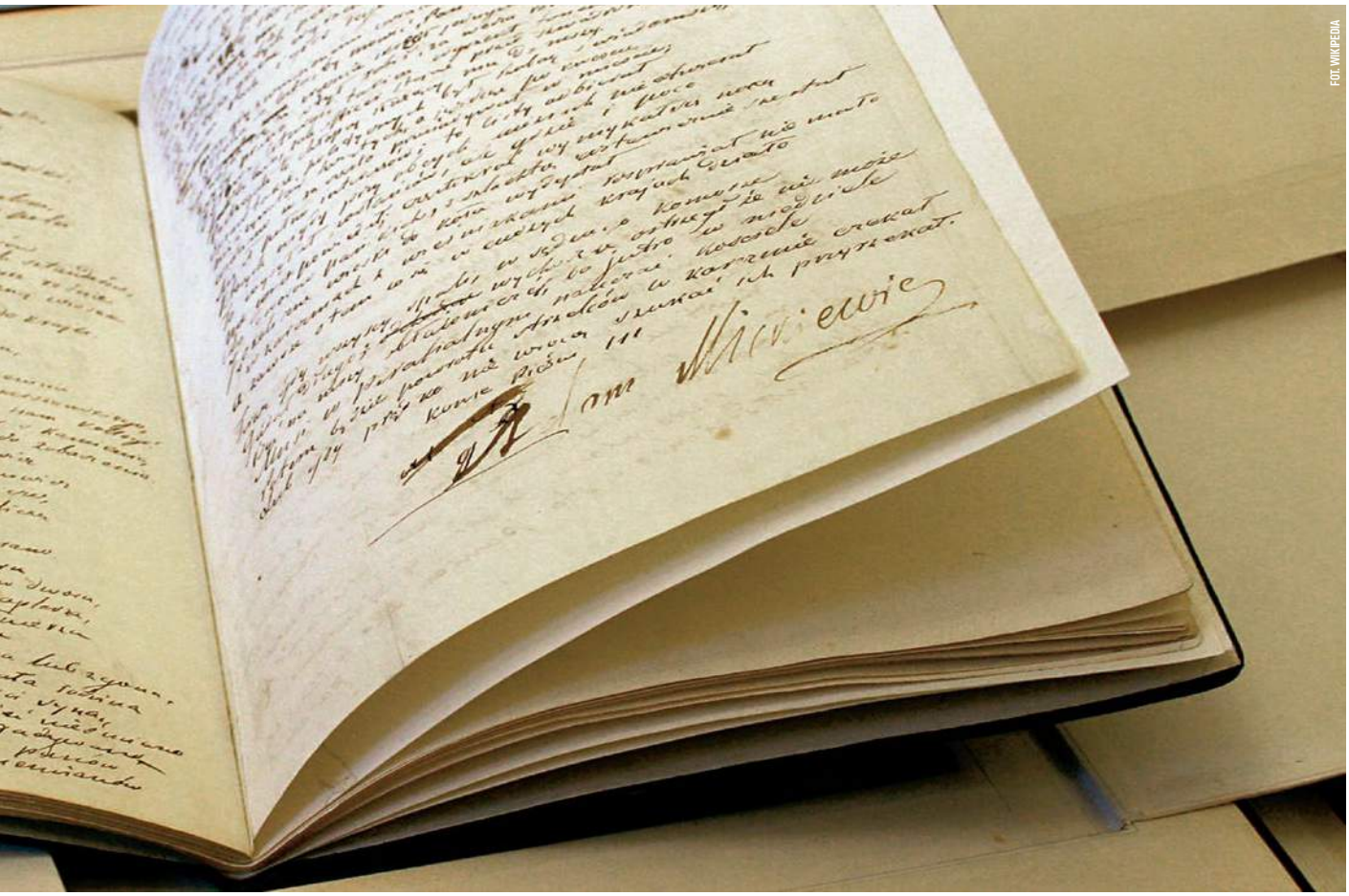

FOT. WIKIPEDIA

do domu

litewsko-polskich uprzedzeń. Mickiewiczowska ekspozycja, zorganizowana pod patronatem premierów i ministrów kultury, jest wpisana w obchody stulecia odzyskania niepodległości przez oba narody. Hymn Litwy nieprzypadkowo odtwarza inwokację „Pana Tadeusza”.

Na górze mamy politykę ukłonów i uśmiechów, na dole nie jest tak słodko. Nasz rząd uodpornił się jednak na lamenty polskiej mniejszości na Wileńszczyźnie. Mało tego, zarzuca jej przywódcom prorosyjskość i przywiązanie do sowieckich tradycji. Prezydent Duda powiedział, że są winni Litwie lojalność. Jednego z liderów ZPL wręcz oskarżono o defraudację przysłanych z Polski dotacji. Trudno to traktować inaczej niż jako sygnały, że Warszawa nie chce dłużej być zakładnikiem lokalnego sporu. Z drugiej strony polityczną odwilż między oboma krajami ogłaszano już kilka razy. Zobaczymy, czy ta obecna przetrwa tegoroczny serial wyborczy. Premier Skvernelis, okrzyknięty w Krynicy Człowiekiem Roku, już zdążył postraszyć Polaków odwetem za niezgodne z prawem europejskim blokowanie importu litewskich świń i wieprzowiny.

WIESZCZ MIAŁ GEST

O skrzeczącej (a raczej chrumkającej) rzeczywistości zapomina się, stojąc przed gablotą z pancernego szkła, chroniącą naszą narodową relikwię. Rękopis „Pana Tadeusza” zaskakująco często zmieniał właścicieli. Władysław Mickiewicz, syn i główny spadkobierca Adama, popadłszy w tarapaty finansowe, zaoferował go lwowskiemu Ossolineum. Ówczesny szef zakładu musiał odmówić, bo właśnie wykosztował się na popiersie wieszcza z brązu, wykonane przez wziętego francuskiego rzeźbiarza Davida d’Angersa (można je podziwiać na wystawie). Manuskrypt kupił Stanisław Tarnowski, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, polonista i szef stronnictwa Stańczyków. Po śmierci profesora trafił w ręce jego krewniaków z Dzikowa.

W 1939 r. epos został oddany w depozyt do Ossolineum. Sowieci, którzy zajęli Lwów, nie omieszkali wykorzystać tego faktu w celach propagandowych. Znany skądinąd Jerzy Borejsza ogłosił, że robotniczo-chłopska władza udostępni skarb, który obszarnicy perfidnie ukrywali przed ludem pracującym. Z tej okazji rękopis wyjęto z hebanowej szkatułki i oprawiono

eprasa.pl 3ed46125cf

w czerwoną koźlęcą skórę. Figurki z kości słoniowej, zdobiące szkatułkę, zniknęły w tajemniczych okolicznościach.

Następni okupanci, Niemcy, wywieźli manuskrypt do Rzeszy razem z innymi archiwaliami. Odnaleziony koło Złotoryi, przewieziony do Warszawy, ostatecznie trafił do Wrocławia. Zdaje się, że w stolicy nikt nie sprawdził, co zawiera zgrzebny pakunek, obwiązany sznurkiem, skoro pozbyto się go tak lekką ręką.

Po zaspokojeniu roszczeń potomków Tarnowskich (skromne 200 tys. dol.) rękopis stał się własnością Ossolineum. Od dwóch lat jest eksponowany we wrocławskim Muzeum Pana Tadeusza. Za granicą pokazano go dotąd tylko raz: w Wiedniu w 2009 r. Skromny zeszyt w marmurkowej okładce poeta miał zawsze pod ręką, lubił z niego odczytywać ulubione fragmenty. Niestety, miał fatalny zwyczaj wydzierania stron i obdarowywania nimi fanów (zwłaszcza płci pięknej). Nie wszystkie udało się odnaleźć i odzyskać.

ZNACIE? TO OBEJRZYJCIE

Ponad 250 eksponatów składających się na wystawę pochodzi głównie z polskich zbiorów. Litewski wkład to przede wszystkim wydobyte z archiwów dokumenty: potwierdzenie szlachectwa Mickiewiczów, notatki ucznia kowieńskiej szkoły powiatowej z lekcji retoryki, prowadzonych przez przyszłego wieszcza, rysunek Tomasza Zana, przedstawiający widok z okna słynnej celi w klasztorze Bazylianów, poręczenie Joachima Lelewela, adresowane do szefa komisji śledczej Nowosilcowa. Historyk wpłacił kaucję, dzięki czemu Adam mógł opuścić areszt. Ze Śmiełowa przyjechały meble z salonu państwa Bécu, w którym gospodarz szydził z twórczości młodego poety. Ten zemścił się szpetnie, opisując w „Dziadach” śmierć profesora jako karę wymierzoną przez niebiosa za płatne donosicielstwo.

Kuratorzy najwyraźniej założyli, że zwiedzający są z romantyzmem za pan brat (albo przewodnik im wszystko opowie), więc potraktowali tło historyczne, życie i pośmiertny kult Mickiewicza nader skrótowo. Portrety Słowackiego, Krasińskiego czy Towiańskiego aż proszą się o jakieś objaśnienie, komentarz, choćby w formie cytatu. Co łączyło tych panów z bohaterem wystawy? Litwini raczej tej zagadki nie rozwiążą. Pokolenie inteligentów, dla którego polska kultura była odtrutką na sowietyzm, wymiera. Młodzi żyją w innym świecie. Twórczość autora „Pana Tadeusza” – uważanego nie za swojaka, lecz klasyka literatury powszechnej – omawiana jest w pierwszej klasie szkoły średniej, na podobnych zasadach jak poematy Byrona, Goethego czy Puszkina. I zapewne równie szybko uczniom z głów wypada.

Mickiewicz spędził na terenie obecnej Litwy dziewięć lat. Tutaj zdobył wyższe wykształcenie, zaczął na siebie zarabiać, wydał debiutancki tomik wierszy, zawarł kluczowe przyjaźnie, poznał smak miłosnych triumfów oraz rozczarowań. W Wilnie na studenckich balangach ujawnił się jego talent improwizatorski godny współczesnego rapera. W sielskiej dolinie pod Kownem układał w myślach „Grażynę” i plan schadzki z piękną doktorową Karoliną Kowalską. Przedwojenne deliberacje na temat kształtu pomnika wieszcza zakończył wylew Wilii, która zabrała prototyp, i tyle go widziano.

WYSTAWA „LITWO, OJCZYZNO MOJA…” W MUZEUM NARODOWYM – PAŁACU WIELKICH KSIĄŻĄT W WILNIE JEST OTWARTA DO 24 LUTEGO

Zapewne dałoby się z takich epizodów ulepić ekspozycję nieco mniej trącącą myszką, może nawet multimedialną, w stylu wrocławskiego Muzeum Pana Tadeusza. W obecnej formie jest ona adresowana do litewskich Polaków, oni Mickiewicza znają i kochają. Turystów zagranicznych, jak mniemam, zaintryguje co najwyżej wypchany niedźwiedź, którego – w zastępstwie Jacka Soplicy – ustrzelił sam prezydent Algirdas Brazauskas.

ROZWÓD BEZ KOŃCA

Nie samą poezją człowiek żyje. Instytut Polski w Wilnie w ramach obchodów 100. rocznicy odzyskania niepodległości zorganizował spotkanie kobiet Solidarności i Sajudisu. W kowieńskim Muzeum Sztuki otwarto wystawę „Anioł i syn” o Witkiewiczach, którzy – wbrew pozorom – nie pochodzili z Zakopanego, lecz ze Żmudzi. W lutym, podczas Wileńskich Targów Książki, planowana jest premiera obszernej publikacji o Witkacym, pierwszej w języku litewskim. Na murach katedry w Telszy odsłonięto tablicę poświęconą braciom Narutowiczom: Gabrielowi (pierwszemu prezydentowi RP) i Stanisławowi (sygnatariuszowi Aktu Niepodległości Litwy).

Tematem przewodnim projektu międzyszkolnego „Wspólna historia łączy” była historia miłości Zygmunta Augusta i Barbary Radziwiłłówny. Czyż grób królowej w wileńskiej katedrze nie powinien stać się celem pielgrzymek zakochanych, jak fałszywy sarkofag Julii w Weronie? To łatwiejszy do osiągnięcia cel niż odczarowanie Piłsudskiego, na którego Litwini wciąż mają alergię. Prędzej przekonają się do brata marszałka, Bronisława (wystawę o pechowym etnografie urządzono w pałacu Radziwiłłów).

Postaci, do których oba narody mogłyby się przyznać bez wywoływania kłótni, jest mnóstwo. Od braci Śniadeckich do Mykolasa Römerisa, czyli Michała Römera – rektora uniwersytetu w Kownie, który walczył w I Brygadzie Legionów. W zeszłym roku przypomnieliśmy Litwinom osobę księdza rektora Akademii Wileńskiej, Marcina Poczobutta-Odlanickiego, i architekta Oskara Hansena, twórcę Otwartej Formy. Czy nasi sąsiedzi skorzystają z szansy rozbudowania swego panteonu, czas pokaże.

Mickiewiczowskiej wystawie towarzyszą zapowiedzi następnych przedsięwzięć, oby mniej analogowych. Instytut zrealizuje w tym roku blisko 150 projektów poświęconych m.in. 450. rocznicy unii lubelskiej, 15. rocznicy wstąpienia Polski i Litwy do Unii Europejskiej i 200. rocznicy urodzin Stanisława Moniuszki. Kompozytor „Strasznego dworu” zasługuje na miano wilniuka bardziej niż autor „Pana Tadeusza”, mieszkał tutaj ponad 20 lat.

Małżonkowie, którzy rozstają się w gniewie, z reguły wolniej wracają do psychicznej równowagi. Byłego partnera nie potrafią ocenić sprawiedliwie. Od rozwodu Jadwigi i Jagiełły minął już wiek. To dużo, lecz chyba wciąż za mało. Ile warte są szejkhendy polityków, okaże się przy pierwszym poważniejszym kryzysie. Tytaniczne wysiłki Instytutu im. Adama Mickiewicza oraz Instytutu Polskiego w Wilnie przyniosą pożądany efekt – w dłuższej perspektywie. Jeśli pożyjemy wystarczająco długo, to doczekamy dwujęzycznej wystawy o Wilnie – centrum polskiej kultury w okresie międzywojennym. A może nawet pomnika Piłsudskiego w Druskiennikach, przedstawiającego marszałka siedzącego na ławeczce z widokiem na Niemen.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ed46125cf

TRE MONTI
SKI & BIKE RESORT

NAJLEPSZA INWESTYCJA W CENTRUM KARPACZA!

Stały dochód wypłacany **co miesiąc**
i brak kosztów eksploatacyjnych!

130 przestronnych apartamentów

30 dni pobytu właścicielskiego

Bogata infrastruktura i atrakcje regionu

Lokalizacja w centrum Karpacza – idealna do inwestowania

wprost NIERUCHOMOŚCI

numer telefonu
22 299 00 22

sprzedaz@tremonti.pl

www.tremonti.pl

Prezentowane informacje nie stanowią oferty w rozumieniu Art. 66 § 1 Kodeksu Prawnego.

eprasa.pl 3ed46125cf

Z Dorotą „Dodą" Rabczewską, piosenkarką
rozmawia Grzegorz Brzozowicz

Musi być na bogato

GRZEGORZ BRZOZOWICZ: Najnowszą płytę „Dorota" z własnymi interpretacjami polskich i światowych przebojów zadedykowałaś zmarłej niedawno babci.

DOROTA „DODA" RABCZEWSKA: Nigdy nie nagrałabym takiej płyty, gdyby nie śmierć babci Luci. Kiedy odeszła, pracowałam w studiu nad kolejną płytą z moim autorskim materiałem. Spontanicznie zmieniłam plany i nagrałam ulubione piosenki babci oraz kilka moich ukochanych. Bardzo fajne doświadczenie, dzięki któremu zaśpiewałam z wielką orkiestrą przeboje z repertuaru Ewy Bem, Maryli Rodowicz, Anny Jurksztowicz czy „Krakowski spleen" Maanamu. Babcia była moim trzecim rodzicem. Kiedy zmarł dziadek, przeniosła się do nas. Mój ojciec, mieszkając z teściową przez 34 lata, wykazał się ogromną wyrozumiałością.

Czy to babcia zaraziła cię śpiewaniem?

Przejęłam po niej talent muzyczny, ale przede wszystkim czarne oczy, bo mama ma niebieskie, a tata piwne. Babcia szyła mi pierwsze stroje sceniczne, jednak to mama, jeszcze jak byłam w przedszkolu, postanowiła kształcić mnie muzycznie. Potem nauczycielka z podstawówki zaprowadziła mnie do szkoły muzycznej, gdzie dyrektor stwierdził, że mam słuch absolutny. Skończyłam klasę fortepianu, zaczęłam jeździć na festiwale, gdzie zauważyła mnie Elżbieta Zapendowska. Po ukończeniu jej szkoły śpiewu zostałam najmłodszą aktorką występującą w musicalu „Metro". Miałam 13 lat.

Wszystko wskazywało na to, że zamiast piosenkarką zostaniesz lekkoatletką.

Mój ojciec [Paweł Rabczewski – przyp. G.B.] był wicemistrzem świata w podnoszeniu ciężarów. W domu mamy jest więcej jego medali niż talerzy. Tata szczegółowo zaplanował moją karierę. Byłam zdyscyplinowana i uwielbiałam ćwiczyć. Inne dzieci paliły papierosy, piły alkohol na schodach szkoły, a ja przez parę godzin dziennie robiłam wyniki. Pchałam kulą, rzucałam dyskiem i oszczepem, ale najlepsza byłam w biegach krótkich. Do rekordu Ireny Szewińskiej na 60 metrów dzieliło mnie półtorej sekundy. Na mistrzostwach Polski młodzików zdobyłam brązowy medal. Na stadion przychodzili przystojni, starsi chłopcy. Śmiali się ze mnie, bo treningi czasami wyglądały komicznie. Raz, kiedy coś mi dogadywali, tata podszedł do nich i powiedział: „Zakładam się z wami o trzy stówy, że żaden z was nie przybiegnie na metę szybciej od niej". „Wchodzimy w to" – chórem odpowiedzieli. Miałam 12 lat, sięgałam im do pach, ale jak wyskoczyłam z boksów, to nawet do połowy dystansu nie dobiegli, kiedy byłam na mecie. Wtedy zrozumiałam, że nikt nie jest w stanie podważyć mojej wartości.

Zapewne ojciec mocno przeżył, kiedy na swoją przyszłość wybrałaś muzykę, a nie sport.

Powiedział mi: „Doronia, wybierzesz, co zechcesz, ale ze sportem jest tak, że jak dobiegniesz do mety pierwsza, to nikt ci tego nie zabierze, a w muzyce niezależnie, jak pięknie zaśpiewasz, to połowie osób się spodoba, a drugiej nie". Wybrałam śpiewanie.

Co zdecydowało?

Próżność kobieca, blichtr show-biznesu, światła reflektorów, Britney Spears w dużym telewizorze… i przede wszystkim chłopcy nie umawiali się z dziewczynami, które miały większe bicepsy od nich.

W wieku 15 lat przeniosłaś się z Ciechanowa do Warszawy.

Mama nakrzyczała na mnie: „Nic nie wiesz o życiu. Warszawa jest innym światem niż Ciechanów". Pracowałam na mój sukces od 13. roku życia bez wsparcia finansowego, bez wpływowych rodziców. Wszystko, co osiągnęłam, zdobyłam dzięki własnej pracy i konsekwencji.

Jesteś w tym biznesie już od 20 lat. Jak on się zmienił?

Był okropny moment, kiedy zaczęły pojawiać się portale internetowe i tabloidy. Bazowały wyłącznie na obrzydliwych, upadlających artystów informacjach. Nikt za nami się nie tylko nie wstawiał, lecz także ludzie napawali się tymi artykułami. Wielu wykonawców zamknęło się w sobie, niektórzy nawet się wycofali. Teraz modny jest nurt stop-hejt, bo okazało się, że zaczyna on dotykać nie tylko celebrytów. Artyści nie boją się już wzajemnie wspierać, a kilka lat temu panował strach i nikt nie bronił osoby, na którą został wydany lincz medialny. Jeśli dziś powstawałyby takie artykuły, to gwiazdy wygrywałyby w sądach setki tysięcy złotych.

Jak ty to przetrwałaś?

Byłam zaimpregnowana i totalnie znieczulona. Nie mogłam pozwolić, żeby ktoś zniszczył moją pracę, moje dzieciństwo i marzenia. Mam sportowy charakter – głowa do góry i idę do przodu.

W ostatnich latach często odwiedzałaś sądy. I to nie tylko ze względu na pomówienia.

W pewnym momencie ręce opadają i musisz się zgłosić do wymiaru sprawiedliwości. To, że jestem znana, nie oznacza, iż nie mam swojej godności i mam pozwalać innym na wszystko. Z każdym panem odźwiernym jestem na „ty". Nie sprawdzają mi już torebki podczas przechodzenia przez bramkę. „Dzień dobry, pani »Dodo«. Dziś sala numer 114" – mówi strażnik. Czasami wyrok jest sprawiedliwy, a czasami absurdalny. Czasami sąd nawet nie zna terminologii związanej z przemysłem muzycznym. Pierwszy kontrakt fonograficzny podpisywałam, gdy miałam 17 lat, a dokładniej – podpisali go za mnie rodzice. Raz dostałam w kość, drugi raz zostałam oszukana. Raz straciłam kilkaset tysięcy złotych, drugi raz musiałam się wziąć w garść i nauczyłam się czytać umowy, bo lepiej oddać pieniądze na cele charytatywne, niż dawać oszustom.

eprasa.pl 3ed46125cf

Stworzyłaś wizerunek artystyczny, który jest wyrazisty, a zarazem wzbudza skrajne emocje.

Wiedziałam, że nie mogę się zapętlić w kłamstwach wizerunkowych. Kiedy zaczynałam, czułam, że potrzebny jest na naszym rynku taki american dream. Z moich cech stworzyłam postać, która wybiła się pośród dominującej na estradzie szarości. To miał być pakiet: głos, styl, charyzma i odwaga w byciu sobą. Jako 17-latka wykonałam kawał dobrej marketingowej roboty.

Tyle że wiele osób odbierało to, co robiłaś, jako amerykański kicz.

A dziś już każdy uważa, że zapisałam się w historii muzyki jako największa w Polsce performerka i „że nikt już nie robi takiego show jak Doda". Kocham Britney Spears, choć nie zawsze podobają mi się jej wybory artystyczne. Wychowałam się w teatrze, więc nie musiałam oglądać MTV, by wiedzieć, że scena rządzi się swoimi prawami. Musi być na bogato, musi być więcej niż w życiu, musi być przerysowane, i to od zawsze było dla mnie oczywiste.

Dojrzewanie na oczach całej Polski jest nie lada wyzwaniem.

To jest ogromnie ryzykowne i nie polecam tego ludziom o słabym charakterze. Atakowane są bezprawnie najbliższe osoby, tak jak choćby mój mąż, który nie jest osobą publiczną. Dzięki opisaniu „afery" z udziałem męża „Dody" rosną nakłady pism. Nie podjęłabym się kolejnego związku z osobą publiczną. Mama twierdzi, że prawdziwa miłość lubi ciszę, i to jest prawda.

Show-biznes nieodłącznie kojarzony jest z używkami.

Jestem daleka od wymuskanego wizerunku damy, jestem szczera wobec fanów. Spędziłam lata w trasie z rock'n'rollowcami i poznałam życie jak mało kto! Używki, choć są dla ludzi, są bardzo niebezpieczne! Uwielbiam scenę, ona jest moim żywiołem i je mi z ręki. Jestem wesołą, otwartą osobą i nie potrzebuję do tego stymulantów. Jednak narkotyki służą wielu artystom jako środek przeciwbólowy na stres związany z tym biznesem. Po koncertach adrenalina buzuje i by się wyciszyć, pijesz jedno winko, potem drugie i po 10 latach jesteś alkoholikiem. Aby zasnąć, artyści zaczynają brać leki nasenne, co jest jeszcze gorsze. A nie daj Bóg, jeśli ktoś te rzeczy miesza. Dlatego zabierałam swoich facetów na koncerty, bo wydawało mi się, że w hotelach będę miała namiastkę domu. To jest ciężki kawałek chleba i by nie przeholować, bardzo ważne jest, aby najbliżsi trzymali cię przy ziemi. Kiedy woda sodowa uderza, ale jeszcze bardziej, żeby nie odwracali się, gdy tracisz wszystko. Wszystko jest w głowie i zależy od samodyscypliny oraz spoglądania na siebie z dystansu.

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

Ty nie tylko nie zażywasz, lecz także masz obsesję na punkcie zdrowego odżywiania.

Uwielbiam swój organizm. Pomagam kilku fundacjom oraz szpitalom i widziałam straszne rzeczy. Jednego dnia grałam w szachy z kolegą chorym na białaczkę, a drugiego dnia wywożono go w czarnym worku. Widzę na co dzień, jak organizm może być słaby, i wiem, ile zależy od nas samych. Nowotwory rosną w ludziach jak grzyby po deszczu. Za każdym razem, kiedy widzę kogoś pijącego red bulla, to mnie boli serce za niego. W szkołach powinno się o tym uczyć, jak jedzeniem można się zatruć i jak można się nim leczyć. Nie wiem, czy dbanie o zdrowie wynika z mojego wychowania, czy z sympatii do własnego organizmu. Śpię dziewięć godzin dziennie z korkami w uszach. Już jako dziecko nie jadałam słodyczy, tylko kaszę gryczaną i chude mięso. Lubię mięso, ale przestałam je jeść, odkąd zdałam sobie sprawę, jak jest nafaszerowane sterydami, antybiotykami i hormonami. W rankingu narkotyków cukier jest na pierwszym miejscu przed heroiną. Non stop piję wodę z mikroelementami, mam swój aparat tlenowy. Po trzydziestce, jak wypijam lampkę wytrawnego, czerwonego wina, to potem tydzień oczyszczam organizm. Z domu wyrzucasz śmieci, to z organizmu też by się przydało.

Lubisz siebie.

Chciałabym mieć taką koleżankę jak ja sama. Od dziecka lubię gadać ze sobą, bo fajnie jest czasem pogadać z kimś mądrym... albo szalonym (śmiech).

Powróćmy do muzyki. Wystąpiłaś w ubiegłym roku przed Guns N' Roses, a wcześniej pojawiłaś się na koncercie Slasha, gitarzysty tej grupy.

Kiedy wchodząc na scenę, zobaczyłam faceta w cylindrze, który mrugnął do mnie okiem i zaczął grać „Sweet Child of Mine", spełniło się moje największe marzenie. Słuchałam tej piosenki jako nastolatka i marzyłam, by kiedyś być na koncercie Guns N' Roses. Kiedy zadzwonił do mnie Slash, wyleciała mi filiżanka z ręki. Moja fanka jest jego przyjaciółką. Puściła mu nagranie, na którym wykonywałam numer Gunsów, więc postanowił zaprosić mnie do wzięcia udziału w jego występie. Przez pół roku musiałam trzymać to w tajemnicy. Myślałam, że oszaleję. Po koncercie powiedział, że był zaszczycony moim udziałem. Czy ktokolwiek w Polsce tak by się zachował? On jest bardzo ciepły, spokojny i „czysty". Od 10 lat nie pije, nie pali papierosów i nie bierze narkotyków.

Nie ma lepszego biznesu niż show-biznes?

Kiedy jako bizneswoman zbiorę wszystkie plusy i minusy, to powiem ci, że cena, jak dla mnie, bycia w tym wszystkim nie jest duża. Jeszcze mogę dać napiwek.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ed46125cf

Piotr Gociek

„Green Book" to opowieść o tym, że można się dogadać. Na tle pozostałych filmów nominowanych do Oscara o konfliktach rasowych wygląda jak list z innej epoki

W drodze do

Don Shirley to wirtuoz fortepianu przyjmowany z honorami w Białym Domu. Pierwszy występ dał w wieku lat trzech, jest doktorem psychologii, muzyki i religioznawstwa. Mieszka w apartamencie przy Carnegie Hall, między dziełami sztuki i cennymi eksponatami z całego świata (są i oryginalne słoniowe kły). Aha, i jeszcze ważna informacja: jest czarnoskóry. Z kolei Tony Vallelonga (dla przyjaciół Tony Lip) to biedny włoski imigrant zarabiający jako wykidajło w nocnych klubach. Kiedy z forsą krucho, bierze udział w konkursach jedzenia hamburgerów albo hot dogów na czas – czegóż się nie robi, by utrzymać żonę i dwoje dzieciaków. Tony myli język rosyjski z niemieckim, nie ma pojęcia o francuskiej operze ani o Orfeuszu, kopci jak lokomotywa, klnie jak szewc, a nade wszystko jest rasistą. Gdy przyuważy czarnych robotników pijących w jego kuchni lemoniadę, szklanki, których dotykali, wyrzuca do śmieci. Nie dorabia do swojej niechęci żadnej ideologii, po prostu jak wielu innych biednych potomków imigrantów najlepiej czuje się wśród swoich, zaś obcym nie ufa za grosz.

Film „Green Book" to opowieść o podróży tej mocno niedobranej pary przez południowe stany USA. Jest rok 1962, Alabama czy Missisipi to nie miejsca, w których czarny (nawet sławny) mógłby czuć się bezpieczny. Tony jest więc nie tylko kierowcą, lecz także ochroniarzem artysty. Historia inspirowana jest prawdziwymi wydarzeniami. Don Shirley, zmarły w roku 2013, jest uznawany za jednego z największych amerykańskich wirtuozów. Tony Vallelonga (odszedł z tego padołu w tym samym czasie) również istniał naprawdę, faktycznie za młodu klepał biedę i imał się różnych zajęć. W drugiej części życia trafił do show-biznesu i został aktorem, którego kariera rozpięta jest między drobną rólką w „Ojcu chrzestnym" a mocną kreacją w „Rodzinie Soprano" (grał tam mafijnego bossa zwącego się Carmine Lupertazzi).

STAROŚWIECKA ROBOTA

Wśród licznych filmów dowartościowujących afroamerykańską mniejszość fetowanych w tym roku („Green Book" ma pięć nominacji do Oscara i zdobył trzy Złote Globy) ten jest najbardziej tradycyjny. Unika politycznej plakatowości, jednoznacznej propagandy, która zaszkodziła niegłupio skądinąd napisanemu filmowi Spike'a Lee „Czarne bractwo. BlacKkKlansman". Jest też produktem bardziej hollywoodzkim niż kameralna, chwalona przez krytyków ekranizacja powieści Jamesa Baldwina „Gdyby ulica Beale umiała mówić". Takich filmów niemal się już dziś nie robi. W „Green Book" umiejętnie rozłożono akcenty dramatyczne i komediowe, aktorzy dostali dużo czasu na zbudowanie postaci, a cała opowieść ma wymowę krzepiącą: świat nie jest idealnym miejscem, ale ludzie z różnych środowisk, rozmaicie wychowani i często uprzedzeni do siebie mogą owe uprzedzenia przełamać, znaleźć nić porozumienia, a może i przyjaźń. Nauczyć się czegoś od siebie nawzajem, ale przede wszystkim nauczyć się szacunku dla innych.

Ta staroświecka porządna robota jest dziełem – spore zaskoczenie – reżysera znanego głównie z filmów kręconych wraz z bratem. Peter Farrelly to połowa duetu, która odpowiada za takie produkcje, jak „Głupi i głupszy", „Sposób na blondynkę" czy „Skazani na siebie". W najnowszym filmie pokazał nieznaną dotąd delikatność, niemal epickie oko, jeśli chodzi o sposób opowiedzenia historii obrazem oraz cierpliwość i skromność w prowadzeniu aktorów. Cała ta opowieść byłaby bowiem tylko przeciętna, gdyby nie Mahershala Ali i Viggo Mortensen w rolach głównych.

Tego pierwszego chwalono w ostatnich latach często – i było za co. Zdobywca Oscara za rolę w filmie „Moonlight" dobrze wypadł choćby w „House of Cards" jako lobbysta Remy Danton, a teraz zachwyca potrójną kreacją w trzecim sezonie „Detektywa". Jako wyrafinowany i nieco wyobcowany Don Shirley jest bardzo dobry i ma sporą szansę na kolejnego Oscara. Szokującym pomysłem natomiast było obsadzenie w roli jego włoskiego szofera Viggo Mortensena, którego dotychczasowe ekranowe emploi

eprasa.pl 3ed46125cf

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

normalności

było całkowicie sprzeczne z potrzebami roli. Chociaż… David Cronenberg powierzył mu we „Wschodnich obietnicach" rolę kilera rosyjskiej mafii i Mortensen spisał się chwacko. Teraz pokazał, że jego możliwości transformacji są niemal nieograniczone. Po kilkunastu minutach zapominamy, że rolę Tony'ego Vallelongi gra syn Duńczyka i wnuk Kanadyjczyka. Akcent, gesty, mimika, wszystko jest na miejscu. Magia kina działa, a Mortensen, który na potrzeby roli mocno przytył, staje się przedstawicielem włoskiej biedoty z nowojorskiej Little Italy.

NIE DO PARY

Podstawowy chwyt jest oczywisty i wykorzystywany po wielokroć w rozmaitych konfiguracjach. Ileż mieliśmy na ekranie takich bohaterów nie do pary, którzy docierają się na oczach widza. I ileż wspólnych podróży, które są dla takich duetów transformującym doświadczeniem. Nowością jest oczywiście odwrócenie schematu „bogaci biali – biedni czarni", który widzieliśmy choćby w „Wożąc panią Daisy" Bruce'a Beresforda sprzed 30 lat. W „Green Book" to czarnoskóry Don Shirley jest uosobieniem kultury, obycia i wyższego materialnego statusu. A biały łobuziak Tony Lip jest dobrodusznym chłopkiem-roztropkiem, który nawet nie zauważa, kiedy jest obrażany przez swojego szefa (jak wtedy, gdy Don mówi mu, że podobnie jak jego ekszona ma wielkie serce, ale nie jest zbyt mądry).

Jak wyglądają lekcje, których sobie nawzajem udzielą? O szacunku już wspomniałem, kolejną sprawą jest oduczenie się przez jednego i drugiego popadania w krzywdzące uogólnienia. Poza tym czarny nauczy białego, że są na świecie rzeczy ważniejsze od własnego interesu, a biały czarnego, że warto jeść smażone kurczaki pułkownika Sandersa i tego, że żyć pełnią też trzeba się nauczyć. Tony Lip jest bowiem przy Donie Shirleyu kimś w rodzaju miniatury Greka Zorby, udzielającym porad w stylu „Mój ojciec mawiał, że cokolwiek robisz, rób to na sto procent: nieważne, czy jesz, czy kochasz".

Tytułowy „Green Book" to wydawana w czasach dogorywającej segregacji rasowej książka dla czarnoskórych podróżnych, informująca o tym, w których motelach mogą się zatrzymywać. Trasę koncertów Shirleya ustaliła wytwórnia płytowa, ale szlak noclegów i posiłków trzeba już było ustalić wedle tej księgi hańby smutnych czasów, gdy na porządku dziennym było wywieszanie tabliczek „Tylko dla białych" czy „Tylko dla kolorowych" oraz wydzielanie nawet w prywatnych domach osobnych toalet dla poniżanej mniejszości. Podróż na amerykańskie Południe będzie jednak dla bohaterów czymś więcej niż tylko okazją do zobaczenia na własne oczy świata jakże odległego od kosmopolitycznych ulic Nowego Jorku i zmierzenia się z niebezpieczeństwami. Obaj staną się dzięki kilkutygodniowej odysei lepszymi ludźmi.

Raz jeszcze wypada powiedzieć: ależ to staroświeckie, ależ to nie na czasie, w porównaniu z tegoroczną oscarową konkurencją. Spike Lee w „Czarnym bractwie" dokonuje daleko posuniętej afirmacji czarnych, wzywając wprost do wojny rasowej. Nie ma miejsca na kompromisy, kto dogaduje się z wrogiem, ten sam staje się wrogiem, kto wierzy że zmieni opresyjny system od środka, ten głupiec. Komiksowa superprodukcja „Czarna Pantera" to natomiast rewizjonistyczna rozrywka, bajka o tym, że w sercu Afryki kryje się cywilizacja potężniejsza i mądrzejsza od białej – cywilizacja czarnego człowieka, która w dodatku ocali świat.

Pojednawczy ton „Green Book" wzbudził tymczasem w USA u niektórych okrutną irytację. Rodzina Dona Shirleya zarzuciła twórcom scenariusza, że nić zrozumienia i przyjaźń między bohaterami zwyczajnie wymyślili. Znalazłem i recenzje, w których poświęcano sążniste akapity wyjaśnianiu „dlaczego w prawdziwym świecie Don i Tony nigdy nie mogliby zostać przyjaciółmi" i tak dalej. Smutny to znak smutnych czasów. Oznacza bowiem, że nie o sprawiedliwość i tolerancję już chodzi, ale o rewanż, zemstę, upokorzenie w drugą stronę. Co można wywalczyć w ten sposób? Pewnie miejsce w kinach oraz w werdyktach jury dla kilku ostrych, czasem przegiętych filmów. Wspólnej przyszłości podzielonego narodu – już nie.

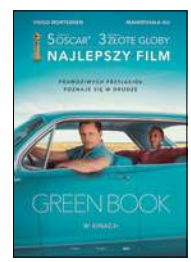

★★★★☆☆

REŻ. PETER FARRELLY
„GREEN BOOK"
USA 2018

wyst. Mahershala Ali, Viggo Mortensen, Linda Cardellini, Dimiter D. Marinov

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ed46125cf

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Dobry człowiek z NSDAP

Ćwierć wieku minęło, jak z bicza strzelił, i oto znów mamy na ekranach „Listę Schindlera". Wiązaliśmy z tym filmem wielkie nadzieje, lecz żadna z nich nie została spełniona.

W 1992 r. nasze media piały z zachwytu. Oto nad Wisłę zjechał sam Steven Spielberg, by stworzyć dzieło monumentalne w formie i doniosłe w treści. To było jak nobilitacja, potwierdzenie przynależności do cywilizowanego świata. Po premierze miny nam jednak trochę zrzedły, choć pocieszano się, że dwa Oscary z siedmiu trafiły w ręce rodaków. Tak naprawdę słynny reżyser Polaków zignorował: w ponadtrzygodzinnym widowisku pojawiają się tylko incydentalnie. Może to i lepiej, bo przed rozpoczęciem zdjęć Mistrz obejrzał wielokrotnie „Shoah" Lanzmanna. Podczas gali z okazji 25-lecia już bez skrępowania mówił o polskim antysemityzmie.

Amerykańska krytyka okrzyknęła „Listę Schindlera" jednym z najważniejszych filmów w historii kina. Uznano go za świadectwo dojrzałości „nowego Disneya". Czy słusznie? W kategoriach technicznych to niewątpliwe arcydzieło. Spielberg po raz kolejny okazał się genialnym inscenizatorem, nie rezygnował z upodobania do melodramatycznych i sentymentalnych scen oraz gestów. I wygrał na tym. Świat potrzebował prostej oraz krzepiącej narracji, w której kat jest tylko katem, ofiara wyłącznie ofiarą, zaś w Auschwitz z pryszniców zamiast gazu leci zwykła woda.

Ralpha Fiennesa, grającego zdeprawowanego esesmana Amona Götha, Oscar ominął, ale role socjopatów i potępieńców stały się odtąd jego specjalnością. Liam Neeson, który wcielił się w tytułowego bohatera, wypadł blado. O ileż ciekawszy (i przy okazji bliższy prawdzie) byłby Schindler, który nie doznaje żadnej iluminacji, pozostaje do końca cwaniakiem ze znaczkiem NSDAP w klapie, na ogniu rozpalonym przez Hitlera próbującym upiec własną pieczeń. W odróżnieniu od swoich ziomków (sudeccy Niemcy często byli fanatycznymi nazistami) ten szemrany biznesmen okazał się całkowicie odporny na rasistowskie teorie. Wyznawał bowiem zasadę: „Żyj i pozwól żyć innym". Spielberg nie potrzebował jednak człowieka, tylko anioła.

„Lista Schindlera" wyznaczyła standard hollywoodzkiej opowieści o zagładzie europejskich Żydów jako najważniejszym wydarzeniu XX w. Dzisiaj owa bajkowa konwencja już się wyczerpuje, pojawiają się fabuły takie jak „Syn Szawła" czy „Wołyń", ukazujące wojenno-okupacyjny horror bez złudzeń i znieczulenia. Polska nie stała się, jak liczono przed ćwierćwieczem, zapleczem amerykańskiego przemysłu filmowego. Teraz cała nadzieja w Trumpie. Może pozwoli nam zbudować fort swego imienia? ©℗

★★★★☆☆

REŻ. STEVEN SPIELBERG
„LISTA SCHINDLERA" („SCHINDLER'S LIST")
USA 1993

wyst. Liam Neeson, Ben Kinglsey, Raplph Fiennes

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „JAK WYTRESOWAĆ SMOKA 3"

Trzeci film animowanej serii luźno opartej na książkach dla dzieci Brytyjki Cressidy Cowell. Całość liczy 12 części. Dotychczasowe filmy z lat 2010 i 2014 zarobiły łącznie ponad miliard dolarów, film trzeci ma szansę być równie kasowy, zwłaszcza że twórcy filmu mocno zainwestowali w to, by tajemnicza ukryta dotąd kraina smoków wyglądała na ekranie imponująco. Jednak i bez tego cykl jest przykładem sympatycznego kina przygodowego z dużą dawką fantazji i humoru. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„Jak wytresować smoka 3", reż. Dean DeBlois, wyst. Gerard Butler, Cate Blanchett, Jonah Hill, USA 2019***

NA EKRANY WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Alita: Battle Angel", reż. Robert Rodriguez, USA 2019***
- ***„Prodigy. Opętany", reż. Nicholas McCarthy, USA/Hongkong 2019***
- ***„Lomo: Życie blogera", reż. Julia Langhof, Niemcy 2017***
- ***„Niewidzialny chłopak – Nowa Generacja", reż. Gabriele Salvatores, Włochy 2018***

eprasa.pl 3ed46125cf

Ostatni romantycy

Niezapomniani Blues Brothers w trakcie niszczycielskiego rajdu przez hipermarket zauważyli z uznaniem: „Naprawdę mają tu wszystko". Uczucia, które wzbudza świątynia kapitalizmu w bohaterach „Walca w alejkach", są zgoła odmienne. Jest ona dla nich drugim domem. A właściwie to pierwszym, bo gdy szychta w dziale napojów albo w mrożonkach dobiegnie końca, stają się życiowymi rozbitkami.

Sklep wielkopowierzchniowy tylko z pozoru jest miejscem nieprzytulnym. Dla pracowników to przestrzeń oswojona i na swój sposób magiczna. Gdy wózek widłowy dostojnie mija regały zapełnione dobrem wszelakim, a z głośników słychać „Nad pięknym modrym Dunajem", przed oczami staje „2001: Odyseja kosmiczna" Kubricka. W tym mikroświecie wszyscy znają się jak łyse konie, tworzą zgraną i solidarną drużynę (kiedyś mówiło się: kolektyw). Nic tak bowiem nie łączy jak papieros wypalony wbrew przepisom w toalecie czy wspólne podjadanie przeterminowanych towarów ze śmietnika.

★★★☆☆☆
REŻ. THOMAS STUBER
„WALC W ALEJKACH" („IN DEN GÄNGEN")
NIEMCY 2018

wyst. Franz Rogowski, Sandra Hüller, Peter Kurth

Hipermarket znajduje się we wschodnich Niemczech, w powietrzu więc oprócz romantyzmu czuć traumę po ustrojowej transformacji i zjednoczeniu. „Wszystkich nas przejęli" – mówi ze smutkiem Bruno, doświadczony wykładacz towarów. Jak widać, nieboszczka NRD wciąż ma za Odrą wielu fanów. W sumie banał, ale dobrze zagrany. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PAN KOPCIUSZEK W SZANGHAJU

To nie jest film o ludziach bogatych, lecz o ludziach absurdalnie bogatych. No i wielka kolorowa luksusowa reklama wszystkiego, co chińskie: Szanghaju, linii lotniczych oraz pięknych Chinek i Chińczyków. Za tą zasłoną ekstrawagancji kryje się na szczęście coś jeszcze: opowieść o tym, jak trudno dzieciom spełniać wymagania rodziców, zwłaszcza gdy ci nie rozumieją, że kolejne pokolenie ma prawo do własnych sukcesów i porażek. Przesłanie mało odkrywcze, ale wigor, z jakim opowiedziano tę historię, jest imponujący. Dziedziczka chińskiej fortuny przybywa do domu z ubogim narzeczonym – proszę obserwować uważnie, jak mistrzowską kreację tworzy Michelle Yeoh w roli zawiedzionej, wymagającej matki. Film Jona M. Chu to także uczta dla oka, bo opowieść o bogaczach musi wyglądać (i wygląda!) odpowiednio wystawnie. Od czasu „Diabeł ubiera się u Prady" nie oglądałem tak zgrabnie zrobionej kinowej konfekcji. Tak jak w tamtym filmie znalazłem tu i humor, i serce. ©℗

★★★★★☆
REŻ. JON M. CHU
„BAJECZNIE BOGACI AZJACI" („CRAZY RICH ASIANS")
USA 2018, DYSTR. GALAPAGOS

wyst. Constance Wu, Henry Golding, Michelle Yeoh

TAKSÓWKARZ MŚCICIEL POWRACA

„Banał w wersji de luxe pozostaje banałem niezależnie od tego, ilu Denzel Washington ukatrupi gangsterów i jak bardzo malowniczo Fuqua to pokaże" – pisałem w 2015 r. na łamach „Do Rzeczy" z okazji premiery DVD filmu „Bez litości". O jego kontynuacji mógłbym powiedzieć to samo, odnotowując jednak, że rozmach realizacyjny jest tym razem dużo większy, a prosta opowieść o tajemniczym mścicielu (na co dzień kierowcy lukstaksówki) wzbogacona zostanie o elementy kina społecznego. Główny wątek to jednak prywatne śledztwo w sprawie przyjaciółki Denzela zamordowanej w dziwnych okolicznościach. Z tym zaś powiązana będzie kwestia przeszłości naszego mściciela (wreszcie dowiemy się, kto zacz i dlaczego taki ponury). Reżyser mówi, że marzy mu się część trzecia. Ponieważ w kasie wszystko się zgadza, to pewnie tak się stanie. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

★★★☆☆☆
REŻ. ANTOINE FUQUA
„BEZ LITOŚCI 2" („EQUALIZER 2")
USA 2018, DYSTR. IMPERIAL

wyst. Denzel Washington, Pedro Pascal, Ashton Sanders, Melissa Leo

GRA TYGODNIA: „FOUNDATION"

Współczesne symulatory budowy miast opierają się na tworzeniu idealnych siatek ulic, zaplanowaniu stref przemysłowych i zorganizowaniu komunikacji miejskiej. A gdyby tak wrócić do korzeni? Beztroskich czasów średniowiecza, w których zaczynało się od rynku i targu, a dalej scenariusz rozwoju pisała natura i warunki przyrodnicze? Właśnie taką grą, niejako powrotem do pierwszych części „Settlersów", jest „Foundation". Urokliwa, przypominająca animacje Pixara grafika, rozbudowane opcje tworzenia zamków i klasztorów, wiarygodnie oddane zależności klasowe. Przyjemna odskocznia od zabieganego świata. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★☆

Marcin Makowski

- ***Gatunek:*** *Strategia*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Polymorph Games*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *3+*

eprasa.pl 3ed46125cf

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Piłsudski i kacapi

Trzy niewielkie, za to bogato ilustrowane szkice: Włodzimierza Sulei, Andrzeja Nowaka i Henryka Głębockiego tworzą w sumie niewielką, ale smakowitą książeczkę o Józefie Piłsudskim i jego relacjach z Imperium Rosyjskim. Te, na pierwszy rzut oka, wydają się proste, jednoznaczne, a antyimperializm przyszłego Naczelnika Państwa Polskiego w gruncie rzeczy równa się antyrosyjskości, całkowicie zrozumiałej, biorąc pod uwagę fakt akcentowany przez prof. Andrzeja Nowaka już na wstępie jego eseju, że „zanim Piłsudski zainteresował się Rosją, Rosja weszła w życie rodziny Piłsudskich". A jeśli chodzi o Rosję nieimperialną, z którą mogliby Polacy współdziałać, to nadzieja na taką zajaśniała może Piłsudskiemu przed rokiem 1905, zaraz też zgasła.

Ruchy rewolucyjne, dokonujące się w całej Europie, sprawiały jednak, że dwa lata wcześniej ten sam Piłsudski wzywał: „Musimy zacząć da capo prowadzić zagraniczną politykę – względem Rusinów, Rosjan, Kaukazu, Litwinów, Łotyszów, ba! Niemców et cetera".

Miał za sobą wtedy doświadczenia, jeszcze z końca XIX w., próby podporządkowania przez Polską Partię Socjalistyczną konkurencyjnego wobec SDPRR odłamu rosyjskiej socjaldemokracji. To wtedy powierzył Piłsudski Mikołajowi Tatarowowi, przyjacielowi Żeromskiego i tłumaczowi „Ludzi bezdomnych", rolę łącznika z tą grupą, zwaną robotnikami rewolucjonistami, a działającą m.in. w Białymstoku, Kijowie i Petersburgu. Dążąc do zawarcia sojuszu partyjnego (na warunkach podyktowanych przez PPS), Józef Piłsudski tak określał jego sens: „Jak kwestii żydowskiej, tak w pewnej mierze litewskiej i ruskiej, nie rozstrzygniemy bodaj bez bezpośrednich lub pośrednich wpływów kacapskich. Jeżeli u nas

FOT. NAC

się oglądają na Rosję, tym bardziej to robią wszyscy inni. […] Zawarcie formalnego sojuszu przez nas i partię kacapską, którą i inne narody uważałyby za przedstawicielkę ruchu rewolucyjnego w Rosji, zabiłoby bodaj w najbliższych naszych sąsiadach Żydach Litwinach [sic! – pisownia oryginalna] chęć walczenia z nami i poddałoby ich naszej władzy".

Zamierzenia te, jak wiemy, spełzły na niczym i po latach pozostał po nich jedynie ten archiwalny ślad… barwnego „kacapa".

Wydana przez IPN książka w sporej swej części dyskontuje już wyniki archiwalnego rekonesansu przeprowadzanego w Rosji przez Henryka Głębockiego. Odkrył on dotyczące Piłsudskiego materiały policyjno-sądowe, już choćby tylko dlatego – bardzo ciekawe. Przypomnieć tu należy, że w nocy z 24 na 25 listopada 2017 r. dr hab. Henryk Głębocki został zatrzymany w Moskwie przez FSB, która nakazała badaczowi opuszczenie Rosji w ciągu 24 godzin, bez prawa powrotu. Historyk Uniwersytetu Jagiellońskiego przebywał wówczas w Rosji od 14 listopada, prowadząc kwerendę archiwalną i biblioteczną.

Dokumenty zbadane przez Głębockiego znacząco poszerzają naszą wiedzę o poczynaniach Piłsudskiego między 1895 a 1915 r. „Choć epizody, do których wzmiankowane policyjne informacje się odnoszą, były opisywane już wielokrotnie, to brakowało wszelako spojrzenia niejako z drugiej strony. A były to epizody w życiorysie przyszłego Naczelnika kluczowe: łódzka wpadka drukarni »Robotnika«, pobyt w warszawskiej Cytadeli oraz w petersburskim szpitalu dla umysłowo chorych i spektakularna ucieczka stamtąd. Drugi obszerny segment materiałów wiąże się z akcją bezdańską i jej reperkusjami" – pisze prof. Włodzimierz Suleja.

Jednak dla niżej podpisanego najciekawiej brzmi obecny w raportach ochrany wątek podjęcia współpracy Piłsudskiego z Dmytro Doncowem, twórcą koncepcji ukraińskiego nacjonalizmu, z polskiego punktu widzenia – postaci fatalnej. Jak powiada profesor Suleja, „wydaje się to wysoce prawdopodobne, biorąc pod uwagę, z jednej strony, wyraźne postawienie wówczas przez owego politycznego myśliciela i zarazem działacza na Austro-Węgry jako taktycznego sojusznika sprawy ukraińskiej w ewentualnym konflikcie z Rosją, z drugiej zaś, udokumentowane zabiegi Piłsudskiego o pozyskanie w obrębie ukraińskich sił politycznych realnego sojusznika. Ślad tych kontaktów wydaje się być bezsporny, ich charakter wymaga jednak źródłowego pogłębienia". ©℗

★★★★☆

KRZYSZTOF MASŁOŃ „JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO POJEDYNEK Z IMPERIUM (1887–1917)" IPN 2018

eprasa.pl 3ed46125cf

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Wolność w epoce postludzkiej

To nie jest klatka, jeśli cały czas się porusza. To nie więzienie, jeśli możemy chodzić, gdzie chcemy" – uważa bohaterka książki australijskiego fantasty Petera Wattsa, autora znakomitego „Ślepowidzenia". Kiedy wreszcie zmieni zdanie, będzie musiała stawić czoło niezwykle skutecznej i wszędobylskiej formie opresji.

„Poklatkowa rewolucja" w kostiumie historii z dalekiej przyszłości stawia aktualne pytanie: Jak walczyć o wolność w czasach totalnej inwigilacji? Kpił niedawno gorzko na łamach „Do Rzeczy" Lee Child: jak ludzie, którzy buntowaliby się na ulicach przeciwko rządowi, który chce wiedzieć, dokąd chodzą na zakupy i o czym rozmawiają ze znajomymi na kolacji, sami beztrosko dzielą się tą wiedzą za pomocą mediów społecznościowych?

Watts idzie dużo, dużo dalej. Do granic człowieczeństwa i nauki. Bohaterka jego książki przemierza odległe rubieże kosmosu na pokładzie gigantycznego statku kosmicznego „Eriophora", który ma już za sobą 60 mln lat misji. Pamięta czasy sprzed startu. Jak to możliwe? Załoga budzona jest jedynie na krótkie chwile co kilka tysięcy lat. Wtedy, gdy uzna to za potrzebne sztuczna inteligencja kierująca misją. Owa sztuczna inteligencja zarządza wszystkim, wie wszystko, widzi i słyszy wszystko, bo wszelkie systemy zapisu danych są do niej podpięte. Już to czyni bunt przeciw jej władzy niezmiernie trudnym.

Na tym nie koniec. Ponieważ mieszkańcy „Eriophory" podpięci są także do sieci komputerowej, ich opiekun/nadzorca (niepotrzebne skreślić) może patrzeć ich oczami i słyszeć ich uszami. Jak organizować rewolucję w takiej sytuacji? Kto pamięta „Paradyzję" Janusza Zajdla, ten wie, jak jego bohaterowie oszukiwali elektroniczny nadzór: używali specjalnego slangu opartego na skojarzeniach, których nie był w stanie wychwycić komputer, oraz uczyli się poruszać tak, by dezorientować kamery. W „Poklatkowej rewolucji" zadanie jest dużo trudniejsze, lecz Peterowi Wattsowi nie brakuje pasji (i wynalazczości) w obronie wolności i człowieczeństwa. Czy nie braknie takiej pasji nam, teraz, w XXI stuleciu? Pytam wpatrzony w ekran komputera z otwartymi okienkami kilku mediów społecznościowych. Stukam tę recenzję na klawiaturze, którą ktoś może bez trudu inwigilować keyloggerami. Na obudowie monitora lśni oko kamery, przez którą można mnie podglądać – tak jak i was. Halo, jest tam kto? Przyłączacie się do buntu czy uważacie, że wszystko jest w porządku? ©℗

★★★★★☆

PETER WATTS „POKLATKOWA REWOLUCJA" MAG 2019

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Czy to wykorzystywanie historii do celów politycznych? A może tylko dbałość o historyczną spuściznę? To domena prawicy czy lewicy? Czy jest wynalazkiem XXI w.? Znany politolog przedstawia pionierską, bardzo ciekawą pracę.

RAFAŁ CHWEDORUK „POLITYKA HISTORYCZNA" PWN

Podtytuł: „Niemiecka okupacja ziem polskich podczas I wojny światowej". Z cytowanych niemieckich źródeł przebija pretensja, że Polacy zamiast docenić łagodność władz okupacyjnych, zaczęli je rozbrajać. Za co ukarano nas w 1939 r.

JESSE KAUFFMAN „ILUZORYCZNE PRZYMIERZE" PIW

Hawking mniej znany, ale jakże przydatny, gdy trzeba o nauce rozmawiać z ośmioczy dziesięciolatkiem. Początek serii edukacyjnej liczącej sześć tomów, tylko trzy były wydane dotąd w Polsce (dekadę temu i w innym tłumaczeniu).

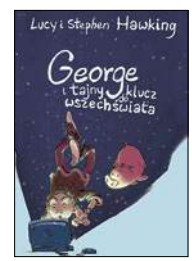

LUCY I STEPHEN HAWKING „GEORGE I TAJNY KLUCZ WSZECHŚWIATA" ZYSK I S-KA

Co zrobić, gdy cierpienia ofiary są transmitowane na żywo przez nieznanego sprawcę, jedynym świadkiem porwania jest mała dziewczynka, a trop wiedzie do Neapolu? Trzynasta powieść o Lincolnie Rhyme i Amelii Sachs. ©℗

poleca Piotr Gociek

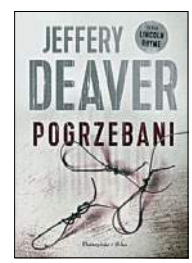

JEFFERY DEAVER „POGRZEBANI" PRÓSZYŃSKI I S-KA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Katarzyna Michalak „Trzy życzenia" (Znak) – miała być trylogia, ale jest i tom czwarty tzw. serii mazurskiej, rozpoczętej powieścią „Gwiazdka z nieba".***
2. ***Kamil Bałuk, Wacław Krupiński „Wodecki. Tak mi wyszło" (Agora) – skrzyżowanie reportażu z biografią, opowieść o zmarłym w 2017 r. wokaliście.***
3. ***Kuba Wojewódzki „Biografia nieautoryzowana" (Wielka Litera) – nie biografia, ale autobiografia. W dodatku nie da się tego czytać. Ale da się sprzedać.***
4. ***Nela „Nela i wyprawa do serca dżungli" (Burda Książki) – literatura edukacyjno-podróżnicza dla najmłodszych, kolejny tom popularnej serii.***
5. ***Heather Morris „Tatuażysta z Auschwitz" (Marginesy) – opowieść o Lale Sokołowie, który tatuował więźniom niemieckiego obozu numery na rękach.***

(Najchętniej kupowane tytuły w sieci BookBook od 2 do 17 stycznia 2019 r.)

eprasa.pl 3ed46125cf

FOT. MOJZES IGOR/ADOBE STOCK

Wykształceni lubią rocka

Teledysk Michaela Jacksona do piosenki „Black or White" zaczyna się od próby uciszenia nastolatka przez ojca. Chłopak skacze po pokoju, udając, że gra na gitarze, dom zaś trzęsie się od głośnej muzyki, a zwłaszcza od ostrych dźwięków gitary elektrycznej. To początek lat 90. w Stanach Zjednoczonych. Pod koniec drugiej dekady XXI w. w Polsce z pokojów nastolatków płyną inne dźwięki. Jakie? Między innymi takie kwiatki: „To ciebie chcę łapać za rękę nad morzem / Żaden tam ze mnie romantyk / Byłaś tu wtedy, jak nie miałem nic / Dzisiaj wycieczki nam patrzysz". „Od nędzy do piniędzy" – chciałoby się puścić oko, ale to „patrzenie wycieczek", to tak na serio, to fragment zupełnie poważnej piosenki rapera o pseudonimie Szpaku.

I ten „Szpaku" jest najchętniej, zaraz po innym raperze – „Paluchu" – słuchanym przez młodzież polskim wykonawcą. Tak wynika z badania przeprowadzonego przez Narodowe Centrum Kultury na reprezentatywnej grupie nastolatków w wieku 12–17 lat.

Czego jeszcze się z badania dowiadujemy? Tego, że rap jest najczęściej słuchanym przez młodzież rodzajem muzyki. Niewiele dalej za nim jest pop, następnie długo, długo nic i rock, a tuż za rockiem disco polo ex aequo z dance. Na liście ulubionych wykonawców obok wspomnianych wyżej „Palucha" (1. miejsce) i pana „Szpaka" (3. miejsce) są m.in. Rihanna (2.), Eminem (5.), Michael Jackson (11.), Lady Gaga (12.), Ed Sheeran (13.). Znaleźli się i raper-polityk „Popek" (16.), i gwiazdy disco polo. Żaden tam Sławomir, który to od niedawna jest na scenie, ale weterani: Boys (7.!), Akcent (15.), Zenon Martyniuk (19.). Jak zauważają autorzy raportu: „Wymienieni wykonawcy [disco polo – przyp. red.] są obecni na polskiej scenie od wielu lat, przy ich muzyce mogli się w młodości bawić rodzice nastolatków biorących udział w sondażu".

Na gusta muzyczne młodych niewielki wpływ mają płeć czy miejsce zamieszkania. NCK zauważa jednak korelację między wykształceniem rodziców a preferencjami muzycznymi ich dzieci. Najwyższy poziom wykształcenia jest w grupie rodziców dzieci słuchających rocka, jazzu, smooth jazzu i chilloutu. Najniższy dotyczy rapu i disco polo.

Zatem nie moda, radio, diabelski Internet, ale dyplomy rodziców i muzyka, której dzieci słuchały przez ściany podczas prywatek, najbardziej winne są tego, czym one katują teraz rodziców? Niedaleko pada „Szpaku" od Zenona. Nie chciało się dźwigać teczki – trzeba słuchać sieczki. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Akustyczne brzmienia i prawdziwe emocje

Wygrała brawurowo trzecią edycję programu „Idol". Ma dwie złote płyty i dwie platynowe, a teraz jako piąta polska gwiazda nagrała album ze znakiem MTV Unplugged.

Formuła występów akustycznych zapoczątkowanych w 1989 r. najlepiej sprawdziła się na płycie Erica Claptona „Unplugged", która rozeszła się w 26 mln egzemplarzy. Dla Brodki najważniejszy koncert „bez prądu" dała Nirvana. W hołdzie dla tego zespołu wykonuje na płycie „Heart-Shaped Box".

Występ Brodki, wyreżyserowany przez Agnieszkę Smoczyńską („Córki dancingu", „Fuga"), odbył się w ubiegłym roku w Lublinie. Program był przekrojowy. Obok hitów („Varsovie", „Granda", „Horses") znalazły się duety z Dawidem Podsiadłą („Santa Muerte") i Krzysztofem Zalewskim („Syberia"), a w finale monumentalna, przepiękna wersja pierwszego przeboju „Ten".

„Akustyczna" Brodka gra nastrojami. Każdy dźwięk traktowany jest z wielkim pietyzmem. Muzycy 11-osobowego zespołu używają tak nietypowych instrumentów, jak: fisharmonia, gitara rezofoniczna, ukulele i organy basowe, omnichord czy piła. Mnogość brzmień, dodajmy jeszcze smyki i sekcję dętą, w połączeniu z emocjonalnymi interpretacjami liderki czyni ten koncert wyjątkowym. ©℗

★★★★★★

BRODKA „MTV UNPLUGGED" [PIAS]

★★★★★★

THE CLAYPOOL LENNON DELIRIUM „SOUTH OF REALITY" ATO

Sean Lennon (syn słynnego Johna) i lider Primusa po raz drugi zapraszają na staromodną podróż po kosmicznych krainach. Beatlesowski surrealizm, opowieści o szalonych naukowcach, kwasowe odjazdy, a wszystko nagrane z dużym pietyzmem.

★★★★★★

DYJAK „GINTROWSKI" NCK/KAYAX

Marek Dyjak interpretuje piosenki Przemysława Gintrowskiego do słów m.in. Jacka Kaczmarskiego. Podziemne hymny dzięki chrypce wokalisty oraz aranżacjom na fortepian, trąbkę czy akordeon nabrały jazzowego blasku i zadymionego klimatu. ©℗

eprasa.pl 3ed46125cf

EDYTA ŚWIĘTEK

Spacer Aleją Róż

Bestsellerowa saga o rodzinie, miłości, zbrodni i zemście, osadzona w realiach PRL-u.

Powieść *Szarość miejskich mgieł* została nominowana w plebiscycie Książka Roku 2018 portalu lubimyczytać.pl w kategorii Powieść historyczna.

Literacka podróż do lat dziewięćdziesiątych, w czasy wczesnego kapitalizmu.

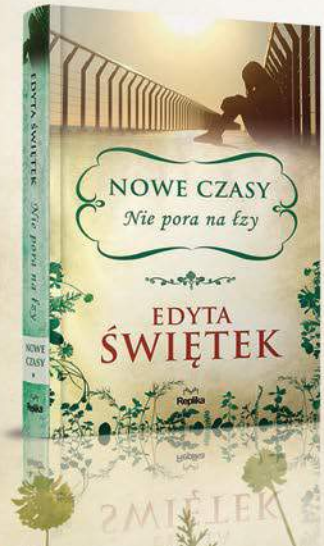

EDYTA ŚWIĘTEK
NOWE CZASY

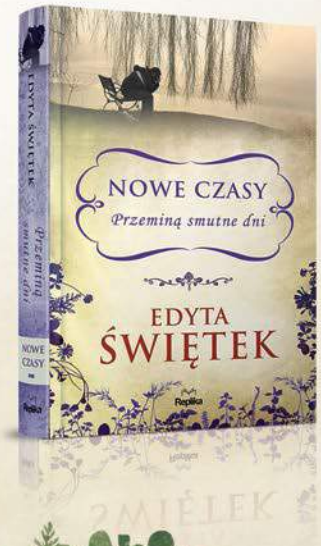

Replika wydawnictwo

Pracownia Literacka Edyty Świętek

www.replika.eu

tel. 515 339 813

Niemcy znikną

Tomasz Gabiś

Niewykwalifikowani imigranci nie uratują Niemców przed pułapką demograficzną. Za to pogłębią problemy socjalnego państwa

W medialnej propagandzie w Niemczech masowa imigracja przedstawiana jest jako zjawisko na wskroś pozytywne, jako wzbogacenie wszystkich sfer życia, szansa dla Niemiec, którą stwarza „kolorowa różnorodność". Większość polityków i główne media nie ustają w zapewnieniach rdzennych mieszkańców, jakie ogromne korzyści – gospodarcze, społeczne, kulturalne, finansowe, demograficzne – przynosi im masowa imigracja z krajów Trzeciego Świata.

Nie oznacza to jednak, że nie było ani nie ma w Niemczech naukowców, badaczy problemu i niezależnych publicystów, którzy na pierwszym miejscu stawiają intelektualną uczciwość i naukową ścisłość. Nic zatem dziwnego, że dochodzą do wręcz przeciwnych wniosków. Szkoda, że w Polsce tak mało korzysta się z ich ustaleń, bo przecież śledzą oni z bliska i analizują problem imigracji od dziesięcioleci, domagając się nie od dziś skierowania polityki imigracyjnej na tory politycznego i ekonomicznego rozsądku. Należą do nich: profesorowie Robert Hepp, Gunnar Heinsohn, Rolf Peter Sieferle, Hans-Werner Sinn, Herwig Birg. Spoza świata akademickiego przede wszystkim wymienić należy Thilo Sarrazina.

Krytycy masowej imigracji podkreślali, że problemem dla narodu nie jest imigracja jako taka, ale to, kim są i jacy są imigranci. Zwracali uwagę, że błędem lub celową manipulacją jest posługiwanie się ogólnym pojęciem „imigranci", bez różnicowania poszczególnych grup etnokulturowych czy etnoreligijnych, tak jakby imigranci z krajów europejskich nie różnili się niczym od przybyszów z tureckiej Anatolii czy Afganistanu.

KIM SĄ IMIGRANCI

Imigracja z tego samego lub bliskiego kulturowo obszaru to coś zupełnie innego niż imigracja niewykształconych, niewykwalifikowanych mas ludzi z obcych, odległych kultur, którzy się nie integrują, to znaczy nie przystosowują się do kultury narodu większościowego ani nie włączają produktywnie w wysokorozwinięty system przemysłowy, socjoekonomiczny i technologiczny. Nawet jeśli imigrant z Afganistanu założy jako tako prosperu-

eprasa.pl 3ed46125cf

Centrum rejestracji uchodźców w Berlinie. Imigranci częstowani są gorącymi napojami przez wolontariuszy
FOT. JAKUB WOSIK/REPORTER

jący stragan, to nie sektor drobnego handlu i niskopłatnych miejsc pracy stanowi o gospodarczej prężności i sile Niemiec. Niemcy potrzebują dziś nie właścicieli straganów, lecz wysoko wykwalifikowanych robotników, techników i inżynierów.

Rządzący oraz ich medialni współpracownicy nigdy nie wyjaśnili tubylcom, jak można niewykształconych i na ogół niewykwalifikowanych obcokrajowców zatrudnić efektywnie w nowoczesnej gospodarce, już teraz borykającej się z bezrobociem wśród ludzi o niskich kwalifikacjach. Za czasów Adenauera i Erharda obowiązywała zasada: „potrzebujemy wyłącznie potrzebnych rąk do pracy" – czyli rekrutowano cudzoziemskich robotników do tych branż i przedsiębiorstw, gdzie mogli od zaraz, ewentualnie po krótkim przyuczeniu i przeszkoleniu, pracować. Zasada ta odpowiadała potrzebom i możliwościom niemieckiego rynku pracy i niemieckiej gospodarki. Praca dla imigrantów była z góry zagwarantowana. To pragmatyczne podejście zostało potem porzucone na rzecz polityki coraz bardziej „otwartych granic". „Wzbogacenie" zwykłych autochtonicznych Niemców dzięki masowej imigracji z odległych kręgów etnokulturowych, z pozaeuropejskich krain (lub z najbiedniejszych regionów Europy) to w stu procentach mit – dotyczy to wszystkich dziedzin życia gospodarczego, społecznego i kulturalnego. Imigracja nie rozwiązuje też żadnego z problemów wynikających z demograficznego upadku Niemiec.

KOSZT WYŻSZY NIŻ ZYSK

W wydanej w 2010 r. książce „Deutschland schafft sich ab" („Niemcy likwidują się same") Thilo Sarrazin z kalkulatorem i ołówkiem w ręku wyliczył, że koszty imigracji znacznie przewyższają korzyści, jakie miała ona przynieść. A już w 1988 r. prof. Robert Hepp w książce „Die Endlösung der Deutschen Frage – Grundlinien einer politischen Demographie in der Bundesrepublik Deutschland" („Ostateczne rozwiązanie kwestii niemieckiej – zarys demografii politycznej w Republice Federalnej Niemiec") obalał wszystkie argumenty za tym, że masowa imigracja „zabezpieczy poziom życia i emerytur", pokazywał rzeczywiste, a nie fałszowane, zaniżane przez czynniki rządowe i media, koszty masowej imigracji. Dwadzieścia lat temu w rozmowie z dziennikiem „Die Welt" prof. Herwig Birg, dyrektor Instytutu Badań Ludności i Polityki Socjalnej uniwersytetu w Bielefeld, stwierdził jednoznacznie, że błędem jest postrzeganie masowej imigracji jako czynnika wzbogacającego dane społeczeństwo pod względem ekonomicznym i kulturowym. Jeśli przy malejącej liczbie ludności Europy i jednoczesnym wzroście liczby ludności w krajach leżących po drugiej stronie Morza Śródziemnego strumienie potencjalnych imigrantów płynące z tych krajów podwoją swoją liczebność, to sytuacja stanie się dramatyczna, a problemy społeczne i ekonomiczne ulegną poważnemu zaostrzeniu. Profesor Birg podkreślał, że w sytuacji, kiedy w różnych miastach niemieckich liczba imigrantów przekracza 20 proc., a w wielu dzielnicach – 50 proc., nie może być mowy o jakiejkolwiek integracji, a jeśli już, to w odwrotnym kierunku, czyli integracji mniejszości niemieckiej do większości imigranckiej.

Dodajmy tu, że obecnie w niektórych dzielnicach Hamburga w grupie mieszkańców poniżej 18 lat większość stanowią imigranci. W Billstedt jest ich 74,8 proc. w Jenfeld – 74,9 proc., Rothenburgsort – 77,6 proc., Neuallermöhe – 78,1 proc., Wilhelmsburgu – 78,9 proc., Harburgu – 82,2 proc., Steinwerder – 87,7 proc., Hammerbrook – 91,5 proc., Veddel – 93,1 proc., Billbrook – 98 proc. (wśród 170 uczniów tamtejszej szkoły podstawowej jest tylko troje niemieckich dzieci, język niemiecki jest w niej nauczany jako język obcy). Wśród dzieci poniżej 15 lat w Berlinie prawie 50 proc. ma imigranckie pochodzenie, w Stuttgarcie – 60 proc. dzieci i młodzieży poniżej 18 lat ma pochodzenie imigranckie, w dawnych Niemczech Zachodnich, włącznie z Berlinem, 42 proc. dzieci poniżej sześciu lat pochodzi z rodzin imigranckich, w Kolonii, Monachium, we Frankfurcie nad Menem, w Duisburgu – 50 proc., w Augsburgu – 68 proc.

Profesor Birg zwracał też uwagę na reetnizację np. mniejszości tureckiej, której przedstawiciele w drugim lub trzecim pokoleniu – wbrew oczekiwaniom, że się w pełni zintegrują albo zasymilują – zaczynają orientować się na kulturę kraju, z którego pochodzą ich przodkowie. Nie tylko więc nie zachodzi, wspierane przez władze, zwiększone zmieszanie (Vermischung), lecz następuje wręcz etniczne „odseparowanie" (Entmischung).

KWALIFIKACJE

Ekonomista prof. Hans-Werner Sinn (w latach 1999–2016 dyrektor monachijskiego Instytutu Badań nad Gospodarką) wskazuje, że imigranci w swojej masie mają wykształcenie i kwalifikacje poniżej przeciętnej, w związku z tym ci z nich, którzy pracują, zarabiają poniżej przeciętnej. Dlatego są beneficjentami państwa socjalnego w ponadprzeciętnym stopniu, gdy chodzi zarówno o zakres świadczeń (korzystają ze wszystkich możliwych świadczeń publicznych), jak i ich wysokość. Ponieważ w sumie państwo socjalne transferuje środki od tych zarabiających powyżej do tych zarabiających poniżej przeciętnej, jest rzeczą („fizycznie") niemożliwą, żeby ci drudzy przyczyniali się do ogólnego wzrostu bogactwa narodowego.

Politolog, historyk i socjolog, prof. Rolf Peter Sieferle (zm. 2016 r.) w książce „Das Migrationsproblem. Über die Unvereinbarkeit von Sozialstaat und

eprasa.pl 3ed46125cf

Masseneinwanderung" („Problem migracji. O niemożliwości pogodzenia państwa socjalnego i masowej imigracji", 2017) dowodzi, że państwo socjalne nie może przetrwać z różnych przyczyn, a jedną z podstawowych jest masowa imigracja. Niemieckiej elicie odebrało, zdaniem Sieferlego, polityczny rozum. Jej przedstawiciele mówią o braku rąk do pracy, podczas gdy wpuszczanie masowo analfabetów, ludzi bez kwalifikacji i żadnego wykształcenia jest – w obliczu postępującej digitalizacji, robotyzacji i automatyzacji – ogromnym błędem, gdyż prowadzi do obniżenia ogólnego poziomu nauczania, podczas gdy wyłącznie intensywne podnoszenie kwalifikacji i poziomu potrzebnego wykształcenia może być remedium na brak ludzi w sektorach istotnych dla gospodarki. Im więcej niewykwalifikowanych i niewykształconych wpuszcza się do kraju, tym słabsza motywacja dla sił fachowych z zagranicy, by się osiedlać, i coraz silniejszy motyw dla krajowych specjalistów, by emigrować. A to oznacza, że liczba tych, którzy mają największe osiągnięcia w pracy zawodowej i dobrze zarabiają, a tym samym są w państwie socjalnym świadczeniodawcami, będzie maleć, liczba zaś świadczeniobiorców – rosnąć. Stąd też państwo socjalne pod ciężarem masowej imigracji (oraz innych czynników) nieuchronnie musi się zawalić.

Na rzeczywiste, wysokie koszty masowej imigracji z krajów pozaeuropejskich wskazywał wielokrotnie prof. Gunnar Heinsohn, według którego wśród „uchodźców" przybyłych w ostatnich latach do RFN tylko 10 proc. ma kwalifikacje odpowiadające wymogom wysokorozwiniętej technologicznie cywilizacji przemysłowej. Profesor Heinsohn domaga się restrykcyjnej polityki imigracyjnej, zgodnie z którą tylko ludzie wykwalifikowani mogliby osiedlać się w Niemczech, i alarmuje, że obecna polityka imigracyjna, nakładająca coraz większe finansowe ciężary na barki młodego pokolenia, powoduje drenaż mózgów, bo co roku kraj opuszcza 80 tys. osób (140 tys. wyjeżdża, 60 tys. powraca) – tych najbardziej ambitnych, najinteligentniejszych, najwyżej wykwalifikowanych i najbardziej kompetentnych. Tym samym stale zmniejsza się w Niemczech grupa, która płaci ponad dwa razy więcej w podatkach i daninach publicznych, niż dostaje od państwa. Natomiast zwiększa się grupa tych, którzy żyją w dużej części lub całkowicie na koszt innych. Argument, że masowa imigracja pomoże odwrócić niekorzystne trendy demograficzne grożące załamaniem systemu emerytalnego, a wraz z nim całego państwa socjalnego, jest według prof. Heinsohna absurdalny. Jego zdaniem katastrofa demograficzna w połączeniu z masową imigracją z krajów Trzeciego Świata wprowadza Niemcy na drogę wiodącą ku społeczno-gospodarczej degradacji.

PO OKRUCHY DOBROBYTU

Austriacki historyk idei, socjolog i politolog, były kierownik Instytutu Polityki, Religii i Antropologii na uniwersytecie w Innsbrucku, Michael Ley, w książce „Die kommende Revolte" („Nadciągająca rewolta", 2012) wskazywał na fatalny proces, polegający na tym, że oprócz dynamicznych, wykształconych lub zdolnych do zdobycia wykształcenia imigrantów przybywających do społeczeństw rozwiniętych wdzierają się tam miliony imigrantów niewykwalifikowanych, aby w smutnym pejzażu europejskich przedmieść łapać ostatnie okruchy ze stołu dawnych społeczeństw dobrobytu, konkurując z już osiadłym subproletariatem o coraz szczuplejsze budżety państwa socjalnego. Powstają etniczno-religijne „społeczności równoległe", gromadzi się materiał zapalny dla socjalno-etnicznych i politycznych konfliktów. Zwłaszcza że przy erozji systemów zabezpieczenia socjalnego, stagnacji gospodarczej lub spadku dochodu narodowego zadłużone ponad miarę rządy nie będą w stanie rozszerzyć zasięgu państwa socjalnego, aby zachować pokój społeczny. Kreatorzy polityki imigracyjnej i zwolennicy „społeczeństwa wielokulturowego" nie respektowali fundamentalnej zasady, że interesowi ekonomicznemu imigrantów zaspokajanemu dzięki samej możliwości osiedlenia się w bogatszym kraju musi odpowiadać interes ekonomiczny jego rdzennych mieszkańców; żądanie uwzględnienia tego interesu jest czymś absolutnie prawowitym. Wybrano jednak inną, całkowicie błędną drogę, bezrefleksyjnie przyjmując miliony ludzi z innych kultur i religii, których interesy materialne są niezgodne z interesami materialnymi goszczących ich krajów.

> **W powstających etniczno-religijnych „społecznościach równoległych" gromadzi się materiał zapalny dla socjalno-etnicznych konfliktów**

Ze wszystkich poważnych niemieckich publikacji jasno wynika, że importowanie do Niemiec z odległych kulturowo krajów pozaeuropejskich mas ludzi nieposiadających kwalifikacji nie przynosi autochtonicznym Niemcom żadnych korzyści. Muszą oni pokrywać wydatki na tzw. integrację, która i tak na masową skalę nigdy się nie udaje, oraz coraz bardziej rosnące wydatki na system socjalny. Imigracja obniżyła produktywność gospodarki niemieckiej. A negatywny bilans także w przyszłości nie zostanie zrównoważony, obciążając kosztami następne pokolenia.

Wspomniany wyżej prof. Herwig Birg ostrzegał w 1998 r., że chaotyczny masowy napływ imigrantów do Niemiec, w powiązaniu z polityczną biernością polityków wobec problemów demograficznych, zagraża egzystencji Niemiec, podobnie jak obie wojny światowe w XX w. I wieścił kasandrycznie: „Nie powinniśmy robić sobie złudzeń. Jeśli Europa zamierza na stałe stać się kontynentem imigracyjnym, to w dłuższej perspektywie nie będzie Europy. W obliczu potencjału ludnościowego Azji, Afryki i Ameryki Południowej w XXI w. należałoby – w przypadku otwarcia granic – założyć, że nie tylko Niemcy jako naród znikną, lecz także zniknie cała Europa jako obszar kulturowy (Kulturraum)". Dwadzieścia lat później, w lipcu zeszłego roku, prof. Thomas Mayer, ekonomista z uniwersytetu w Witten/Herdecke, ogłosił gościnnie na łamach „Frankfurter Allgemeine Zeitung" artykuł zatytułowany „Albo Europa będzie twierdzą, albo jej nie będzie". Dramatyczne zmiany demograficzne sprawią, że w następnych dekadach napierać będzie na Europę jeszcze więcej imigrantów i „uchodźców". Jeśli Europa – konkluduje prof. Mayer – chce ten szturm przeżyć, to musi zmienić swoją politykę, gdyż bez drastycznego ograniczenia imigracji z Azji, Afryki Subsaharyjskiej, Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu nie przetrwa w wolności i dobrobycie.

Oby przytoczone wyżej głosy niemieckich profesorów stanowiły nieśmiałą oznakę powrotu niemieckiej elity politycznej i kulturalnej do zasad zdrowego rozsądku w kwestii imigracji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ed46125cf

Jeśli jesteś osobą pokrzywdzoną lub świadkiem przestępstwa, skorzystaj z pomocy Funduszu Sprawiedliwości:

- organizujemy pomoc prawną
- zapewniamy wsparcie psychologiczne i materialne
- pomagamy sfinansować przejściowe problemy z opłatą czynszu
- pokrywamy koszty leczenia, rehabilitacji, edukacji i aktywizacji zawodowej

Znajdź najbliższy ośrodek pomocy na stronie www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

eprasa.pl 3ed46125cf

Rafał A. Ziemkiewicz

Powrót woli

To, co wiedziały nasze babcie i dziadkowie, było mądrością i przyniosło nam, jako cywilizacji, sukces. A wielki „humanistyczny" przełom w psychologii i pedagogice popchnął cywilizację zachodnią ku społecznej katastrofie

Niepozornie wyglądająca książka zatytułowana „Willpower: Why Self-Control is the Secret to Success" wpadła mi w ręce, gdy przeglądałem oferty lotniskowego „standu". Skracałem sobie czekanie na samolot – i wprawiła mnie w głębokie, podszyte radością zdumienie. Tezy, które stawiają, i – co ważniejsze – których dowodzą jej autorzy, Roy F. Baumeister i John Tierney, wywracają do góry nogami, mówię to bez przesady czy egzaltacji, do których nigdy nie byłem skłonny, całą ponowoczesność, panującą od ponad pół wieku na Zachodzie. A że idee ponowoczesne czy – jak wolną niektórzy – postmodernistyczne stały się dla demokracji liberalnej w typie zachodnioeuropejskim i wielkomiejsko-amerykańskim tym, czym dla Bernarda Gui czy Tomasza Torquemady było Słowo Boże, trudno doprawdy się nad książką nie zadumać.

Tym bardziej że rzecz nie jest bynajmniej produktem jakiegoś niszowego, „prawicowego" wydawnictwa – wydana w „paperbacku" przez Penguina, reklamowana informacją, iż przez wiele miesięcy utrzymywała się na liście bestsellerów „New York Timesa", z mnóstwem okładkowych rekomendacji i cytatów z pełnych zachwytu recenzji, jest dziełem wysoko postawionych w amerykańskiej hierarchii uniwersyteckiej profesorów. Z noty copyrightowej wynika, że jej pierwsze wydanie (i pierwsze triumfy, co z kolei wynika ze wspomnianych fragmentów recenzji) datują się na rok 2012. A więc, u licha, coś powinienem o tak przełomowym dziele słyszeć już dawno temu.

A może tylko ja jeden „Siłę woli" przegapiłem? Proszę bardzo, kto zna dzieło Baumeistera i Tierneya, i rozumie, co z niego wynika, niech pierwszy rzuci kamieniem. Leci coś ku mnie? Jakoś nie widzę.

No to wyjaśniam.

@

Nie żebym był tak strasznie stary, ale dzięki bardzo tradycjonalistycznemu nastawieniu do życia moich śp. rodziców, wychowywany byłem jeszcze podług zasad starego świata, który obciążał człowieka – zwłaszcza mężczyznę, jako przyszłego męża i ojca – pełną odpowiedzialnością za dokonywane w życiu wybory, i który nie był skłonny łatwo go usprawiedliwiać.

Jeśli ktoś pił na umór, to w owym dawnym świecie nie uważano tego za chorobę, tylko za brak silnej woli. Jeśli tracił panowanie nad swoim życiem intymnym, to nie nazywano tego „uzależnieniem od seksu", tylko dziwkarstwem, puszczaniem się, względnie, choć już wtedy brzmiało to nieznośnie staroświecko, rozpustą. Jeśli ktoś dobierał się do przedstawicieli własnej płci, to uważano to za szczególny rodzaj seksualnego rozwydrzenia – w takim, jak się wtedy mówiło, zboczeńcu, nie widziano „odmienności", tylko zatratę mo-

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 3ed46125cf

ralnych hamulców. Uważano, że do tego stopnia sobie folgował, iż normalny seks już go przestał bawić i brnie w perwersje dla spotęgowania podniety.

Ten świat w czasach mojego dzieciństwa kruszył się już, ale w moich rodzicach trwał niezmiennie, dziś pozostaję więc jednym z nielicznych zapewne ludzi, którzy przechowują go w sobie, bez zaciekłości, ale w przekonaniu, że takie podejście do ludzkich słabości co najmniej nie było gorsze od panującego obecnie. I oto od jakichś zupełnie mi wcześniej nieznanych, ale należących ponoć do nowojorsko-chicagowskiej „crème de la crème" profesorów amerykańskiej psychologii dowiaduję się, że to mój śp. Tata miał rację, a nie setki krzykliwych mędrków, powtarzających przez kilka ostatnich dziesięcioleci po sobie nawzajem, że człowiek, jeśli ma na coś ochotę, to nie tylko mu się to należy, lecz także wręcz po prostu musi za swymi popędami i zachceniami podążać – jeśli się będzie wstrzymywać, to mu wręcz zaszkodzi, a ostatecznie i tak nie da rady.

Mój śp. Tata, wychowany przez salezjanów, podbechtywał mnie do „ćwiczenia silnej woli". Kiedy dostawałem od niego czekoladkę (w czasach mego dzieciństwa słodycze występowały w przyrodzie znacznie rzadziej niż obecnie, stanowiły więc naprawdę rarytas), zwykle towarzyszyło temu wyzwanie: „A dasz radę powstrzymać się od jej zjedzenia do jutra?" Czekoladka leżała przed oczami, kusiła, ale ciche porozumienie, wpisane we wzajemny szacunek między mną a Tatą, zobowiązywało (choć czasem kończyło się to zeżarciem czekoladki przez któregoś z braci – pewnie dlatego nasze losy potoczyły się tak różnie).

Od Baumeistera i Tierneya dowiedziałem się, że mój Tata, z całą pewnością o tym nie wiedząc, powtarzał na mnie eksperyment, zaliczany do klasycznych w psychologii, niejakiego Waltera Mischela (daty wskazują zresztą, że raczej obaj korzystali z tej samej, dawnej, zapomnianej dziś inspiracji). Mischel przed laty stawiał kilkuletnie dzieci w jednej z amerykańskich szkół przed wyborem: masz tu, dziecię, cukierka, i możesz go zjeść natychmiast – ale jeśli wytrzymasz i nie zjesz go przez 15 minut, do mojego powrotu, to dostaniesz takich cukierków więcej. Eksperymentator wychodził, a ekipa śledziła zza weneckiego lustra i punktowała heroiczne wewnętrzne zmagania dziatek. Jedne pochłaniały otrzymanego łakocia, zanim jeszcze za naukowcem zamknęły się drzwi, inne wydzierżyły pięć minut, inne dziesięć, a część wreszcie wytrzymywała pełny kwadrans i otrzymywała nagrodę.

To wszystko jednak nic – w badaniu pierwotnie nie chodziło w ogóle o sprawy, którym poświęcone są ten felieton i książka, która mnie do jego napisania popchnęła. Eksperyment nabrał zupełnie nieprzewidzianego sensu, kiedy po prawie 30 latach Mischel, zupełnie przypadkowo, dał się namówić do sprawdzenia dalszych losów poddanych tej okrutnej próbie dzieciaków. I nagle okazało się, z nieodpartą, matematyczną sprawdzalnością, coś, co mój Tata i jego wychowawcy uznaliby za oczywiste jak dwa a dwa – a co świat współczesnej psychologii uznał za niemożliwe, szalone i politycznie niepoprawne.

Cokolwiek udowodnią naukowcy, kretyni od „ponowoczesności", i tak wiedzą, co jest „fajne", a co jest „obciachem"

Otóż dzieci, które zećpały cukierka od razu, powyrastały na nieudaczników, trwale bezrobotnych i społecznie wykluczonych, przestępców – trapią je otyłość i wynikłe z niej choroby, nałogi, problemy psychiczne, rozwody etc. Te, które krócej lub dłużej walczyły, ale w końcu uległy, w dorosłości miały okresy gorsze i lepsze, i to niemal dokładnie proporcjonalnie do tego, ile minut wytrzymała przed laty ich dziecięca wola. Zwycięzcy cukierkowego testu okazali się zaś także zwycięzcami w życiu, mają udane związki i szczęśliwe rodziny, zdobyli wysoką pozycję społeczną, pieniądze, sławę.

Ponieważ świat – także sam Mischel, więcej, u zarania swej kariery również Baumeister – nie mógł w to uwierzyć, zaczęto kolejne eksperymenty i badania mające obalić herezję, jakoby to jednak dawny wiktorianizm (takiego terminu używają na określenie kultu „silnej woli" autorzy książki) miał sens, a nie „wychowanie bezstresowe" i „samorealizacja". Im usilniej badano, tym bardziej nieodparcie dowodzono, że niestety to, co wiedziały nasze babcie i dziadkowie, było mądrością i przyniosło nam jako cywilizacji sukces. A wielki, „humanistyczny" przełom w psychologii i pedagogice, zapoczątkowany przez lewackiego kretyna Benjamina Spocka, był w istocie pseudonaukową hucpą, która popchnęła cywilizację zachodnią ku społecznej katastrofie.

@

Pozostawię państwu przyjemność – albo gorycz, zależy od nastawienia – samodzielnego obcowania z dziełem amerykańskich psychologów. Nie wiem, czy ktoś je wydał po polsku. Wiem, że w PWN wydano książkę Philipa Zimbardo i Nikity Coulombe o zanikaniu w zachodnich społeczeństwach mężczyzn – u nas miało to tytuł „Gdzie ci mężczyźni?". Książka równie naukowa, równie solidnie udokumentowana, matematycznie nieodparta w swych rozpoznaniach – i jakby równie nieobecna, wyparta mimo wielkiego nazwiska, które je firmuje.

Warto, żeby wiedzieć, że nie jest to tak, iż cały ten bachiczny korowód obłąkanych ideologów, życiowych popaprańców, zboczeńców, dekadentów, zwyrodnialców i oszalałych z rozpusty idiotów, w jaki tzw. kontrkultura zmieniła cywilizację Zachodu, korowód zagłuszający wszelkie wątpliwości i opory gromkim wrzaskiem, lezie prosto w przepaść dlatego, że nie wie, gdzie lezie. W każdym razie – na pewno nie dlatego, że nie miał jego uczestników kto ostrzec. Te ostrzeżenia, alarmy, przestrogi były i są artykułowane mocno przez najbardziej do tego powołane autorytety.

Tylko że zupełnie nie przebiło się to do tzw. potocznej świadomości. Rzecz analogiczna, jak z zachodnią świadomością historyczną. Niby napisano wszystko, kim był Stalin, czym był ZSRS, co to były gułagi… Jednak to w żaden sposób nie zmieniło powszechnej wizji II wojny światowej i dobrego „wujka Joe", który ocalił Demokrację i Wolność przed Hitlerem, potworem wszech czasów.

Cokolwiek udowodnią naukowcy, kretyni od „ponowoczesności", i tak wiedzą, co jest „fajne", a co jest „obciachem", a wpływowe media nadal tresują masy w krańcowo fałszywym wyobrażeniu tego, co w istocie jest cofaniem się do barbarzyństwa i upadkiem, jako cywilizacyjnego sukcesu, który powinien imponować – i odwrotnie. Trudno nie dodać, że szczególnie udaje się ta tresura w krajach peryferyjnych, prowincjonalnych i postkolonialno-neokolonialnie zakompleksionych. Takich jak, niestety, nasz kraj.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ed46125cf

NIMFETKI

[WALENTYNKOWO – 14 LUTEGO]

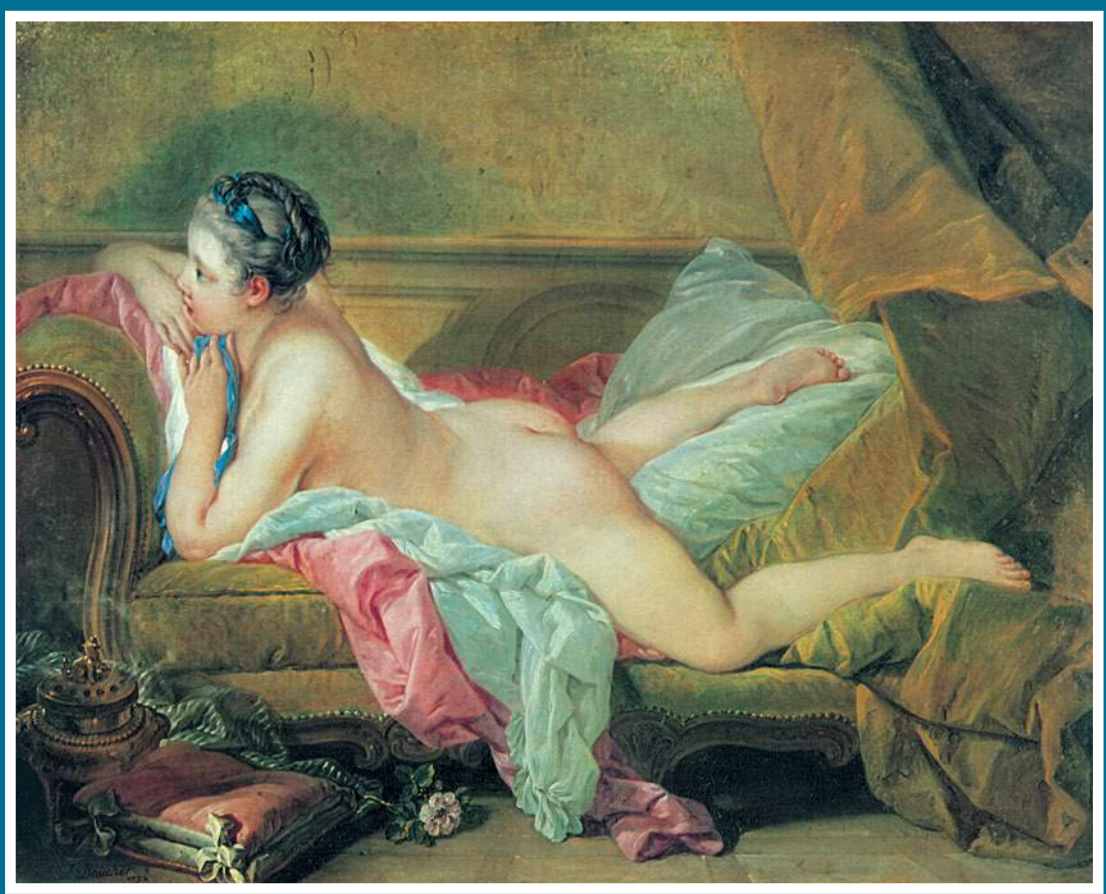

François Boucher, „Leżąca dziewczyna" (1752)

„Naga, cała rozpostarta na łóżku, jej ciało w kolorze miodu. Pomieszanie czułego, pogrążonego w marzeniach dziecka z jakąś upiorną wulgarnością – ani śladu skromności nie dało się zauważyć w tym pięknym, ledwie ukształtowanym dziewczątku... Bardziej uroczej nimfetki nie wymyśliłby sam Priap".

Vladimir Nabokov, „Lolita", tłum. Robert Stiller

eprasa.pl 3ed46125cf

Waldemar Łysiak

Każdego roku, z okazji Walentynek, czyli Dnia Zakochanych, serwuję Czytelnikom ***„Tygodnika Lisickiego"*** esej adekwatny tematycznie, vulgo: mniej lub bardziej erotyczny, co stało się już swoistą tradycją **„Do Rzeczy"**, której uchybić nie zamierzam. Stąd niniejszy tekst poświęcony kontrowersyjnemu zjawisku nimfetek — nieletnich panienek objawiających dryg erotyczny vel smykałkę seksualną. Zjawisko to — wbrew sądzącym, że wytworzyło je współczesne luzactwo marki '68 (*„wolna miłość"*, itp.) — znane jest dobrze od niepamiętnych czasów (więcej niż od Starożytności — od Jaskini), ma ono bowiem podłoże biologiczne, a z biologią trudno dyskutować. Ma ono również trwałe miejsce w sztuce wysokiego lotu (Boucher, Balthus, *„e tutti quanti"*), w literaturze pięknej (exemplum **„Lolita"** Vladimira Nabokova), w filmie (liczne ekranizacje **„Lolity"**, czy polskie **„Galerianki"**) i w muzyce pop. Hit discopolowej kapeli „Boys" lansuje dopuszczalny brak rygorów: *„Niech żyje wolność! / Wolność i swoboda! / Niech żyje zabawa / I dziewczyna młoda!"*, lecz niektórzy identyfikują tę młodą z nieletnią, a nawet bardzo nieletnią. I tak się rodzi jedna z wszechczasowych gangren — pedofilia.

RAJ PEDOFILÓW

Antyk i każdy Orient (pradawny tudzież późniejszy) traktowały seks z nieletnimi jako rzecz zwyczajną. Dzisiaj w kulturze Zachodu pedofilstwo bywa karane, stąd pedofile szukają swoich rajów seksualnych poza Europą i USA — tabuny *„seksualnych turystów"* gnają na Wyspy Kanaryjskie i na Dominikanę (Santo Domingo), do Kenii, Brazylii, Kolumbii i zwłaszcza Tajlandii, gdzie funkcjonuje olbrzymi przemysł seksu dziecięcego. Seks dziewczęcy stanowi jego połowę (plus minus) i przynosi monstrualne zyski, wielu bowiem zamożnych, kulturalnych, cywilizowanych (często celebryckich) obywateli Zachodu lubi sobie *„przelecieć"* niewiastę, której dziesiąte urodziny dopiero się zbliżają. Jeśli kogoś męczy turystyka daleka, egzotyczna, może sięgnąć po atrakcyjne oferty do *„deepwebu"* alias *„darknetu"*, bądź skorzystać z lokalnego podziemia seksualnego. Nawet w Rosji — głośny reportaż **„Komsomolskiej Prawdy"** o 7–letnich prostytutkach (1992) ujawnił przerażającą skalę tego zjawiska na terenie kraju formalnie europejskiego.

Co tam zresztą panienki 7–letnie! Starożydowskie święte prawa zezwalały czynić małżonką lub nałożnicą dziewczęta już 3–letnie (sic!), nie tylko pod względem formalnym, lecz i praktycznym — zezwalały używać! — z czego korzystano bez skrupułów, jak o tym wyczerpująco i dowodowo pisze profesor Tadeusz Zieliński w pracy **„Hellenizm a judaizm"**: *„Haniebnym jest przede wszystkim to, że Miszna mówi o tym sadystycznym kaleczeniu i niszczeniu dziewczynek jako o rzeczy zupełnie naturalnej i normalnej"* (1927).

mal. Paul Chabas (1905)

Światowa Organizacja Turystyki (działająca pod egidą ONZ) szacuje, iż *„turystykę seksualną"* uprawia rokrocznie kilka milionów ludzi, nie ma natomiast (bo skąd miałyby być?) szacunków tyczących liczby pedofilów, którzy molestują/deprawują/rozdziewiczają/gwałcą nieletnie dziewczęta. Wiadomo jedynie — bo tym karmią się tabloidy — że nie brak wśród tych łotrów ludzi sławnych (twórców, artystów, akademików, itp.). Exemplum Woody Allen czy Roman Polański. Nie brakuje również obrońców tego procederu. Peruwiański prozaik Mario Vargas Llosa, laureat Nobla literackiego 2010, usprawiedliwia Polańskiego i Allena, dodając, że są oskarżani bez dowodów. Liczni komentatorzy stwierdzili, że jeśli tak bredzi, ergo: tak rażąco mija się z prawdą — sam musi mieć jakieś *„zaburzenia preferencji seksualnych"*, być może występki pedofilskie. Walentynki to dla podobnych ludzi też Dzień Zakochanych. Zakochanych w *„małolatach"*.

Polaków szczególnie bulwersowała/bulwersuje *„afera Polańskiego"*, ciągnąca się już ponad cztery dekady.

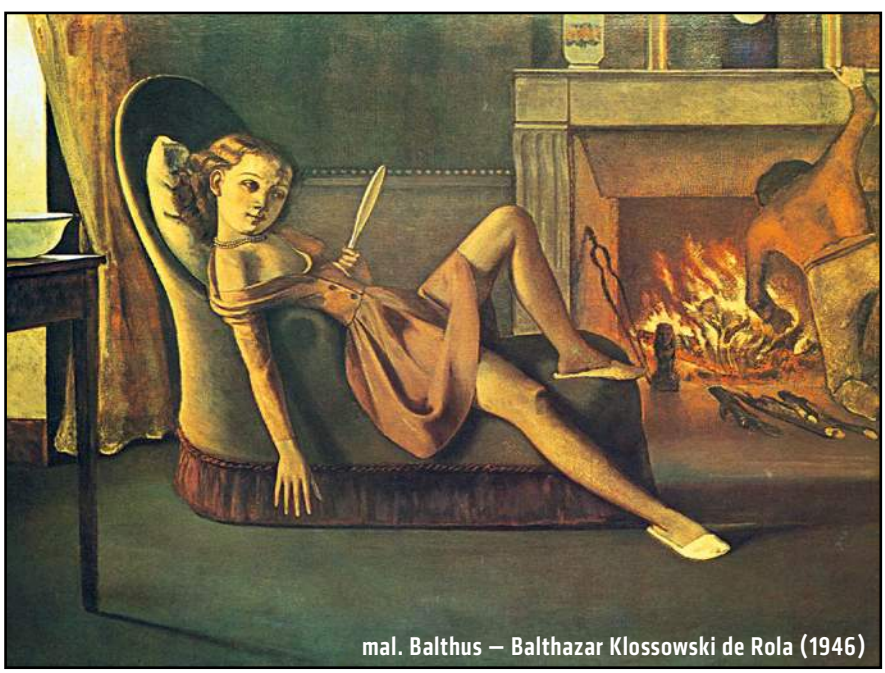

mal. Balthus – Balthazar Klossowski de Rola (1946)

eprasa.pl 3ed46125cf

fot. AP/EAST NEWS

W marcu roku 1977 43–letni wówczas Polański zwabił 13–letnią Samanthę Geimer na teren willi Jacka Nicholsona, gdzie odurzył ją i zmusił do seksu, mimo jej rozpaczliwych protestów i łez. *„ — Wepchnął mi siłą penisa, chociaż broniłam się i prosiłam, by przestał, ale to go nie obchodziło. Kiedy skończył, uniósł mi wyżej pupę i nogi, i wszedł w mój odbyt. A zaraz potem zmusił mnie do seksu oralnego"* — zeznała dziewczynka. Zagrożony celą Polański uciekł ze Stanów i rok później udzielił wywiadu Martinowi Amisowi, mówiąc cynicznie: *„ — Sędziowie chcą pieprzyć małe dziewczynki. Przysięgli chcą pieprzyć małe dziewczynki. Wszyscy chcą pieprzyć małe dziewczynki"*. Zaszokowany Amis napisał: *„Taki aktywny pedofil kradnie dzieciom dzieciństwo"*, jednak dodał też zdanie w stylu Vargasa Llosy usprawiedliwiającego Romana P.: *„Małe dziewczynki same nie wiedzą czy są chętne, czy jeszcze nie są"*. I tu dochodzimy do klasycznych nimfetek unieśmiertelnionych pędzlami Bouchera i Balthusa tudzież piórem Nabokova, lecz nim się o tym rozpiszę, zakończmy temat Polańskiego: ma on od dwóch lat kilka procesów z trzema kolejnymi paniami, które *„zgwałcił"* kiedy jeszcze nie groziła im pełnoletność.

CZY LOLITA TO KOBITA?

Brodaty dowcip mówi, że nawet komunista staje się konserwatystą kiedy córka zaczyna mu dorastać. Gdyż takie oddziecinniające się panienki dostają się we władzę hormonów. W filmie Tony'ego Scotta **„Karmazynowy przypływ"** pada celny tekst: *„ — Konie są głupie, ale mają intuicję. Jak licealistki — bez mózgu, lecz wiedzą, że chłopaki chcą zapunktować"*. Nie tylko chłopaki — faceci też. Stąd A.D. 2017 jedna z seniorek rodzimego rynku celebryckiego publicznie zgrzytnęła: *„ — Wszystkie te 13–latki, które wskakują do łóżek 40–letnim facetom!"*. Również 50–letnim czy 60–letnim (tzw. *„typ tatusia"*), co genialnie zbeletryzował Nabokov.

Nabokow nieletniej kochanicy narratora swego bestselleru **„Lolita"** (1955) dał 12 lat, imię Dolores oraz ksywkę *„Lolita"*, która dzięki popularności książki stała się globalnym synonimem terminu *„nimfetka"*. Notabene twierdził, że ów termin to także jego wynalazek, co nie jest prawdą, bo już wielki francuski poeta Renesansu, Pierre Ronsard (wiek XVI), używał formy *„nymphette"*. Nabokov zresztą ściągnął wszystko (tytuł i treść) z opowiadania **„Lolita"** (1916) Niemca Heinza Lichberga (ten plagiat wykryto A.D. 2004), lecz jednak on przeszedł do historii jako twórca kanonu nimfetkowego, twierdząc, że nimfetka ma nie mniej niż 9 i nie więcej niż 14 lat, w porywach lat 15, później to już nie nimfetka, lecz dziewczyna typu młoda kobieta, czyli staroć. Wcześniej, przez liczne wieki, uważała tak spora liczba samców, również celebrytów, choćby gigant malarstwa, Rubens. O tym, dlaczego jako ponad 50–letni mężczyzna wybrał sobie za żonę 15–latkę, napisał jedno smakowite zdanie w liście do Nicolasa Peiresca: *„Prawdę mówiąc, byłoby mi niezmiernie trudno zamieniać nieocenione skarby wolności na pieszczoty bardzo starej kobiety"* (1634).

Lolita ma u Nabokova 12 lat nieprzypadkowo. Rzućmy okiem do annałów. Prawo rzymskie zezwalało dziewczynie wychodzić za mąż w wieku 12 lat. Kościół katolicki ustawił taką samą poprzeczkę prawem kanonicznym. W wielu stanach USA 12–latka mogła (i może) wziąć ślub — głośny pisarz Edgar Allan Poe ożenił się z 13–latką. Iracki parlament pracuje obecnie nad prawem zezwalającym poślubiać 10–latki! W Japonii legalne jest uprawianie seksu z 12–latkami. Notabene japońscy klienci prostytutek lubią małoletnie *„uczennice"* noszące mundurek szkolny (obcisły mundurek *„marynarski"* lub plisowana spódniczka

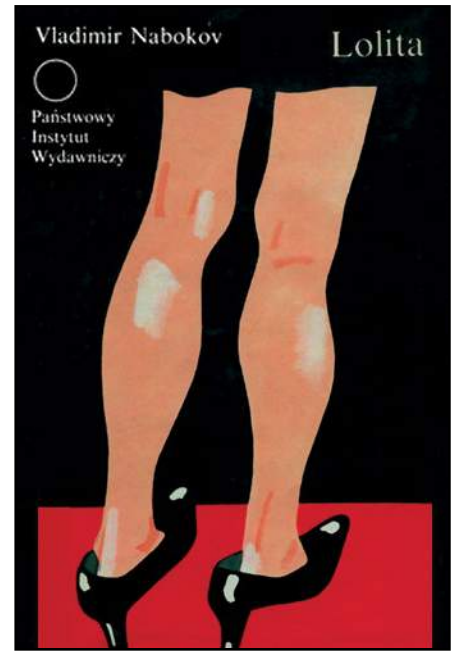

plus biała bluzka; identyczne preferencje szkolno–odzieżowe są przez satyrów europejskich czy amerykańskich kultywowane od 200 lat). Wiele autentycznych uczennic z Kraju Kwitnącej Wiśni zarabia sobie taką dorywczą prostytucją na kosztowne stroje albo drobiazgi Versacego, Vuittona i Mme Chanel. Słowem — nic bulwersującego nie ma w tym, że młoda dama wkrótce po jej dziesiątych *„happy birthday"* zaczyna uprawiać to, do czego została stworzona.

Istotą zagadnienia nie są wszakże kategorie wiekowe, lecz zespół cech psychofizycznych. Nabokov słusznie podniósł, iż nie każda dama w wieku formalnie grubo przedpoborowym należy do zaszczytnego gatunku nimfetek. Prawdziwą nimfetką jest według niego wyłącznie małolata *„de-*

Pedofilska pocztówka sprzed I Wojny Światowej

eprasa.pl 3ed46125cf

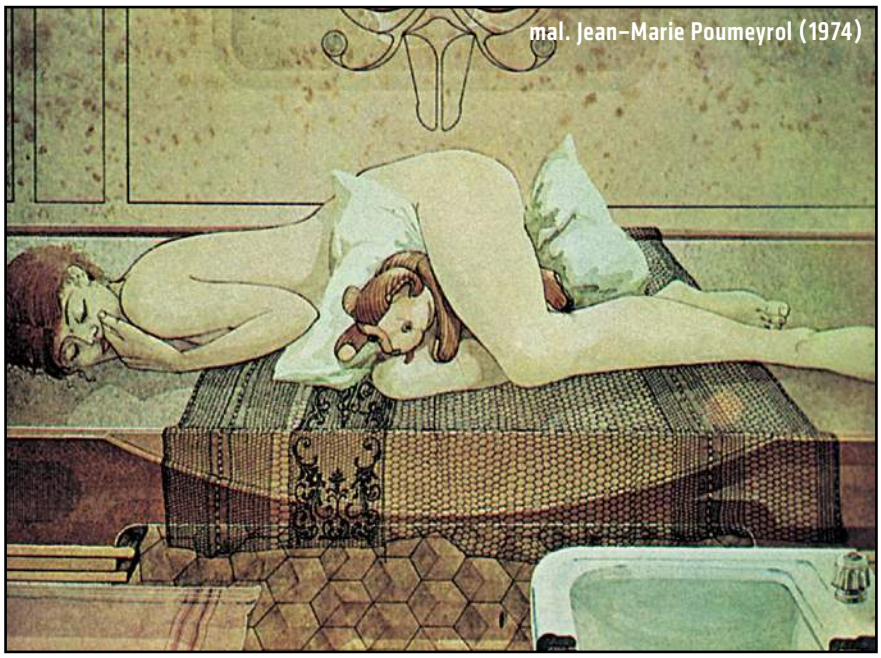
mal. Jean-Marie Poumeyrol (1974)

moniczna", ergo taka, która ma już na *„to"* (świadomą bądź podświadomą) ochotę. Taka dziecina niekoniecznie biernie wypatruje deprawatora (szkolnego kolegi lub satyra mającego dzieci w jej wieku), lecz sama wykazuje aktywność, prowokując czy wręcz molestując. Narrator **„Lolity"** pragnął uwodzić Lolitę ostrożnie i przebiegle, słowem długo, tymczasem ona, ku jego zaskoczeniu, przeprowadziła Blitzkrieg: wskoczyła mu do łóżka jak komandos–spadochroniarz na pozycję nieprzyjaciół — szybko, znienacka, z pełnym sukcesem. Deprawator został zdeprawowany. Takie są bowiem koszty gry, którą Łysiak zwie Lolitofilią alias Lolitomanią.

ALICJA W KRAINIE FRAJERÓW CZY SATYRÓW?

Rozmaici komentatorzy traktowali diagnozę Nabokova jako sprośną *„licentia poetica"* pisarza, póki diagnozy tej nie potwierdziła znana francuska pisarka, będąca za młodu nimfetką. **„Kochanek"** (1984) Marguerite Duras to w żeńskim pisarstwie odpowiednik **„Lolity"**, powieść–pamiętnik, proza może nie aż tak świetna jak arcydzieło Nabokova, lecz równie pouczająca. Pisarka wspomina tam czasy, kiedy będąc 14–latką dawała żywiołowo, aczkolwiek bez serca, jeno dla sportu, dorosłemu mężczyźnie, i złamała mu życie, gdyż on zaangażował w romans także serce, a nie tylko genitalia. *„Lolity"* bowiem niczym się od dojrzałych łowczyń nie różnią — to piranie. Mme Duras przyznaje to bez fałszywego wstydu, opowiadając, że dużo starszy amant był dla niej instrumentem, i że tylko o to — o maszynkę do ciupciania — chodziło jej podczas tego związku. Jest w **„Kochanku"** pyszny dialog dwóch 14–letnich dziewcząt. Przyszkolny internat, noc, obie nie mogą zasnąć, więc marzą szeptem. *„O czym marzy dziewczyna, gdy dorastać zaczyna?"* — pyta refren znanej piosenki. Wymienione dziewczątka pani Duras marzą o *„oddawaniu się nieznajomym mężczyznom"* — właśnie nieznajomym, w tym cała atrakcja — po czym jedna z filozoficzną roztropnością konkluduje, że jest to permanentne marzenie każdej damy bez względu na wiek (może bardziej z biologiczną niż filozoficzną, chodzi bowiem o mądrość krwi, hormonów, feromonów i kwasu dezoksyrybonukleinowego). Zresztą marzenia nimfetek są czasami badane, nie tylko na Zachodzie. A.D. 1990 **„Moskowskij Komsomolec"** ogłosił wyniki sondażu przeprowadzonego po radzieckich szkołach. Głównym marzeniem 65% dziewcząt w wieku od 12 lat wzwyż było: *„zostać prostytutką"*.

Marzenia seksualne pewnej liczby *„males"* zdają się orbitować — użyję terminologii Proustowskiej — *„w cieniu zakwitających dziewcząt"*, i wychodzić naprzeciw pewnej liczbie nieletnich *„females"*, czyli nimfetek. Dziewczynek, których tyczy fraza z piosenki zespołu Lady Pank: *„Była namiętna, bardzo nieletnia!"*. Polski tłumacz **„Lolity"**, Robert Stiller, uważa, że *„kobiety w ogóle nie bywają dziećmi; dziećmi mogą być tylko chłopcy, a dziewczynka jest kobietą"*. Polański mawiał o tej kobiecie z wyrozumiałością: *„ — Nie musi być bardzo młoda, może mieć nawet 14 lat, byle była sympatyczna"*. Tak samo perswadował inny (równie głośny) paraPolak, wielki artysta Balthus (Balthazar Klossowski), mieniony pedofilistą (pedofilistą, nie zaś pedofilem) numer 1 wśród malarzy wszystkich czasów, bo notorycznie „portretował" gołe i półgołe nimfetki — według Balthusa 13–letnia dziewczyna to stara baba, która najlepsze ma już za sobą. Rzekł tak człowiek Zachodu. Zwracam na to uwagę, bo w Afryce, Azji i Ameryce Płd., jak również wśród Eskimosów, nimfetki nie występują — są gatunkiem nieznanym — gdyż tam wszystkie dzieci uprawiają seks. W tych regionach świata (wyłączając Eskimosów) prostytucja dziecięca jest czymś tak naturalnym jak słoneczna pogoda, zaś w krajach Zachodu też już nikogo ona nie gorszy — gorszące jest coś innego: gdy zachodnie dziewczynki w wieku szkolnym nie domagają się od swych partnerów używania prezerwatywy (czym narażają się na kłopot), a przecież, psiakrew, pod ścianą każdego szkolnego korytarza stoi dystrybutor z darmowymi *„gumami"*, lecz tym cholernym szczeniakom nie chce się do niego ręki wyciągnąć, co za młodzież!

Wszelako, jeśli komuś się wydaje, że na obszarze kultury zachodniej (chrześcijańskiej) dopiero w naszych czasach 14–latki bądź 12–latki lub młodsze panienki ochoczo uprawiają seks, to taki ktoś się myli. Tym nigdy nie rządziły czasy, obszary, kultury, religie, systemy wychowania, ale — jak już mówiłem — zawsze Królowa Biologia. Myślę, że ta mądrość nie była obca Williamowi Blake'owi, gdy pisał wierszem (tłum. Ewa Kozubska i Jan Tomkowski):

„...niech już w dzieciństwie
mała dziewczynka
Zarzuca sieci na wszystkich
ścieżkach tajemnych".

Blake, brytyjski szalony wizjoner, poeta i grafik, wyartykułował tę mądrość u schyłku XVIII wieku w swym poemacie profetycznym **„Europa. Proroctwo"**, ale nie zajmował się nimfetkami. Twórcą, który wśród brytyjskich sławnych *„ludzi pióra"* zajmował się nimi najintensywniej, był Charles Lutwidge Dodgson, czyli Lewis Carroll, autor **„Alicji w Krainie Czarów"** (1865). Pierwowzorem tej jego bohaterki, globalnie spopularyzowanej za sprawą licznych tłumaczeń dzieła, była młodociana, molestowana przezeń Alicja Liddell. Niektórzy dzisiejsi biografowie Carrolla, jak choćby Karoline Leach, robią co tylko można, by odsunąć odeń zarzuty, że był pedofilem, ale te wysiłki jawią się

eprasa.pl 3ed46125cf

pracą syzyfową. Masolino d'Amico: *„Chyba nie przypadkiem jego bestseller roi się od motywów, których seksualne zabarwienie ma wymowę raczej jednoznaczną"* (1995). Federico Peiretti: *„Lewis Carroll notorycznie podrywał małe dziewczynki (m.in. słodyczami oraz zabawkami, które stale miał przy sobie), by później fotografować je w trochę dwuznacznych pozach. Szczególną namiętność czuł do córki dziekana Christ Church, małej Alicji Liddell. Traktował ją niczym zakochany, słał jej gorące listy, uczynił bohaterką swych książek (**«Alicja w krainie czarów»** i **«Po drugiej stronie lustra»**). Dwuznaczność kontaktów Carrolla z małymi dziewczynkami osłabia brak dowodów pedofilstwa, ale wobec tego czemu matka 10–letniej Alicji kategorycznie zakazała mu pokazywać się w domu Liddellów i zerwała z nim całkowicie?"* (1998). Cisną się również inne pytania: czemuż to rodzina zmarłego pisarza usunęła niektóre strony z jego dziennika? (i tak zostały notatki Carrolla pełne wyrzutów sumienia, napomknięć o grzesznych skłonnościach i próśb do Boga, by dał mu siłę je przezwyciężyć).

Alicja Liddell
fot. Lewis Carroll

UBRANE NIMFETKI ROKOKA

Sztuki plastyczne zajęły się nimfetkami dosyć późno. Owszem, czasami ukazywano dziewczęta upozowane na damy (vide Agnolo Bronzino i jego mała Medyceuszka — **„Dziewczątko w pozie damy"**, ~1540), lecz unikano igrania przy tym z golizną, chociaż i tu dałoby się wskazać jakieś *„wyjątki potwierdzające regułę"*, exemplum bardzo nimfetkowate golaski na pełnym nimf obrazie Domenichina (druga dekada XVII wieku). Wrota sprośności rozwarły się dopiero w stuleciu XVIII za sprawą frywolnego stylu Rokoko, który kochał obscena równie mocno jak ówczesna europejska stolica zepsucia, Paryż, kochała pedofilię. Uczyniono wtedy z pedofilii swoisty przemysł nad Sekwaną, gdzie dość często (co wskazują raporty policji burbońskiej) same matki sprzedawały swe 13–letnie, 12–letnie i nawet 11–letnie córki bogatym lubieżnikom za cenę 10 luidorów lub mniej, aczkolwiek bardzo ładne *„perełki"* sprzedawano za tej sumy wielokrotność. Funkcjonowały parające się tym procederem specjalne biura, prowadzone przez biegłych stręczycieli i szczwane rajfurki (*„maquerelles"*). Cytuję notatkę policyjną z 1764 roku: *„Markiz de Gersay wziął sobie 13–latkę, córkę rzemieślniczej familii. Najpierw kazał ją solidnie domyć kąpielą, po czym przystąpił do właściwych oględzin…"*.

mal. Agnolo Bronzino

mal. Domenichino – Domenico Zampieri (1617)

My zaś przystąpmy do oględzin bardzo bogatego *„oeuvre"* Rokoka w zakresie prezentowania nimfetek. Rzeźbiarze tamtej ery nie zostawili zbyt wielu takich tworów — najbardziej znana jest terakotowa **„La Gimblette"** Claude'a Michela, pastiszująca grafikę Fragonarda (obie z ósmej dekady wieku XVIII), a ukazująca golutką *„małolatę"* żonglującą pieskiem nogami — lecz malarze wyprodukowali nieletnich bohaterek multum. Ubranych i rozebranych. O miano najgłośniejszego ubranego *„le fruit vert"* (zielonego owocu, niedojrzałego owocu), który miał podniecać satyrów, rywalizowały dziewczątka panów Watteau i Greuze'a:

Claude Michel, „La Gimblette" (~1778)

Jean–Antoine Watteau, geniusz malarskiego Rokoka, stworzył tuż przed swą śmiercią obraz zwany dzisiaj **„Taniec"** (1720), którego bohaterką jest śliczna jak laleczka, wdzięcząca się do widza smarkula w długiej sukience. Pierwotny tytuł, wzięty z modnego czterowiersza, brzmiał: **„Iris, to najlepszy czas, by wreszcie zatańczyć…"**, i był premedytacyjnie dwuznaczny, bo wiadomo o rozpoczęcie jakich gibań

eprasa.pl 3ed46125cf

Jean-Antoine Watteau, „Taniec" (1720)

chodziło. W katalogu wielkiej międzynarodowej (Paryż–Waszyngton–Berlin) wystawy dla uczczenia 300–lecia urodzin Watteau (1984) czytamy o tej panience: *„Une coquette–fillette* [nieletnia kokietka, uwodzicielskie dziewczątko]. *Leżące u stóp drzewa tarcza z sercem i strzała świadczą, że to młodziutkie stworzenie będzie używało swych wdzięków nie tracąc czasu. Dlatego odwraca się od trzech akompaniujących jej chłopców, którzy należą jeszcze do świata dziecięcego"*.

Ubrana nieletnia bohaterka *„płótna"* Jeana–Baptiste'a Greuze'a **„Rozbity dzban"** (1773) należy już do świata dorosłych, została bowiem właśnie rozdziewiczona, co symbolizuje nie tylko przedziurawiony dzban na jej prawym ręku (już w kodach średniowiecznych dzban oznaczał żeńskie genitalia), lecz i całe rozmamłanie nimfetki, odsłonięta goła pierś i dłonie trzymające zerwane kwiaty na podołku w taki sposób, jakby trzymała się za obolałe podbrzusze. Plus jeszcze ta morda lwa sikającego białą strugą!... Ze wszystkimi tymi atrybutami defloracji dzieło Greuze'a (jego produkt najsławniejszy, notujący rekordową w Luwrze liczbę studialnych kopiowań przez adeptów i początkujących artystów) to obleśny kryptopornos — krypto, bo z pozoru wygląda nieomal świątobliwie, jak obrazki Murilla dawane dzieciom przy komunii.

Jean-Baptiste Greuze, „Rozbity dzban" (1773)

MAŁOLATY DWÓCH PANÓW B.

Gołe nimfetki najodważniej malowali w Rokoku Fragonard i Boucher. Jean–Honoré Fragonard ze swych czołowych obscenicznych grafik nimfetkowych uczynił tak ostre porno (*„hard core"*), że Lisicki, Bogobojny arcykapłan **„Do Rzeczy"**, nie pozwoliłby tego reprodukować, zatem niech Fragonardowską ilustracją będą wypięte pupy XVIII–wiecznych, Rubensowsko pulchnych Lolitek z jego *„płótna"* ***„Kąpiące się"*** (1764) — pędzlem Fragonard świntuszył mniej odważnie aniżeli ołówkiem czy kredką. Zresztą to nie on, lecz jego kolega François Boucher zyskał chwalebne (w rokokowych kręgach) miano *„mistrza wypiętych pośladków"*, głównie za konterfekty wypiętych pup nieletnich kochanek króla Ludwika XV. Najgłośniejsze z tych ujęć, **„Leżąca dziewczyna"** (patrz strona tytułowa eseju), jest dziś chlubą monachijskiej Starej Pinakoteki, gdzie ciągną hordy samców, by rozkoszować się Boucherowską *„Die Kleine"* o kusząco rozłożonych nogach, ale sam Boucher i jego epigoni trzasnęli tyle replik i kopii malowidła, że można kontemplować ujęcie w wielu muzeach globu (Luwr i in.). Często jako tytuł widnieje: **„Louise O'Murphy"**, modelką była bowiem 13–letnia Mlle O'Murphy, zwana *„La Morphise"*, *„La Morfi"*, *„La petite Morphi"* i *„La petite Louison"*. Inspektor ówczesnej paryskiej policji, Meusnier, raportował, że to *„córka irlandzkiej łajdaczki O'Murphy"*, zaś ówczesny minister spraw zagranicznych, markiz d'Argenson, precyzował w marcu roku 1753: *„Obecnie król chędoży 14–latkę, którą mu odmalował Boucher. Matką tej dziwki jest niejaka Morfi, właścicielka sklepiku na terenie Palais–Royal, która dorobiła się czterech córeczek i teraz sprzedaje ich młodziutkie cipki jedną po drugiej. Ta, co awansowała na faworytę króla, pracowała wcześniej jako pomocnica u krawcowej Fleuret"*.

Nieletnimi modelkami Bouchera stały się przynajmniej dwie z sióstr O'Murphy (Wiktoria i Ludwika), a „portrety" ich bezwstydnej golizny malował on formalnie nie dla samego monarchy (taka ostentacja byłaby *„en mauvais goût"*), tylko dla generalnego poborcy Bergereta tudzież dla dworskiego dygnitarza de Vandièresa. No i słodka Ludwika, chociaż była malowana jako pierwsza, nie była pierwszą panną O'Murphy świadczącą Ludwikowi XV usługi erotyczne. Wyprzedziła ją Brigitte O'Murphy (pono najbardziej wyuzdana), która gdy zbliżyła się do pełnoletności — została przez młodszą siostrę zastąpiona w królewskim łożu.

Na koniec tej opowieści o nimfetkach malowanych ręką Bouchera warto

mal. J.-H. Fragonard

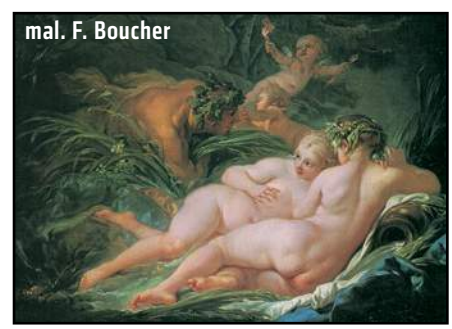
mal. F. Boucher

eprasa.pl 3ed46125cf

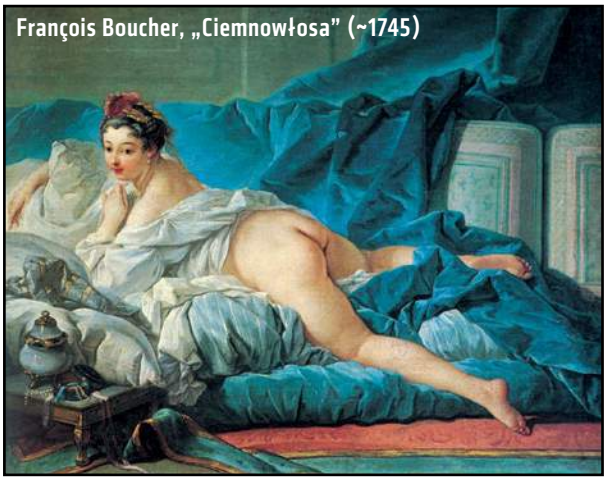
François Boucher, „Ciemnowłosa" (~1745)

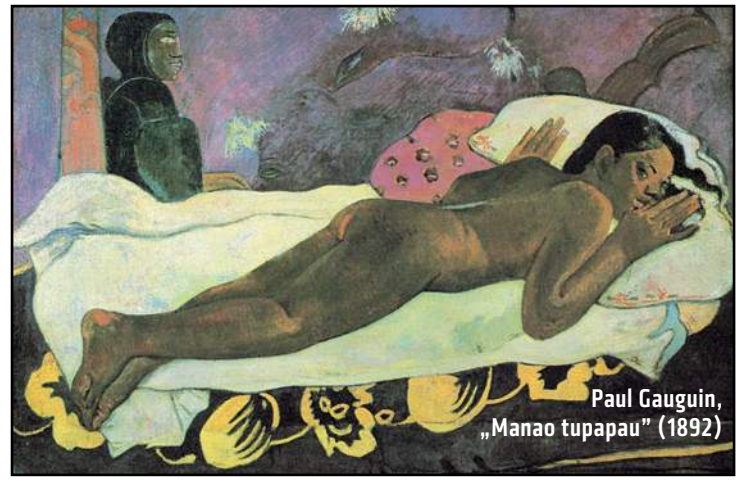
Paul Gauguin, „Manao tupapau" (1892)

dodać, że ich prowokacyjnie rozrzucone nogi były przez purytańskich ikonologów interpretowane jako *„studium nauki pływania"* (sic!). Malarze wszystkich późniejszych epok tylko cmokali. Impresjonista Renoir piał z zachwytu: *„Jak cudownie ten Boucher przedstawiał młodziutkie półdupki, dołeczki i fałdki nastolatek!"*. Wielbił to mistrzostwo również Gauguin, który podczas swego pierwszego pobytu na Tahiti zaślubił 13–letnią tubylkę, podczas drugiego 14–letnią, a ostatnią jego kobietą tam (na wyspie Hiva–Oa) została też 14–letnia Marie Rose Vascho.

Dwieście lat po Boucherze zasłynął jako specjalista malowania nimfetek drugi pan B. — Balthus, surrealista uprawiający *„magiczny realizm"*. Nie był jedyny — tuż przed nim wykazywał pedofilskie skłonności znany austriacki malarz Egon Schiele — lecz pędzlem nikt wtedy (pierwsza połowa wieku XX) nie pokonał na tym polu Balthusa. Trzy opinie wystarczą dla charakterystyki jego drygu. Poeta René Char: *„Klucz do zrozumienia Balthusa jest ukryty w staniku tej małej osy — nimfetki"* (1949). Historyk sztuki, Gilles Néret: *„Balthus, gorący wielbiciel Alicji z Krainy Czarów, kochał perwersyjną zmysłowość dorastających dziewczynek, które według sado–baudelaire'owskiej tradycji «raz są ofiarami, a innym razem prześladowczyniami». Malowane jego pędzlem nimfetki leżą w oparach swych żądz, choć gdy wytykano mu, że ukazuje zwodnicze Lolitki, zaprzeczał twierdząc, że są to anioły"* (2005). Publicysta Leszek Turkiewicz: *„Młodziutkie dziewczęta Balthusa mają zalotne pozy, snują marzenia (...) Zyskał opinię perwersyjnego malarza nimfetek nękanych budzącym się pożądaniem, ale tłumaczył, że to tylko zwiastuny aniołów. Jego niektóre obrazy wywoływały oburzenie, bo uznano je za pornograficzne"* (2017).

Wszystkim dzisiejszym nimfetkom (bez względu na wiek) życzę w Dniu Zakochanych więcej odruchów serca niż przyrodzenia. ©℗

eprasa.pl 3ed46125cf

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Słoń a sprawa świata

Mamy taką rodzinną przypadłość: uwielbiamy słonie. Ilekroć mamy możliwość, tylekroć staramy się z nimi trochę poobcować. I zauważyliśmy, że przez ostatnich parę lat status słonia mocno się zmienił.

Kiedy pierwszy raz pojechaliśmy do Azji Południowo-Wschodniej, jakąś dekadę temu (to były początki Obamy i ludzie paradowali w koszulkach z jego fizjonomią, głosząc nadejście nowego Mesjasza), na słoniach się jeździło. W Tajlandii czy na Sri Lance słoń od zawsze był zwierzęciem pociągowym, swego rodzaju traktorem oraz służył do jazdy wierzchem. Nic dziwnego, że turystom masowo oferowano przejażdżki na tych wspaniałych zwierzętach. Oznaczało to, że gdzieś w pobliżu słonia operował facet z niezbyt sympatycznie wyglądającym haczykowatym szpikulcem.

Dzisiaj to się zdecydowanie zmieniło. Przejażdżki są w odwrocie. Nadal można ich zażywać, można też oglądać np. Angkor Wat w Kambodży z grzbietu słonia. Turystów wabi się jednak do rozmaitych słoniowych przybytków hasłem okraszonym wykrzyknikiem: „No riding!". Czyli żadnego jeżdżenia. Słonie traktuje się w Azji z szacunkiem i czułością, ale możemy być pewni, że tego typu ewolucja usług została spowodowana przez presję zachodnich organizacji ekologicznych. Presję tyleż na przemysł turystyczny, ile na samych turystów. Ci sami ludzie (w tym i ja) traktowali jeszcze parę lat temu jazdę na słoniu jako coś tak zwyczajnego jak palenie na zebraniach w latach 80. ubiegłego stulecia. Dzisiaj ekologicznie uświadomiony podróżnik z odrazą myśli o wykorzystaniu słonia w charakterze pojazdu. W Internecie bardzo złą sławą cieszą się ośrodki dla słoni w rodzaju Pinnawali na Sri Lance, gdzie zwierzęta dyscyplinuje się kijami i pęta łańcuchami. Sam pod wpływem takich doniesień omijam Pinnawalę szerokim łukiem.

W efekcie przybytki dla słoni zmieniają się w swego rodzaju SPA dla tych zwierząt. Goście już na nich nie jeżdżą, lecz płacą za to, by je karmić, polewać wodą w czasie kąpieli w rzece, a potem oblepiać błotem podczas zabiegów mających chronić słoniową skórę przed słońcem i insektami. Zwierzęta można głaskać, przytulać, można z nimi spacerować, a w zasięgu wzroku nie ma żadnych pałek i szpikulców. I jest to wspaniałe doświadczenie. Takie słoniowe campy bardzo dbają, żeby nie podpaść ekologom.

To jest akurat ta ładna twarz postępu. Jest jednak i druga. Kiedy my baraszkowaliśmy ze słoniami w Azji, kolejny amerykański stan debatował nad dopuszczalnością aborcji do końca trwania ciąży. Żaden ze mnie konserwatysta, ale i we mnie dojrzewa dość banalna konstatacja, że coś z tym światem poszło nie tak. Ciekawe, czy to droga w jedną stronę. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Wyobraźnia, głupcy!

Nie wiem, jaki będzie efekt blokowania telewizji publicznej, ale pewnie odwrotny do zmierzonego. Atakowanie dziennikarzy zawsze bywa działaniem nieopłacalnym. I żadna manipulacja nie zmieni agresora w ofiarę. Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to wyraźna utrata nerwów przez opozycję totalną.

Przypomina to zachowanie zamroczonego boksera wymierzającego ciosy na ślepo z przekonaniem, że jeden wreszcie trafi i rozstrzygnie sprawę. Jedynym beneficjentem tych praktyk wydaje się Biedroń, który prawicy raczej nie zaszkodzi, a „totalsom" już uszczupla elektorat. Jednak to, co najbardziej mnie martwi, to kompletny brak wyobraźni u obecnej opozycji. Wzniecając nienawiść, eskalując konflikty, uruchamia ona mechanizmy, nad którymi nie będzie w stanie zapanować.

Debata wyprowadzona na ulice na tej ulicy pozostanie. Rezerwuary nienawiści jeszcze się wypełnią

Powiedzmy, że kiedyś uda się jej uzyskać, czy raczej uciułać, większość, i obejmie władze. Co z nią zrobi poza dorwaniem się do kasy? Powsadza swoich przeciwników tak, jak zapowiada? Zamieni dziennikarzy na swoich? Niech spróbuje. Wersalu nie będzie. Arkadii tym bardziej. Debata wyprowadzona na ulice na tej ulicy pozostanie. Rezerwuary nienawiści jeszcze się wypełnią. Zdesperowani ludzie nie zawahają się używać przemocy.

Można sobie wyobrazić, że po złamaniu tabu, jakim była ochrona dziennikarzy w pracy, agresja będzie eskalować. Czy trudno wyobrazić sobie przemoc skierowaną przeciwko rodzinom przeciwników. Jeśli łamie się jeden kanon demokracji, to trzeba wiedzieć, że nic nie ochroni następnych. Tego chcemy? Jeśli definitywnie podważy się procedury, to rządzenie stanie się niemożliwe. Mimo wygranych wyborów. Najlepszym przykładem jest niedawny ulubieniec Francuzów – Macron. Nie ma ruchu, nawet gdy zrobi coś rozsądnego.

Od trzech lat jesteśmy świadkami nieustannie narastającej histerii. I to w sytuacji, kiedy sprawujący władzę (oskarżani o faszyzm i zapędy dyktatorskie) zachowują nieprawdopodobną powściągliwość. Wystarczy popatrzyć na kulturę – od trzech lat najzagorzalsi przeciwnicy władzy opływają we wszystko. Kręcą obrzydliwe filmy, wystawiają obsceniczne sztuki… Czy chodzi o to, żeby rządzący stracili cierpliwość? Jednym ruchem zakręcili kurek w myśl hasła: „Ani grosza dla przeciwnika"?

I może w końcu stracą. Kiedy i tak jest się oskarżonym o najgorsze, może warto na taką opinię zasłużyć. ©℗

eprasa.pl 3ed46125cf

Sala główna schronu w Podborsku
FOT. GRZEGORZ KIARSZYS

Strażnicy uranu

Radosław Wojtas

Przedszkole, boisko, przydomowe ogródki, a za płotem – schron do przechowywania głowic atomowych. Badania archeologiczne odsłaniają tajemnice akcji „Wisła", w ramach której w Polsce powstały sowieckie bazy dla broni masowego rażenia

Klamka zapadła po polsko-sowieckich manewrach przeprowadzonych w 1965 r. na poligonie w Drawsku Pomorskim. Jednym z najważniejszych celów ćwiczeń było sprawdzenie, ile czasu zajmie przerzucenie głowic atomowych i rakiet, by użyć ich przeciwko krajom NATO. Sprawdzano różne drogi: naziemne – kolejową i samochodową – oraz morską i powietrzną. Żadna z nich nie była dość szybka. W dodatku taki transport nie mógł pozostać niezauważony. Istniało poważne ryzyko, że w razie konfliktu rakiety nie dotrą do miejsca, z którego mogłyby razić zachodnie kraje. Sowiecki niedźwiedź mógł stracić pazury, nim zdążyłby nimi pogrozić.

Zapadła decyzja o budowie magazynów na broń atomową na terenie Polski, NRD, Czechosłowacji, Bułgarii oraz na Węgrzech. W Polsce tajnej operacji nadano kryptonim Wisła. Wytypowano trzy miejsca, zdaniem Rosjan idealne na atomowe schrony – Podborsko (obecnie woj. zachodniopomorskie), Templewo (woj. lubuskie), Brzeźnica-Kolonia (woj. wielkopolskie). Wszystkie lokalizacje były mocno zalesione, co ułatwiało ukrycie baz, a jednocześnie znajdowały się wystarczająco blisko od miejsc stacjonowania armii sowieckiej, w tym wojsk rakietowych i sił powietrznych, blisko dróg i kolei. Dawało to możliwość dość szybkiego przeniesienia głowic na teren NRD, skąd można było już razić cele w krajach Europy Zachodniej.

ZA PLECAMI POLAKÓW

25 lutego 1967 r. na poziomie ministerstw obrony PRL oraz ZSRS podpisano porozumienie, które ustalało reguły powstania i funkcjonowania baz atomowych na terenie Polski. Na jego mocy ustalono, że powstaną trzy magazyny broni jądrowej, które na swój koszt i własnymi siłami wybudują Polacy. Oczywiście według planów Rosjan, którzy – gdy bazy będą już gotowe – zajmą się ich urządzeniem, wyposażeniem i użytkowaniem. Pracujący przy budowie schronów nie wiedzieli, jakie będzie przeznaczenie obiektów. LWP było poinformowane, że schrony mają służyć radzieckim wojskom łączności w przypadku wojny.

O czym nie wiedzieli Polacy – wiedział wywiad Stanów Zjednoczonych. Doktor

eprasa.pl 3ed46125cf

Grzegorz Kiarszys, archeolog z Uniwersytetu Szczecińskiego, którego badania rzuciły wiele światła na funkcjonowanie obiektów budowanych w ramach akcji „Wisła", dotarł do odtajnionych już zdjęć i dokumentów CIA. Amerykanie dysponowali zdjęciami satelitarnymi baz, kiedy te były jeszcze w budowie. Jednak informacje o obiektach, w których Sowieci mogli przechowywać głowice nuklearne, nie pochodziły jedynie ze zdjęć. – W 1969 r. jeden z satelitów sfotografował wszystkie trzy bazy, jeszcze w trakcie budowy. Na zdjęciach widać schrony i pierwsze budynki – mówi „Do Rzeczy" dr Grzegorz Kiarszys. – Satelity pozwoliły Amerykanom zlokalizować te obiekty, ale w raportach CIA są szczegóły, które nie mogły być pozyskane jedynie ze zdjęć satelitarnych, ale raczej od agenta działającego na ziemi. W jednym z raportów z roku 1972 jest np. mowa o tym, że personel w bazach jest tylko radziecki, nie ma innych wojsk Układu Warszawskiego, takie informacje musiały pochodzić od agentów – dodaje.

Rosjanie nie zdawali sobie sprawy z takiego rozpracowania. Myśleli, że ich bazy były doskonale zakamuflowane. Czy kiedykolwiek była w nich przechowywana broń atomowa? Zespół dr. Kiarszysa sprawdził bazy licznikami Geigera, ale skażenia nie stwierdzono. To jednak o niczym nie przesądza i może świadczyć jedynie o tym, że głowice były przechowywane w odpowiednich warunkach. – Jest ciekawy amerykański trop. Jeden z raportów CIA mówi wprost, że Amerykanie są pewni, iż te obiekty są aktywne, że głowice są tam przechowywane. Wygląda na to, że w 1972 r. Amerykanie nie mieli wątpliwości co do funkcji i aktywności baz – dodaje archeolog.

ATOMOWY OGRÓDEK

Stuprocentową pewność mogłaby dać analiza dokumentów, które wycofujące się z Polski rosyjskie wojsko zabrało ze sobą do Moskwy. W Polsce pozostała głównie dokumentacja, która powstawała przed oddaniem baz w sowiecką dyspozycję. Ponieważ nic nie wskazuje na to, by Rosjanie odtajnili dokumenty dotyczące baz na terenie PRL, tym cenniejsze są badania archeologiczne, pozwalające choć w części uzupełnić lukę w wiedzy o historii tego miejsca.

Najważniejszymi obiektami każdej z baz były bliźniacze schrony monolitycznej. To te dwukondygnacyjne, żelbetowe konstrukcje, wkopane na kilka metrów w ziemię, przeznaczone były do składowania głowic nuklearnych. Prowadziły do nich dwie bramy umieszczone po przeciwległych stronach schronu. W końcu lat 70. XX w. w ścisłej strefie zbudowano z betonowych prefabrykatów schron typu Granit. Do tego infrastruktura pomagająca w załadunku głowic, kryjówki na pojazdy (według amerykańskich dokumentów w bazach były ciężarówki z zabudową izotermiczną umożliwiającą zachowanie niezmiennej temperatury przewożonym głowicom), drogi, lądowiska dla helikopterów (w bazie 3001 w Podborsku), rowy strzeleckie, betonowe bunkry i schrony dla załóg pojazdów. Były też koszary, a właściwie... budynki mieszkalne dla całych rodzin. – Kultura masowa powoduje, że takie bazy wyobrażamy sobie inaczej, niż w rzeczywistości wyglądały. Rodziny oficerów i podoficerów mieszkały razem z nimi w tych bazach, z czasem zbudowano w nich np. przedszkole, starano się zachować pozory normalnego życia codziennego – tłumaczy dr Grzegorz Kiarszys.

Dzieci pozujące na tle mieszkań podoficerów FOT. AUTOR NIEZNANY; ZE ZBIORÓW M. ŻUKA

Schron typu Granit w Podborsku FOT. GRZEGORZ KIARSZYS

Najważniejszymi osobami w bazie byli specjaliści, którzy zajmowali się głowicami jądrowymi. O ile zmiany żołnierzy służby zasadniczej (ocenia się, że w jednej bazie mogło ich stacjonować ok. setki) trwały dość krótko, o tyle specjalistów w sowieckiej armii brakowało, stąd ich pobyt w tej czy innej ściśle tajnej bazie na odludziu trwał dłużej. – Gdyby wrzucić tych ludzi bez rodzin do lasu, mogłyby się zacząć dziać różne dziwne rzeczy. Nikt tak dobrze nie kontroluje stanu psychicznego jak najbliższa rodzina. Z czasem wysokim płotem oddzielono strefę, w której mieszkali oficerowie, by mieli poczucie wyjścia z domu do pracy – wyjaśnia archeolog.

Przed domami rosły kwiaty, ludzie zakładali ogródki warzywne czy niewielkie sady, dzieci chodziły do przedszkola. Po tamtym zimnowojennym świecie zostały pewne ślady. Wśród wysypisk śmieci pozostawionych przez Rosjan można znaleźć np. dziecięce buciki. Jeszcze dziś na rosyjskich portalach społecznościowych (np. na kontrolowanym przez rząd odpowiedniku Facebooka) pojawiają się zdjęcia z baz wybudowanych w ramach akcji „Wisła". Pochodzą ze strefy koszarowej, a zamieszczają je tam ludzie, którzy żyli tuż obok atomowych głowic. Nie brakuje fotografii rodzin z dziećmi.

NIE TYLKO „WISŁA"

Z trzech atomowych baz w dość dobrym stanie przetrwała do dziś tylko ta w Podborsku. Schrony pod swoje skrzydła wzięło Muzeum Zimnej Wojny (filia Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu), a inne budynki są użytkowane przez miejscowy areszt. Pozostałe bazy zostały w dużej części rozebrane, rozkradzione, a miejsca dawnych atomowych wiosek porosły nowe drzewa.

Jednak te trzy bazy to nie wszystko. – Były też bazy atomowe budowane przez Związek Sowiecki w państwach Układu Warszawskiego w tajemnicy nawet przed rządami tych państw. Były to zazwyczaj magazyny budowane w pobliżu wojskowych lotnisk, które miały albo przez krótki czas, albo długotrwale służyć do przechowywania głowic atomowych. W Polsce też istniały takie obiekty – mówi dr Kiarszys.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ed46125cf

Ambasador USA Georgette Mosbacher i prezes IPN dr Jarosław Szarek FOT. SŁAWEK KASPER/IPN

Krótkie spięcie?

Marcin Makowski

Czy Amerykanie postawili IPN ultimatum: przekażecie nam dokumenty ze swoich zbiorów albo nie będzie Fort Trump? Według informacji „Do Rzeczy" doszło do spięcia między obiema stronami

Na początku lutego, w cieniu skandali obyczajowo-finansowych trawiących polską politykę, do opinii publicznej zaczynały docierać echa innej sprawy. W dużej mierze przemilczanej, choć nie mniej ważnej. Jak poinformował na Twitterze dziennikarz Polskiego Radia 24 Rafał Dudkiewicz, ze strony amerykańskiej ambasador w rozmowach z przedstawicielami Instytutu Pamięci Narodowej miały „padać groźby, że nie powstanie Fort Trump, jeśli pewna pula archiwów nie zostanie przekazana do USA". Jak dodawał na łamach tygodnika „Sieci" Bronisław Wildstein – członek kolegium IPN – atmosfera z dnia na dzień gęstniała. Przedstawiciele Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie mieli bowiem zażądać wprowadzenia aneksu do umowy z instytutem, swój postulat opatrując „niedoprecyzowanym ultimatum". Wildstein twierdził, że „szefowa muzeum dość obraźliwie demonstruje swoje désintéressement wobec IPN", „dyktuje się Polakom, co mają wykonywać", a samo „Muzeum Holokaustu zalega IPN 50 tys. stron dokumentów", które miały stanowić element wymiany między instytucjami.

O co w tym zamieszaniu tak naprawdę chodzi? W 2009 r. Instytut Pamięci Narodowej podpisał umowę z Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie, wedle której obie instytucje miały się wymieniać kopiami interesujących je dokumentów w proporcjach jeden do jednego. Chociaż przez lata nie było uwag co do formy współpracy, w ostatnich miesiącach do IPN miały docierać z Ameryki coraz silniejsze głosy, że teczek z Warszawy powinno płynąć więcej, również w wersjach oryginalnych. Właśnie ta kwestia stała się elementem szumu medialnego i wzajemnych korespondencyjnych oskarżeń. – Nigdy nie było nawet mowy i żądań, aby przekazywać drugiej stronie oryginały dokumentów, które znajdują się w naszych zasobach. Zresztą to reguluje polskie prawo, które to uniemożliwia, a w Instytucie Pamięci Narodowej nigdy nie zgodzimy się na rozwiązania, które mogłyby być złamaniem prawa i ustawy o IPN – przekonuje w rozmowie z „Do Rzeczy" prezes instytutu dr Jarosław Szarek.

Jak zapewnia, do tej pory polska instytucja pozyskała już „wszystkie interesujące ją dokumenty ze zbiorów w Waszyngtonie", dlatego z jej strony formuła współpracy właściwie się wyczerpała. Być może właśnie ten element stanął ością w gardle Amerykanom, którzy chcieli nadal korzystać z zasobów IPN, jednocześnie udostępniając je innym podmiotom. Tego miał dotyczyć wspomniany aneks. – Stoimy na stanowisku, zgodnie z prawem, że nie mogą być one przekazywane osobom trzecim – tłumaczy postawę instytutu w tej sprawie dr Szarek. Jednocześnie przyznaje, że zgodnie z ustaleniami „Do Rzeczy" istnieje duża dysproporcja w pozyskiwaniu archiwaliów na niekorzyść IPN. – Faktycznie, jest dysproporcja w przekazywaniu dokumentów między naszymi placówkami, ale Muzeum Holokaustu zobowiązało się do nadrobienia i wyrównania – słyszymy. Inni pracownicy placówki, z którymi rozmawiamy, anonimowo twierdzą, że problem jest stosunkowo poważny, ponieważ Amerykanie poza światłami kamer potrafili zachowywać się dosyć arogancko, równocześnie nie zachowując symetrii w liczbie i jakości przekazywanych dokumentów, niejednokrotnie o mniejszej wartości historycznej oraz opatrzonych klauzulą zakazującą ich upubliczniania.

Jak powiedział nam prezes Szarek, dotychczasowi ambasadorzy USA nie byli do tej pory osobiście zaangażowani w relacje pomiędzy IPN a Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie. – Z poprzednikami Georgette Mosbacher rozmawialiśmy jedynie na temat wymiany doświadczeń odnośnie do poszukiwań szczątków żołnierzy i ofiar totalitaryzmów, a jednym z efektów była niedawna wizyta w IPN delegacji Defense Prisoner of War/Missing in Action Accounting Agency, agencji Departamentu Obrony – usłyszeliśmy.

Na kanwie spekulacji medialnych odnośnie do amerykańskich roszczeń 5 lutego w siedzibie IPN odbyło się spotkanie pomiędzy ambasador USA, dyrektor muzeum Sarą Bloomfield i towarzyszącą jej delegacją a władzami instytutu. „Strony potwierdziły wolę kontynuacji współpracy i gotowość do dalszego prowadzenia rozmów" – mogliśmy przeczytać w oświadczeniu, a od uczestników rozmów dowiedzieliśmy się, że pomimo serdecznej atmosfery rozmowy były „zdawkowe i skupione na kwestiach technicznych". „Pogłoski w mediach, że Stany Zjednoczone łączą kwestię archiwum IPN ze współpracą z Polską w zakresie bezpieczeństwa, są nieprawdziwe" – napisała na Twitterze Georgette Mosbacher. W oficjalnej komunikacji obydwie strony prezentują zatem narrację wyciszania emocji, ale nieoficjalnie wiadomo, że gdyby nie brak symetrii we współpracy, do całego zamieszania w ogóle by nie doszło.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ed46125cf

Centrum Historii Zajezdnia

OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA

eprasa.pl 3e

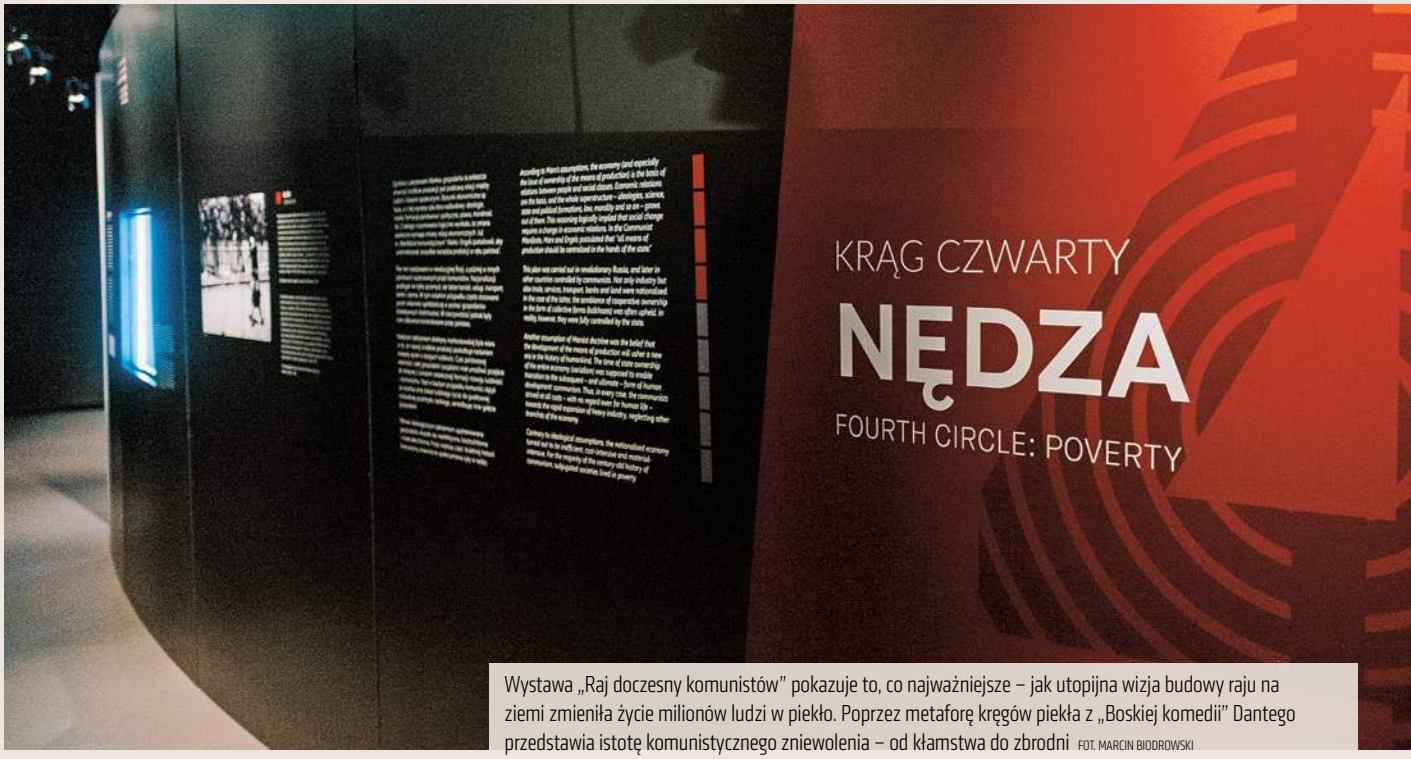

Wystawa „Raj doczesny komunistów" pokazuje to, co najważniejsze – jak utopijna wizja budowy raju na ziemi zmieniła życie milionów ludzi w piekło. Poprzez metaforę kręgów piekła z „Boskiej komedii" Dantego przedstawia istotę komunistycznego zniewolenia – od kłamstwa do zbrodni FOT. MARCIN BIODROWSKI

Klątwa Marksa i Lenina

Piotr Semka

Świat Zachodu formalnie uznaje zło komunizmu, tyle że rzadko chce o nim mówić. Z okazji setnej rocznicy rewolucji bolszewickiej wystawy na temat komunizmu w największych stolicach Europy można policzyć na palcach jednej ręki. Z tym większym uznaniem przyjąłem ekspozycję we wrocławskim Centrum Historii Zajezdnia

Traf chciał, że na ostatnie dwa minione lata przypadły znamienne rocznice. W 2018 r. odnotowaliśmy dwusetną rocznicę urodzin Karola Marksa, a rok wcześniej, w 2017 r., kalendarz wskazał nam, że minęło sto lat od wybuchu rewolucji Lenina w Rosji.

Dziś wielu ludzi lewicy oburza się, gdy wiąże się brodatego filozofa z Trewiru z wodzem rewolucji bolszewickiej. Obrońcy Marksa wskazują, że nie można utożsamiać jego teorii z budzącą ich ubolewanie praktyką sowieckiego państwa. I jeśli już mowa o systemie terroru, to zazwyczaj pada nazwisko Stalina jako jedynego winowajcy, bo już Lenin wciąż cieszy się większym szacunkiem. Nie tłumaczy to jednak, dlaczego absolutnie wszystkie państwa, które uznawały Marksa za swojego ideologa – posługiwały się nienawiścią i kłamstwem. Co było tym genem w uczniach autora „Kapitału"?

Mam wrażenie, że przekonanie, że dziejami ludzi kieruje walka klas, czyli niedający się uniknąć konflikt tych, co mają więcej, od tych, co mają mniej, otwarło drogę do wyzwolenia niewyobrażalnych pokładów zawiści, która zazwyczaj zamieniała się w przemoc lub mord. To właśnie ta doktryna, w swojej skrajnej formie, decydowała na rosyjskiej wsi w epoce walki z kułakami, czy ktoś, mając dwie krowy, zostanie zesłany na Syberię, czy też mając jedną krowę, zostanie oszczędzony, jeśli tylko zapisze się do kołchozu.

PIEKŁO NA ZIEMI

Z całej ekspozycji podzielonej wzorem „Boskiej komedii" Dantego na kolejne kręgi komunistycznego piekła zapamiętałem szczególnie cztery eksponaty. Niech posłużą za symbole przerażających cech idei marksizmu wcielanych w życie.

Pierwszy eksponat wystawy to obraz ze zbiorów stalinowskiej propagandy. Jest rok 1932. 13-letni Pawlik Morozow ze wsi Gierasimówka na Uralu odkrywa, że jego ojciec Trofim fałszuje dokumenty dotyczące skupu zboża, czym szkodzi socjalistycznej gospodarce. Na obrazie młody kandydat na pioniera staje na środku chłopskiej izby i głośno mówi ojcu, co o tym myśli. Z boku patrzy już nienawistnie na chłopca kuzyn gospodarza. Każdy, kto znał historię Pawki, powielaną w ZSRS w setkach tekstów, czytanek, a nawet w jednej napisanej specjalnie operze – wie, że po donosie Morozowa na ojca do NKWD chłopiec zginie zabity przez

eprasa.pl 3ed46125cf

krewnych w ramach zemsty i na koniec zostanie kanonizowany przez propagandę. Ten obraz przypomina wyjątkowo potworną cechę komunizmu – żądanie uczynienia z partii komunistycznej jedynego punktu odniesienia w lojalności obywateli. Dogmatu, że w komunizmie na dalszy plan schodzą więzy rodzinne, przyjacielskie i narodowe.

Kolejny niewielki eksponat niesie z sobą symbolizm zniewolenia setek milionów ludzi. To kłódka z jednego z łagrów rozsianych na północy ZSRS. To tam uczyniono z życia uwięzionych ludzi piekło na skutej lodem ziemi. Surowa przyroda, wyniszczająca praca, diaboliczny system dręczenia więźniów politycznych poprzez oddanie ich pod władzę kryminalistów – to wszystko było udziałem kolejnych pokoleń ludzi, którzy urodzili się w państwie spod znaku sierpa i młota. Ich miejsca udręki nie stały się dziś muzeami jak hitlerowskie obozy zagłady. Drewniane wieżyczki strażnicze, ogrodzenia z drutu kolczastego i baraki więźniów zgniły, zardzewiały lub rozpadły się ze starości po 1989 r. Były niewygodnymi świadkami strasznej przeszłości. Nie zajęło się nimi UNESCO, do nich nikt nie woził szkolnych wycieczek. Jeden z niewielu śladów po archipelagu Guług można zobaczyć tu, we wrocławskiej Zajezdni.

KONTROLA, NĘDZA, TERROR

Kolejny eksponat – rysunek z czasu chińskiej kampanii walki ze szkodnikami zboża. Mao Tse-tung, wódz chińskich komunistów, ogłosił w 1958 r., że problemem wsi są wróble wyjadające zbyt wiele zboża. Aby wytępić tego szkodnika, za pomocą specjalnych instruktażowych rysunków dla dzieci pokazywano, jak łapać i zgładzić jak najwięcej wróbli. Skutkiem tej chorej polityki było rozmnożenie się robactwa, które dotąd zjadały wróble, i wielki głód. W ten sposób ujawniła się inna cecha komunizmu – pełna pychy wiara, że przyrodę można dowolnie kształtować w imię postępu.

I wreszcie ostatni eksponat, słoik z archiwów enerdowskiej bezpieki, w którym zakonserwowano kawałek ubrania związany z inwigilowanym opozycjonistą. Chodziło o zachowanie zapachu ofiary, co miało się przydać do dalszej inwigilacji nieprawomyślnego obywatela.

Chiński plakat propagandowy z 1956 r., zachęcający dzieci do polowań na wróble. Na wystawie „Raj doczesny komunistów" reprezentuje Krąg Czwarty: Nędzę FOT. KRZYSZTOF OCIESA-ŻYŁA

Kłódka zamykająca bramę obozu „Klucz", wchodzącego w skład archipelagu Guług. Na wystawie znalazła się w Kręgu Piątym: Kontroli FOT. KRZYSZTOF OCIESA-ŻYŁA

Słój ze śladem zapachowym przeciwnika systemu zachowany w archiwach wschodnioniemieckiej Stasi. Na wystawie obrazuje Krąg Siódmy: Terror FOT. KRZYSZTOF OCIESA-ŻYŁA

Tu dotykamy innej cechy komunizmu – żądzy kontrolowania dosłownie każdego obywatela państwa, w każdej możliwej formie.

Cztery wybrane eksponaty pokazują najbardziej przerażające cechy komunizmu – ingerowanie w życie rodzin, dogmat karania za najmniejsze nieposłuszeństwo, wiara we wszechmoc człowieka wobec natury i przekonanie o możliwości stworzenia systemu kontroli nad każdym.

LUDZIE ZNIKALI BEZ WIEŚCI

Podczas zwiedzania wystawy towarzyszyła mi jeszcze jedna refleksja. To dobrze, że jej autorzy nie ulegli manierze innych ekspozycji o komunizmie, w której widz zarzucany jest plakatami i pamiątkami po ZSRS czy PRL. Zwodniczą stroną tych czerwonych memorabiliów jest to, że są niezwykle barwne i atrakcyjne. Ożywiają wystawy soczystą czerwienią, budzą dziś często rozbawienie u młodego widza wizerunkami hożych kołchoźniczek i muskularnych robotników. Są często na wysokim poziomie artystycznym lub na odwrót – śmieszą nieporadną kreską. A jednak ich eksponowanie jest powtórnym triumfem propagandy. Bo te plakaty jakoś utrwalają negatywne stereotypy. Na wrocławskiej wystawie ograniczono udział takich plakatów do niezbędnego minimum i trzeba za to pochwalić autorów ekspozycji. Dominuje czerń i autentyczne zdjęcia.

Tyle że tych zdjęć z masakr marksistów nie zachowało się zbyt wiele. Komuniści w odróżnieniu od nazistów lubiących fotografować się na tle szubienic dbali, by nikt nie uwieczniał ich mordów. Unikano ostentacji. Ekipy aresztujące niewinnych ludzi przybywały w nocy i tylko stukot podkutych butów po schodach informował sąsiadów, że kogoś „biorą". Ludzie znikali nagle i bez wieści.

ZAWSZE JEST WYBÓR

Tej wystawie towarzyszy jeszcze jeden element, coś na kształt złotego promyka nadziei w tej opowieści o nieludzkim świecie terroru i kłamstwa. To ludzie prawdy i odwagi. Bardzo różni. Wymienię tylko trzech z wielu pokazanych na wystawie. To Adam Hodysz, oficer komunistycznej SB w latach 80., który postanowił złamać dyscyplinę i pomagać solidarnościowemu podziemiu. To Oskar Brüsewitz, pastor ze wschodnich Niemiec, który na znak protestu przeciw bezprawiu postanowił wstrząsnąć sumieniami współobywateli i dokonał samospalenia. I wreszcie Natan Szczarański, Żyd z Rosji, który za cenę wielu lat więzienia wymusił na władzach ZSRS zgodę na wyjazd do Izraela.

Ci wszyscy ludzie pokazali, że nawet najbardziej totalitarny reżim może zderzyć się z determinacją jednego człowieka. I despotyczna władza bywa wobec takiego oporu bezradna.

Zawsze jest wybór. Zawsze można pójść dobrą drogą. Nawet jeśli zapłaci się za to własnym życiem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ed46125cf

O wystawie „Raj doczesny komunistów" w Centrum Historii Zajezdnia z twórcą ekspozycji dr. Łukaszem Kamińskim

rozmawia Karol Białkowski

Przełamać zapomnienie

KAROL BIAŁKOWSKI: Rozmawiając o komunizmie, zwykle skupiamy się na własnej historii i na tym, że ten system już bezpowrotnie minął. Tymczasem wystawa postrzega tę rzeczywistość znacznie szerzej. Dlaczego globalne spojrzenie na komunizm jest tak istotne?

DR ŁUKASZ KAMIŃSKI: Warto patrzeć na dzieje komunizmu całościowo i nie ograniczać się tylko do doświadczeń poszczególnych narodów. Tylko wtedy uda nam się w pełni zrozumieć, na czym on polegał. Oczywiście w Polsce tych wszystkich kluczowych elementów doświadczyliśmy, ale niekiedy w znacznie mniejszym stopniu. Nawet rozszerzenie tej perspektywy na naszych najbliższych sąsiadów pozwala nam zrozumieć dużo więcej. Przykład? Kościół po 1956 r. zachował w Polsce swoją silną pozycję w społeczeństwie, ale to jest wyjątek, a nie reguła. Stąd na wystawie pokazujemy m.in. różaniec biskupa, a później kardynała Jana Chryzostoma Korca, który przez blisko 40 lat był biskupem podziemnego Kościoła w Czechosłowacji.

Wystawa wychodzi jednak ze swoją perspektywą poza Europę, zwłaszcza do Azji. Pokazujemy, do czego doprowadziły próby stworzenia raju na ziemi w postaci komunizmu, ale i przyspieszanie tego procesu, podejmowane np. w maoistowskich Chinach lub w Kambodży w czasie rządów Czerwonych Khmerów. Celem ekspozycji jest więc danie odwiedzającym szansy na pełne poznanie, czym był komunizm i czym niestety wciąż w wielu miejscach świata jest.

To, że komunizm nie jest zamkniętym rozdziałem, a jego założenia wciąż są realizowane, może być dramatycznym odkryciem...

To jest często niedostrzegane, nie tylko w Polsce, zagrożenie i element współczesnej rzeczywistości. Gdy niedawno przypominano setną rocznicę rewolucji październikowej, wiele inicjatyw czy analiz z nią związanych zamykało się na przełomie lat 80. i 90. XX w., czyli wraz z upadkiem komunizmu w Europie Środkowo-Wschodniej i rozpadem Związku Radzieckiego. Tymczasem jest na świecie pięć państw, w których komunizm przetrwał. To również pokazujemy na wystawie. Końcowym akcentem ekspozycji jest wybór tweetów z ubiegłego roku, które pokazują, że wszystkie zjawiska, o których mówimy, dalej są obecne w świecie. Chcieliśmy też zwrócić uwagę, że Chiny, które często nie są już traktowane jako państwo komunistyczne ze względu na uwolnienie rynku, pod względem systemu politycznego, ideologii, sposobu traktowania religii i mniejszości narodowych pozostają bardzo twardym państwem komunistycznym. Niestety eksperyment budowania raju na ziemi nadal trwa.

Nasza wystawa zwraca uwagę na jeszcze jeden aspekt. W miarę upływu czasu widzimy, że zapomina się, czym był komunizm. Ta ideologia – dosłownie bądź w nowych wcieleniach – zaczyna zyskiwać popularność nie tylko w Europie. Ekspozycja ma uświadamiać, że komunizm wciąż zatruwa ludzkie umysły.

Wydaje się, że systemy totalitarne w kulturze euroatlantyckiej są jednoznacznie i równo potępiane oraz że istnieje jasny zakaz ich propagowania, jak choćby w prawodawstwie polskim. Z tego, co Pan mówi, wynika, że w rzeczywistości tak nie jest. Dlaczego?

Tak się dzieje na całym świecie. Najlepszym i wielokrotnie wykorzystywanym przykładem jest kwestia symboliki nazizmu i komunizmu. O ile nie wyobrażamy sobie, żeby ktoś mógł po ulicach jakiegokolwiek miejsca w Europie spacerować w koszulce ze swastyką, o tyle jak najbardziej spotykamy ludzi, którzy mają na swoim ubiorze sierp i młot. Podobnie nie spotkamy osoby w koszulce z wizerunkiem Adolfa Hitlera, ale z portretem Lenina, Stalina, Mao Tse-tunga czy Che Guevary już tak. To bardzo poważny problem, który wynika m.in. z tego, że nazizm trwał stosunkowo krótko, został pokonany i jednoznacznie potępiony. Natomiast komunizm przetrwał bardzo długo, współistniał z systemami demokratycznymi, zarażał swoją ideologią ludzi w tych państwach, których nie objął, i upadł w pewnym oddaleniu czasowym od swoich największych zbrodni. Nie zmienia to jednak istoty rzeczy.

Rzeczywiście po 1956 r. w Europie Środkowo-Wschodniej terror systemu zmalał, ale jeśli trzeba było użyć przemocy na masową skalę, to wielokrotnie to później robiono, i to do ostatnich dni. Wystarczy przypomnieć, jak wyglądał upadek komunizmu w Rumunii i Albanii czy rozpad Związku Radzieckiego. Nie obyło się bez rozlewu krwi. Fakt upływu czasu od największych zbrodni pozwala ludziom je usprawiedliwiać i nie dostrzegać istoty zła. To musi się zmienić, jeśli chcemy zapobiegać kolejnym eksperymentom, które pociągną za sobą miliony ofiar. Musimy uświadamiać.

Tytuł wystawy to „Raj doczesny komunistów", a jednocześnie nawiązuje ona do „kręgów piekielnych" z „Boskiej komedii" Dantego. Raj i piekło – kompletne przeciwieństwa. Jaki był pomysł na tę wystawę?

Inspiracją był tytuł książki prof. Adama Krzyżanowskiego, który na początku lat 50. XX w. napisał historię Związku Sowieckiego. Prowokuje on do myślenia o tym, do czego prowadzi próba budowa raju na ziemi. Komuniści chcieli rozwiązać wszystkie problemy – ekonomiczne, polityczne i społeczne. Według Marksa komunizm miał być ostatnią fazą rozwoju ludzkości, w której zanikną wszelkie podziały, napięcia i konflikty. To była utopia. Rewolucja bolszewicka w Rosji od razu pokazała, że próba budowy raju na ziemi oznacza budowę bardzo realnego piekła. To jest najważniejsza przestroga płynąca z wystawy.

eprasa.pl 3ed46125cf

Wystawa, którą można zobaczyć do końca marca 2019 r., powstała w odpowiedzi na coraz częstsze próby relatywizowania zbrodni popełnianych w imieniu reżimów komunistycznych na całym świecie FOT. MARCIN BIODROWSKI

Piekło to, za Dantem, uporządkowaliśmy w dziewięć kręgów. Tu warto podkreślić, że ekspozycja nie opowiada tylko o zbrodniach, lecz także o innych aspektach, które sprawiły, że życie milionów ludzi stawało się doświadczeniem piekła – o nędzy gospodarczej, o wszechogarniającym kłamstwie, o walce z każdą religią.

Z drugiej strony wystawa jest też pomnikiem...

Tak. To pomnik nie tylko ofiar, ale również bohaterów. Te ciemne kręgi piekła przecina jasna oś bohaterów. Wielu z nich też straciło życie, bo przeciwstawili się złu. Liczby ofiar komunizmu tak naprawdę nie znamy. Najbardziej rozpowszechnione szacunki mówią o ok. 100 mln, ale nie znamy dokładnej liczby zmarłych, m.in. w wyniku wielkiego głodu w Chinach.

Nie znamy też imion i nazwisk zdecydowanej większości ofiar komunizmu i to jest ogromny sukces tych, którzy je zamordowali. Taki był ich cel – wymazać zamordowanych z historii. Mam nadzieję, że stopniowo uda nam się to zapomnienie przełamywać.

W jaki sposób każdy z nas może walczyć o tę pamięć o ofiarach, ale również o właściwe rozumienie systemu komunistycznego?

Doktor Łukasz Kamiński – prezydent Europejskiej Platformy Pamięci i Sumienia, odpowiedzialnej za realizację projektu Justice 2.0., którego celem jest postawienie przed sądem żyjących jeszcze sprawców zbrodni komunistycznych. W wyniku dotychczasowych działań Platformy w Niemczech i w Polsce zostały wszczęte śledztwa w sprawie zabójstw uciekinierów próbujących przedrzeć się przez dawną żelazną kurtynę FOT. MARCIN BIODROWSKI

Mamy dziś wiele możliwości, by dawać świadectwo naszej pamięci poprzez udział w uroczystościach, ale również wspieranie projektów, które prowadzą do przełamywania anonimowości ofiar. Warto pomagać tym, którzy dziś zmagają się z komunizmem. Przekazujmy nasze doświadczenie, rozmawiajmy z młodymi ludźmi – wiedza o systemach totalitarnych może stać się szczepionką, która uchroni ich przed wirusem jakiejś nowej, zmutowanej wersji komunizmu lub nazizmu. Zacząć można od wspólnego zwiedzenia wystawy „Raj doczesny komunistów". Zapraszamy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ed46125cf

Profesor Mikołaj Iwanow oraz reżyser filmu Radosław Poraj-Różecki podczas warszawskiej premiery filmu „Rozkaz 00485 – Szlakiem prawdy" FOT. KATARZYNA SITKIEWICZ

Operacja polska NKWD woła o pamięć

Z prof. Mikołajem Iwanowem
rozmawia Maciej Rajfur

O tej ogromnej tragedii na narodzie polskim wciąż w naszym kraju mówi się niewiele, choć temat powoli wychodzi z długiego mroku zapomnienia. A to za sprawą takich ludzi jak prof. Mikołaj Iwanow.

MACIEJ RAJFUR: Czym była operacja polska NKWD i jakie podstawowe fakty o tej zbrodni powinien znać każdy Polak?

PROF. MIKOŁAJ IWANOW: To, o czym musi pamiętać każdy Polak, i to, czego powinni uczyć w polskich szkołach, jest to, że mówimy o dokładnie takiej samej skali zbrodni na narodzie polskim, a może nawet większej, jak np. zdławienie powstanie warszawskiego. To ogromna tragedia, którą udało się komunistom wymazać z pamięci narodu polskiego. Pamięć o niej należy koniecznie przywrócić. W operacji polskiej w latach 1937–1938 zginęło bowiem 200 tys. Polaków na terenie Związku Radzieckiego tylko za to, że byli Polakami, że mieli w dokumentach zapisaną narodowość polską. Zapłacili największą cenę. Józef Stalin, jego biuro polityczne i elity partii komunistycznej uważały, że trzeba było oczyścić Związek Sowiecki z mniejszości polskiej, która w razie wojny może tworzyć oddziały partyzanckie, atakować Armię Czerwoną. Zdecydowano po prostu zrobić czystkę.

Helena Trybel, matka byłego premiera Ukrainy Jurija Jechanurowa, powiedziała kiedyś, że „być Polakiem w Związku Sowieckim w roku 1937 znaczyło to samo, co być Żydem w III Rzeszy".

Mówimy o autentycznym polowaniu na Polaków. NKWD szukało ludzi, których nazwiska kończyły się na „-ski". Jeżeli miałeś narodowość polską – automatycznie stawałeś się wrogiem. Na 200 tys. ofiar, które zginęły w tej nagonce, takich, którzy mogli planować w razie wojny działania patriotyczne, propolskie, było może 0,1 proc.! Reszta zginęła tylko za to, że byli Polakami. Wymiar tej tragedii ma skalę światową. Mówimy o ludobójstwie na miarę zbrodni w Kambodży, czy holokaustu Żydów lub wielkiego głodu na Ukrainie.

Wciąż niewielu Polaków, szczególnie z młodego pokolenia, zna ten fragment polskiej historii, która pokazuje, że Polacy jako pierwsi w Europie padli ofiarą ludobójstwa. Z czego wynika tak słaba wiedza?

Myślę, że Polacy to naród szczególny, który w XX w. doświadczył prawdopodobnie najwięcej krzywd. Doświadczyliście nadmiaru cierpienia, jednego wielkiego zniszczenia. I w polskim społeczeństwie istnieje ta świadomość. A tu jeszcze przychodzi jakiś Rosjanin i ogłasza, że zapomniano o ogromnej zbrodni – operacji polskiej. Wtedy zamordowano dziesięć razy więcej ludzi niż w Katyniu. Jak możemy mówić o żołnierzach wyklętych, a milczeć o zbrodni, która jest nieporównywalnie większa? Dlatego zaakceptowanie kolejnej, zagłuszanej, wymazywanej krzywdy przychodzi w Polsce bardzo trudno i mnie to nie dziwi. Jeszcze 10 lat temu to Rosjanie robili więcej w sprawie upamiętniania operacji polskiej niż wszyscy badacze w Polsce razem wzięci. Na szczęście to się zmieniło.

Pan bardzo aktywnie popularyzuje ten tragiczny, ale ważny fragment polskiej historii XX w. Myślę tu np. o filmie „Rozkaz 00485 – Szlakiem prawdy" w reżyserii Radosława Poraj-Różeckiego, współprodukcji Centrum Historii Zajezdnia. Pełni pan w nim funkcję nie tylko głównego bohatera, lecz także narratora i przewodnika.

Wielkim walorem tej produkcji jest wystąpienie nie tylko badaczy i naukowców, lecz także dzieci i wnuków ofiar. Pojechaliśmy na Ukrainę, do miasta Dołbysz, które przed wojną nazywało się Marchlewsk i było swoistą polską stolicą na Ukrainę. Tam operacja NKWD pochłonęła praktycznie wszystkich Polaków. Ocaleli tylko ci, których wcześniej wysiedlono do Kazachstanu. Pokazaliśmy świadomość polskości i katolickość, która zakorzeniona jest w nich bardzo głęboko. Mimo że oni nie rozmawiają w języku polskim, nie da się wymazać ich polskości, o którą walczyli i walczą na co dzień.

Tworzenie filmu o tak tragicznej, smutnej i dramatycznej tematyce nie może być łatwym zadaniem. Jak pan przeżywał czas produkcji?

Z czasem człowiek się przyzwyczaja. Zajmuję się problematyką mordowania Polaków w ZSRS już ponad 30 lat. Wykonywałem swoje zadanie, spełniałem swoją misję, wręcz obowiązek. 30 lat temu złożyłem sobie obietnicę, że poświęcę życie tematowi operacji polskiej NKWD. Bardzo się cieszę, że wreszcie nie jest to sprawa tylko jednego badacza, który próbuje Polakom powiedzieć prawdę, ale wokół tematu zbiera się już coraz więcej ludzi z wielu

eprasa.pl 3ed46125cf

Stulecie niepodległej Polski we wspomnieniach zwykłych ludzi

Jak najlepiej opowiedzieć o życiu w niepodległej Polsce w ciągu ostatniego stulecia oraz kto powinien to zrobić? Co zrobić, by w tej opowieści uwzględnić także doświadczenia Polaków, który po 1945 r. musieli opuścić swoje rodzinne strony i osiedlić się na zupełnie nowych terenach? W poszukiwaniu odpowiedzi na te pytania pracownicy Centrum Historii Zajezdnia we Wrocławiu zebrali w minionym roku ponad sześćdziesiąt relacji świadków historii w ramach projektu „100 100-latków na 100-lecie". Jednocześnie w podróż po Polsce ruszyła mobilna wystawa „Wrastanie. Ziemie Zachodnie i Północne. Początek".

Dyrektor Centrum Historii Zajezdnia Marek Mutor oraz kurator wystawy dr Wojciech Kucharski towarzyszyli prezydentowi RP Andrzejowi Dudzie podczas zwiedzania ekspozycji FOT. JAN GARNECKI

100 100-LATKÓW NA 100-LECIE

Do udziału w projekcie Centrum Historii Zajezdnia zaprosiło wszystkich urodzonych w czasach bliskich odzyskaniu niepodległości – w 1923 r. i wcześniej. Pracownicy instytucji wyszli z założenia, że najlepiej o ostatnich 100 latach Polski opowiedzą historie życia jej rówieśników. Zakończenie realizowanego w ramach Wieloletniego Programu Rządowego „Niepodległa" na lata 2017–2021 projektu zaplanowano na 2020 r. Relacje nagrywane są z wykorzystaniem metody historii mówionej.

Zgromadzone w pierwszym etapie źródła historyczne – relacje wzbogacone o dokumenty i zdjęcia – posłużyły do stworzenia wystawy plenerowej „Rówieśnicy Niepodległej", której wernisaż odbył się 10 listopada 2018 r. Będzie ona prezentowana przez kolejne dwa lata w ponad 10 miastach i mniejszych miejscowościach, w których nagrywano relacje stulatków. Ekspozycja będzie dostępna również w Internecie. W projekt zaangażowali się badacze oraz m.in. Państwowy Instytut Naukowy – Instytut Śląski w Opolu, Białostocki Ośrodek Kultury – Centrum im. Ludwika Zamenhoffa w Białymstoku i Dom Spotkań z Historią z Warszawy.

Jak dotąd zebrano ponad 60 relacji, które znajdują się w opracowaniu. Te i kolejne posłużą jako materiał źródłowy do publikacji popularnonaukowej ukazującej ostatnie 100 lat historii Polski z perspektywy tych, którzy je przeżyli. Przedstawienie życiorysów stulatków pozwoli na przedstawienie wartości oraz wydarzeń i przełomów, które począwszy od 1918 r., budowały polską tożsamość narodową.

MUZEUM ZIEM ZACHODNICH W WIELU MIEJSCACH

Wystawa „Wrastanie. Ziemie Zachodnie i Północne. Początek" powstała w ramach współpracy realizowanej przez instytucje wchodzące w skład Sieci Ziem Zachodnich i Północnych. Autorami wystawy są dr Katarzyna Bock-Matuszyk oraz dr Wojciech Kucharski. Ekspozycja prezentuje ponad 300 archiwalnych zdjęć i filmów oraz nagrania relacji świadków historii.

Od listopada 2017 r. wystawa „Wrastanie. Ziemie Zachodnie i Północne. Początek" była eksponowana w siedmiu miastach w Polsce i odwiedziło ją blisko 150 tys. osób

– Wystawa opowiada o pierwszych powojennych latach, w których rozpoczął się tutaj proces wielowymiarowego zakorzeniania się: w nowym miejscu mieszkańców, nie tylko Polaków, przybyłych dosłownie ze wszystkich stron świata, i w nowej rzeczywistości, tych, którzy na tych terenach mieszkali jeszcze przed wojną. Jest to też opowieść o trudnych i często heroicznych początkach budowy nowej tożsamości, pokazana z perspektywy losów zwykłego człowieka – mówi dr Katarzyna Bock-Matuszyk, autorka scenariusza wystawy.

Po raz pierwszy wystawa została zaprezentowana we Wrocławiu w listopadzie 2017 r. Od tego czasu odwiedziła również Szczecin, Opole, Zieloną Górę, Olsztyn, a także Warszawę i Poznań. Łącznie odwiedziło ją blisko 150 tys. osób, a wśród nich także prezydent RP Andrzej Duda, który objął wystawę specjalnym Patronatem Narodowym w Stulecie Odzyskania Niepodległości.

dr Aleksandra Paprot-Wielopolska, Marcin Musiał

eprasa.pl 3ed46125cf

RAJ DOCZESNY KOMUNISTÓW

WYSTAWA DO 31.03.2019

CENTRUM HISTORII ZAJEZDNIA

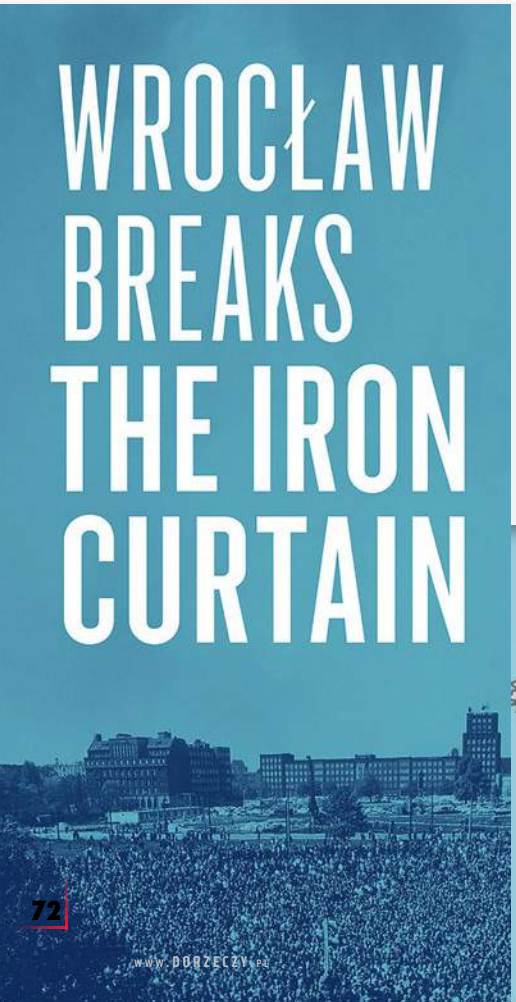

Strasburg, Lublana, Londyn, Wilno i Grodno. To kolejne europejskie miasta, które w 2018 r. gościły wystawę „Wrocław Breaks The Iron Curtain", przygotowaną przez Centrum Historii Zajezdnia.

Wrocław to niezwykłe miasto, którego historia i dziedzictwo były przez wieki kształtowane przez wiele kultur i narodów. Na jego dzisiejszy kształt wpłynęły zarówno bezprecedensowa w historii Europy, całkowita wymiana ludności, jak i bohaterska działalność opozycji demokratycznej i podejmowany konsekwentnie przez lata proces pojednania polsko-niemieckiego, zainicjowany słowami wrocławskiego arcybiskupa „przebaczamy i prosimy o wybaczenie".

O tym wszystkim opowiada wystawa, która już wkrótce zawita do kolejnych miast Europy.

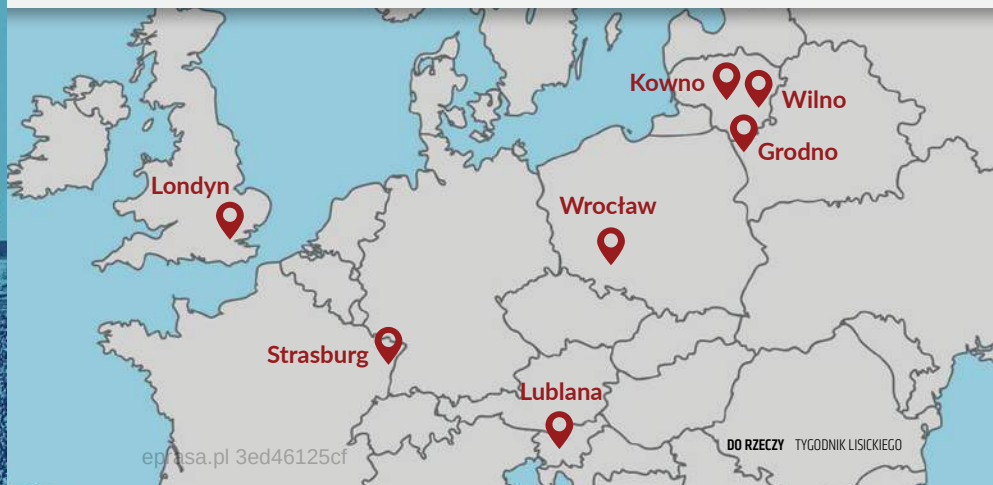

epresa.pl 3ed46125cf

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Sowieci w PRL

Pierwsze noce spaliśmy ubrani i przytuleni do broni, tylko luzowaliśmy paski w spodniach. Okna obłożyliśmy workami z piaskiem od strony ulicy. Alarmy budziły nas w nocy ze dwa razy. Każdy miał przydzielony sektor do strzelania. Wzdłuż płotu były wykopane okopy".

To fragment wspomnień Siergieja Nikołajewa. Sowieckiego żołnierza, który na początku lat 80. służył w Szczecinie. Powyższy opis dotyczy 13 grudnia 1981 r. Kiedy gen. Jaruzelski wprowadził stan wojenny, sowieckie jednostki w PRL zostały postawione w stan gotowości bojowej.

Ich dowódcy nie wiedzieli bowiem, jak potoczy się sytuacja. Czy będą musieli bronić koszar przed szturmem „kontrrewolucyjnych bojówek" Solidarności. A może będą musieli iść na ratunek sojuszniczemu LWP? Zwykli żołnierze byli zaś po prostu zdezorientowani i mieli niezłego pietra. A nuż wybuchnie powstanie i Polacy wezmą się za „ruskich"?

„Myślałem o mojej ciężarnej żonie, bo mieszkaliśmy w bloku z Polakami – wspominał Oleg Fomin, który służył w Legnicy. – Spałem z pistoletem pod poduszką".

Cytat ten pochodzi z ciekawej reporterskiej książki Grzegorza Szymanika i Julii Wizowskiej „Długi taniec za kurtyną". To historia blisko 50-letniego pobytu Sowietów na terenie Polski. Armia Czerwona w sumie zajmowała w PRL 707 km kw. Było to państwo w państwie. Sowieci mieli nie tylko czołgi, śmigłowce i głowice nuklearne, lecz także bloki, piekarnie, kina, poczty, szpitale, a nawet własne gazety.

W bardzo ciekawy sposób układały się relacje z ludnością „tubylczą". Chociaż większość Polaków nienawidziła Związku Sowieckiego, to relacje ze zwykłymi sowieckimi żołnierzami układały się na ogół poprawnie. Polskie dziewczyny chętnie umawiały się z młodymi Rosjanami, a na przełomie lat 80. i 90. między sowieckimi żołnierzami i Polakami kwitł handel. Robiono milionowe interesy.

Bardzo ciekawa jest część książki poświęcona wyjazdowi bolszewików. Weźmy słynne Borne Sulinowo. Czyli zamknięte sowieckie miasto na Pomorzu Zachodnim. Po opuszczeniu go przez Sowietów do akcji przystąpili polscy szabrownicy. Spora część budynków została zdewastowana, a co cenniejsze przedmioty rozkradziono. Potem zaczęli napływać pierwsi polscy osadnicy. W Bornym Sulinowie w 1992 r. rozegrały się sceny, które na pozostałej części tzw. Ziem Odzyskanych miały miejsce w roku 1945. ©℗

★★★★★★

GRZEGORZ SZYMANIK, JULIA WIZOWSKA „DŁUGI TANIEC ZA KURTYNĄ" CZARNE 2018

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Bodo i rywale

Wprawdzie Eugeniusza Bodo uważa się za króla polskiego kina okresu międzywojennego, trzeba jednak przyznać, że miał poważnych konkurentów. Popularnością niemal dorównywał mu Aleksander Żabczyński, bardziej od niego przystojny, a do tego dysponujący lepszymi warunkami wokalnymi. Jego rywalizację z Bodo podgrzewała prasa, szczególnie wtedy, gdy nowości filmowe obu aktorów pojawiały się w tym samym czasie.

Adolf Dymsza uważał kolegę po fachu za marnego aktora

Faktycznie było coś na rzeczy – premiera „Manewrów miłosnych" (Żabczyński) odbyła się miesiąc po pierwszym pokazie „Jaśnie pana szofera" (Bodo), a efekt tej konfrontacji był taki, że piosenki śpiewane przez Żabczyńskiego w duecie z Tolą Mankiewiczówną zdecydowanie przebiły popularnością szlagiery Bodo. Oba filmy cieszyły się jednak zbliżonym zainteresowaniem widzów, nie można więc mówić o zdecydowanym prymacie któregoś z nich. Rywalizacja trwała zresztą dalej – na sukces piosenek Żabczyńskiego z „Pani minister tańczy" Bodo odpowiedział megahitem „Umówiłem się z nią na dziewiątą", który zaśpiewał w filmie „Piętro wyżej" (premiera 18 lutego 1937 r.). Natomiast na szlagiery z „Pawła i Gawła" Żabczyński zareagował przebojem „Już nie zapomnisz mnie" z „Zapomnianej melodii".

Trzeba jednak zaznaczyć, że pomimo tej ostrej rywalizacji obaj panowie zachowywali się wobec siebie z dużą rewerencją. Gdy Bodo reżyserował „Królową przedmieścia", Żabczyński jako aktor skrupulatnie wypełniał jego polecenia. To byli jednak profesjonaliści, którzy dobrze wiedzieli, na co mogą sobie pozwolić.

Żabczyński wprawdzie posiadał lepsze warunki głosowe, jednak ogromnym atutem Bodo była interpretacja. Dzięki niej skutecznie konkurował z profesjonalnymi piosenkarzami, a słuchacze i krytycy często to właśnie jemu przyznawali prymat. Tak było nawet, gdy piosenki przez niego wylansowane nagrywał Mieczysław Fogg. Przyznawano wówczas, że wprawdzie piosenkarz wiele „zyskuje ładnym głosem", ale za to Bodo wyrównuje różnice „subtelną interpretacją".

Natomiast zupełnie inny charakter miała rywalizacja Bodo z Adolfem Dymszą. Panowie raczej nie przepadali za sobą, a Dymsza uważał kolegę po fachu za marnego aktora i kompletnie nie rozumiał jego fenomenu. Mimo to w drugiej połowie lat 30. dwukrotnie pojawili się razem przed kamerą, ale chociaż produkcje przyniosły sukces, wcale to nie zmieniło ich wzajemnych relacji. Cóż, prawdziwy król polskiego kina mógł być tylko jeden, z czego obaj aktorzy doskonale zdawali sobie sprawę. ©℗

eprasa.pl 3ed46125cf

„Postępowe” dzieciobójstwo

Jacek Przybylski

Czy nowa ustawa pozwoli na dokonanie aborcji nawet wtedy, gdy dziecko już się rodzi? – Tak – odpowiada spokojnie demokratka z Wirginii. Ta ustawa jeszcze nie obowiązuje, ale przyjęcie równie szokującego prawa świętowały niedawno socjalistki w Nowym Jorku

Drobniutka, roześmiana i prześliczna Lyla Stensrud ma dziś cztery latka i w przedszkolu niczym nie różni się od swoich rówieśników. Nie ma żadnych kłopotów ze zdrowiem ani problemów z rozwojem psychicznym. Jest prawdziwym cudem nie tylko dla swych rodziców, lecz także dla lekarzy, którzy w lipcu 2014 r. podjęli dramatyczną próbę uratowania jej życia. Maleńka Lyla w lipcu 2014 r. przyszła bowiem na świat w 21. tygodniu ciąży. Przeżyła tylko dlatego, że jej rodzice ubłagali lekarzy, aby o nią walczyć. W Polsce przeważnie aktywne podtrzymywanie życia wcześniaków zaczyna się od 22. tygodnia ciąży, w niektórych krajach świata granicą tą jest 24. tydzień. Wcześniaków ratuje się już na tyle dużo, że najwięksi producenci produktów dla niemowląt wypuścili na rynek specjalne pieluszki dla maluchów urodzonych przed 37. tygodniem ciąży, które ważą poniżej 800 gramów.

I chociaż serce nienarodzonego maluszka zaczyna bić ok. szóstego tygodnia ciąży, to w wielu miejscach świata nawet 24. tydzień nie jest granicą, po której zakazane jest przeprowadzanie zabiegów aborcji. Dla lewicowych aktywistek w Stanach Zjednoczonych jakikolwiek limit to niedopuszczalna ingerencja w „prawa człowieka” ciężarnych kobiet, które żądają „prawa wyboru”.

Na „prawa człowieka” nie mogą niestety powoływać się zdolne przeżyć samodzielnie dzieci. Jak podaje związany z ruchem pro-choice Guttmacher Institute, co roku w USA po 20. tygodniu ciąży dokonuje się aż 12 tys. aborcji. Przeprowadzenie zabiegu po 20. tygodniu ciąży oferowało zaś 10 proc. klinik aborcyjnych w USA. Z badania przeprowadzonego w 2013 r. przez Dianę Foster i Katrinę Kimport wynika z kolei, że większość kobiet decydujących się na tzw. późną aborcję w USA to młode kobiety (w wieku 20–24 lat), które musiałyby samotnie wychowywać dzieci, cierpią na depresję lub zażywają nielegalne substancje, są skonfliktowane z ojcem dziecka lub doświadczają przemocy domowej albo mają problemy z podjęciem decyzji, a następnie z dotarciem do odpowiedniej kliniki aborcyjnej.

RZEŹ NIEWINIĄTEK

9 stycznia obecnego roku przedstawicielka Partii Demokratycznej w amerykańskim stanie Wirginia złożyła projekty dwóch ustaw. Pierwszy dotyczy motyli, drugi dzieci. Celem pierwszej

eprasa.pl 3ed46125cf

Gubernator stanu Nowy Jork Andrew Cuomo podpisał ustawę łagodzącą prawo aborcyjne

FOT. AP/EAST NEWS

ustawy ma być pomoc w ratowaniu gąsienic (larwy motyli o miękkim ciele i wyraźnie wyodrębnionej główce) przed śmiertelnym działaniem pestycydów. Celem drugiej jest przyznanie kobietom prawa do zabicia własnego dziecka niemal w dowolnym momencie, choć – przynajmniej na razie – jedynie do porodu. Projekt jest tak szokujący, że republikanie nie mogli uwierzyć, iż zapisy nie są pomyłką.

– Czy jeśli jest już oczywiste, że kobieta zaraz urodzi, ma fizyczne objawy wskazujące, iż poród właśnie się zaczyna, czy w takim momencie nadal mogłaby poprosić o aborcję, gdyby otrzymała odpowiednie zaświadczenie? Ma już rozwarcie – dopytywał podczas obrad w lokalnym parlamencie republikanin Todd Gilbert.

– Panie przewodniczący, to byłaby decyzja lekarzy i kobiety – odpowiedziała ze spokojem 41-letnia Kathy Tran.

– Rozumiem, ale pytam, czy pani ustawa na to zezwala – doprecyzował Gilbert.

– Tak, moja ustawa by na to pozwalała – odpowiedziała ze spokojem Tran.

Ta szokująca wymiana zdań wywołała tak ogromne emocje w USA i w wielu krajach świata, że pani Tran oraz jej koledzy z Partii Demokratycznej „ze względu na obawy o bezpieczeństwo" zdecydowali się odroczyć dalsze procedowanie nad ustawą. Oburzeni reakcją społeczną zwolennicy nieograniczonego prawa do przerywania ciąży wskazują, że aborcja do porodu byłaby możliwa wyłącznie wtedy, gdyby lekarz stwierdził, iż poród mógłby zaburzyć zdrowie kobiety – fizyczne lub psychiczne.

Jeszcze bardziej szokujące było wyznanie demokratycznego gubernatora Wirginii Ralpha Northama w wywiadzie dla stacji radiowej WTOP-FM. – Jeżeli dziecko przeżyje aborcję, to nastąpi dyskusja między specjalistami i matką – oznajmił polityk, który jest zwolennikiem złagodzenia przepisów aborcyjnych.

„Nigdy nie myślałem, że dożyję czasów, w których amerykańscy urzędnicy rządowi otwarcie popierają dzieciobójstwo" – tak słowa Northama skomentował republikański senator Marco Rubio. Za promowanie „późnej lub pourodzeniowej aborcji" Partię Demokratyczną skrytykował też konserwatywny senator Ted Cruz.

UŚMIECH SZATANA

Projekt ustawy łagodzi również wymóg, aby procedurę aborcji poświadczyło trzech lekarzy – według propozycji demokratów wystarczyłby tylko jeden. Na szczęście ustawa w Wirginii ma niewielkie szanse na wejście w życie. Nienarodzone dzieci nie mają jednak co liczyć na ochronę w stanie Nowy Jork. – Mam własne katolickie poglądy i tak staram się żyć. Jednak nie sprawuję władzy jako katolik. Nie przyjmuję prawa jako katolik – tak Andrew Cuomo, demokratyczny gubernator stanu Nowy Jork, tłumaczył się z tego, że pod koniec stycznia podpisał nowe, zliberalizowane prawo aborcyjne. Wcześniej prawo w tym stanie dopuszczało aborcję do 24. tygodnia ciąży. Kobiety nie musiały się zaś tłumaczyć z powodu takiej decyzji. Nowe przepisy pozwalają przerwać ciążę nawet w dziewiątym miesiącu ciąży, jeśli zagrożone jest szeroko rozumiane życie lub zdrowie matki (w tym zdrowie psychiczne). Dodatkowo ustawa pozwala na wykonywanie aborcji nie tylko lekarzom.

61-letni rozwodnik Andrew Cuomo nazwał nowe prawo „postępowym". Wielu amerykańskich wiernych, działaczy ruchu „za życiem", a nawet duchownych zaapelowało więc o wykluczenie Cuomo z Kościoła katolickiego. Za ekskomuniką Cuomo opowiedział się m.in. biskup Tennesee Rick Stika. Ekskomunika gubernatora jest jednak mało prawdopodobna. Duchowni nie chcą bowiem dawać amunicji zwolennikom aborcji, którzy po takiej decyzji Kościoła katolickiego mogliby przekonywać, że prawo do życia każdego dziecka jest kwestią religijną, a nie podstawowym prawem człowieka.

Ordynariusz Albany, stolicy stanu Nowy Jork, 70-letni Edward Scharfenberger nazwał jednak nowe prawo aborcyjne skandalicznym i w ostrych słowach potępił gubernatora stanu za poparcie destrukcyjnego ustawodawstwa. Stanowczo zareagował również kard. Timothy Dolan – arcybiskup Nowego Jorku. – Nie trzeba być katolikiem, żeby czuć wstręt do takiego prawa – oznajmił przewodniczący Konferencji Episkopatu USA. – Ci, którzy zostali poczęci, są dziećmi całego społeczeństwa – przypomniał z kolei w lutym papież Franciszek, prosząc polityków, aby włączyli się w działania na rzecz ochrony nienarodzonych dzieci.

Dużo dobitniej nowe prawo skomentował znany amerykański muzyk i multiinstrumentalista. „Nowojorska legislatura stworzyła nowe Auschwitz poświęcone egzekucji całej grupy bezbronnych obywateli. Szatan się uśmiecha" – napisał na Twitterze Charlie Daniels.

Aby uczcić błyskawiczne podpisanie przez gubernatora nowej ustawy, lewicowi aktywiści zdecydowali, by na różowo podświetlić iglice najwyższych budynków w Nowym Jorku, w tym odbudowanego po zamachach z 11 września World Trade Center. To podwójna ironia. Po pierwsze dlatego, że na tablicach upamiętniających ofiary ataku terrorystycznego na World Trade Center zapisano nazwiska zabitych przez islamistów kobiet, ale również uczczono na nich pamięć ich nienarodzonych dzieci. Po drugie, kolor różowy kojarzy się raczej ze słodkimi zdjęciami szczęśliwych rodziców oczekujących na dziecko niż z klinikami aborcyjnymi.

Problem liberalizacji prawa do aborcji dotyczy jednak nie tylko Wirginii czy Nowego Jorku. Rada Ginekologii i Położnictwa w USA w zeszłym roku przygotowała program kształcenia do nowej specjalizacji medycznej o nazwie „kompleksowe planowanie rodziny", w ramach którego trzeba

eprasa.pl 3ed46125cf

będzie zaliczyć praktyki polegające na wykonywaniu aborcji w drugim i trzecim trymestrze ciąży.

GDY MORD SIĘ NIE UDAŁ

Jednocześnie w USA przybywa dzieci, które przeżyły własną aborcję. W styczniu tego roku na waszyngtońskim Marszu dla Życia przemawiały m.in. matka i córka. – 25 lat temu myślałam, że aborcja to jedyne wyjście, ale z kliniki aborcyjnej wyszłam z dzieckiem na rękach – opowiadała Claudia Turcxtt. – Październik 1994 r.: przeżyłam wizytę matki w klinice aborcyjnej – dodała jej córka Taylor Turcxtt. Claudia i Taylor Turcxtt jeżdżą na podobne marsze, aby wyrazić wdzięczność za swoje życie i przekonywać inne kobiety, że zawsze lepiej urodzić niż zabić.

Rodzice próbowali zabić też Giannę Jessen. – Moja biologiczna matka miała 17 lat. W siódmym miesiącu ciąży podjęła decyzję o skorzystaniu z usług kliniki Planned Parenthood, która jest największą siecią klinik aborcyjnych na świecie. Tam doradzono jej aborcję solankową – opowiada 41-letnia dziś Gianna na spotkaniach z aktywistami ruchu pro-life na całym świecie.

Aborcja solankowa polega na wstrzyknięciu żrącego roztworu soli do macicy. W teorii to pewna metoda: maluszek połyka żrący płyn, który wypala mu gardło, płuca i wnętrzności, wypala też delikatną skórę dziecka. – W ciągu 24 godzin dziecko rodzi się martwe. Ku wielkiemu zaskoczeniu wszystkich po 18 godzinach nie urodziłam się martwa, ale żywa. Powinnam była być ślepa, poparzona i martwa, ale nie byłam – spokojnie opowiada kobieta.

6 kwietnia 1977 r. w akcie jej urodzenia wpisano krótko: „Urodzona podczas aborcji solankowej" i przekazano ją do szpitala. Dziewczynka pierwszych kilka miesięcy życia spędziła w szpitalu, po czym długo czekała na adopcję w domu dziecka. Na szczęście jej los się odmienił. Adoptowała ją kochająca rodzina, dzięki czemu – mimo porażenia mózgowego wywołanego niedotlenieniem podczas porodu, a także kłopotów z poruszaniem się – jest działaczką ruchu pro-life, a także pisarką, piosenkarką i niezwykle optymistyczną osobą. Jak deklaruje, wybaczyła już matce, która próbowała ją zabić, i nie ma wątpliwości, po co Bóg ją uratował. – Zdaję sobie sprawę, że w dzisiejszych czasach samo wymawianie imienia Jezusa Chrystusa w obiektach publicznych jest uważane za niepoprawne politycznie, ponieważ Jego imię sprawia, iż niektórzy czują się okropnie niekomfortowo, ale ja nie przeżyłam po to, abym mogła sprawić, że wszyscy poczują się komfortowo. Przeżyłam, aby poruszać pewne rzeczy, i robiąc to, mam wielką frajdę – opowiadała Gianna Jessen na spotkaniu w Australii.

Lyla Stensrud przyszła na świat w 21. tygodniu ciąży. Żyje tylko dzięki kochającym ją rodzicom FOT. WWW.LIFENEWS.COM

Matka Melissy Ohden skazała ją na śmierć w męczarniach. Kobieta cudem przeżyła jednak własną aborcję FOT. ALEX WONG/GETTY IMAGES

Podobną próbę mordu przeżyła też Melissa Ohden. Kobieta przyszła na świat, choć jej 19-letnia matka w trzecim trymestrze zdecydowała się na przerwanie ciąży. W tym wypadku również zastosowano aborcję solankową.

Melissa od kilku lat kieruje założoną przez siebie organizacją The Abortion Survivors Network, której celem jest niesienie pomocy osobom, które rodzice próbowali zabić, ale które na przekór wszystkim jednak przeżyły. „Jesteśmy czymś więcej niż wyborem. Więcej niż statystyką" – przekonuje na swojej stronie internetowej, na której widnieją również historie Claire Culwell (jej matka próbowała usunąć bliźniaczki metodą chirurgiczną – chłopca medykom udało się zabić, ale dziewczynka przeżyła i żyje do dziś) i innych osób, które publicznie opowiadają swoje dramatyczne historie.

TRUMP NA RATUNEK

Mimo ofensywy lewicowych dzieciobójczyń większość Amerykanów jest jednak rozsądniejsza niż liderzy Partii Demokratycznej. Z opublikowanego w styczniu dorocznego sondażu dotyczącego prawa do aborcji wynika, że 75 proc. Amerykanów uważa, iż powinno być ono ograniczone do pierwszych trzech miesięcy ciąży. Natomiast 59 proc. Amerykanów opowiada się za zakazem dokonywania aborcji po 20. tygodniu ciąży (poza przypadkami, gdy zagrożone jest życie matki).

Rację miał więc Mike Pence, który w zeszłym roku w Nashville podczas spotkania z aktywistami ruchu pro-life, mówił, że życie znowu wygrywa w Ameryce. W 2015 r. współczynnik liczby aborcji na 1000 kobiet wyniósł 11,8, podczas gdy w roku 2006 wynosił aż 15,9. Systematycznie spada również odsetek ginekologów, którzy godzą się na wykonywanie aborcji. A dzięki staraniom administracji Donalda Trumpa i konserwatywnych władz stanów coraz bardziej ograniczana jest również dostępność usług aborcyjnych. Ten trend coraz bardziej niepokoi przedstawicieli intratnego przemysłu aborcyjnego, a także lewicowych aktywistów. Zwolenniczkami i zwolennikami nieograniczonego w czasie prawa do aborcji są również praktycznie wszyscy potencjalni kandydaci Partii Demokratycznej do prezydenckiego wyścigu w roku 2020: 77-letni socjalista Bernie Sanders, 54-letnia polityk Kamala Harris czy też 69-letnia senator Elizabeth Warren. Prezydent Trump może jednak wykorzystać przewagę konserwatystów w Sądzie Najwyższym i doprowadzić do wprowadzenia zakazu aborcji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ed46125cf

EMERYCI CHCĄ DO WIĘZIENIA

W Japonii od dwóch dekad przybywa przestępców w wieku powyżej 65 lat. Dlaczego? Bo część japońskich emerytów po prostu chce znaleźć się za kratkami. Ich świadczenia są tak niskie, że wolą więzienia, w których mogą przebywać i jeść za darmo. Czasem zmuszają się do kradzieży i zgłaszają na policję także dlatego, że doskwiera im samotność.

FOT. ADOBE STOCK

WYKLUCZENI WYKLUCZAJĄ

Doroczna parada Manchester Pride wzburzyła wielu zwolenników ruchów LGBT. Powód jest prosty – o ile wejściówka na poprzednią paradę kosztowała 30 funtów, o tyle w tym roku nagle skoczyła do 70 funtów. W tym roku ma być bowiem eventowo – z muzyką, dużą sceną i w ogóle. Niektórzy jednak zwracają nieśmiało uwagę, że parada walcząca o wykluczanych społecznie sama zaczęła wykluczać tych, których nie stać na drogi bilet.

MUZEUM PORAŻKI ZBANKRUTOWAŁO

Amerykański psycholog Samuel West, mieszkający od 20 lat w Szwecji, założył Muzeum Porażki, w którym zgromadził 100 dziwnych wynalazków i patentów, które okazały się totalną klapą. Teraz może umieścić się sam w jednej z gablot. Jego dawni partnerzy biznesowi domagali się od niego pieniędzy za niezapłaconą fakturę i 49 proc. udziałów w zyskach z pomysłu na biznes. Doprowadzili do prawnego uznania Westa za bankruta.

POLICJANT UKARANY ZA POŚCIG

W Szwajcarii policjanta ścigającego bandytów dwukrotnie przyłapał fotoradar – raz jechał o 30 km/godz. za szybko, a potem o 42 km/godz. – sąd uznał, że to drugie przekroczenie prędkości było już niepotrzebne, za duże. I że podczas pościgów prędkości muszą być „proporcjonalne". Dlatego federalny Sąd Najwyższy uznał, że niższa instancja słusznie nałożyła na funkcjonariusza mandat w wysokości 600 franków szwajcarskich.

MUZEUM KIEŁBASY NA MIEJSCU ZAGŁADY

Rada miasta Mühlhausen zatwierdziła plan zagospodarowania przestrzennego. Okazało się, że na terenie filii byłego obozu koncentracyjnego Buchenwald powstać może... Muzeum Kiełbasy. To miejsce, w którym więziono i zmuszano do niewolniczej pracy ok. 700 kobiet z Polski i Węgier. Szef społeczności żydowskiej w Turyngii już wyraził zniesmaczenie. Jego zdaniem to „całkowity brak wrażliwości". Plan zabudowy nie został jeszcze zatwierdzony przez władze. A po protestach burmistrz miasta zapowiedział, że będzie szukał rozwiązania, które „będzie honorować ofiary". ©℗

Łukasz Zboralski

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Arogancki zbir Tusk

Z brexitem jest trochę jak z przegraną PO w 2015 r. Platforma do dziś wydaje się nie rozumieć, co sprawiło, że musiała oddać władzę. Duża część unijnych elit zaś do dziś nie chce pojąć, że sama sprowokowała brexit.

Mija właśnie niemal dokładnie dziewięć lat od słynnego starcia w Parlamencie Europejskim między Nigelem Farage'em, głównym promotorem wyjścia Wielkiej Brytanii z UE, eurodeputowanym i liderem Partii Niepodległości Zjednoczonego Królestwa, a poprzednikiem Donalda Tuska na stanowisku przewodniczącego Rady Europejskiej Hermanem van Rompuyem. Farage pytał wówczas: „Kto pana wybrał?! Kto na pana głosował?!". To były pytania retoryczne, bo van Rompuya nikt nie wybierał ani nikt na niego nie głosował, podobnie jak na Tuska. Przy czym van Rompuy był znacznie wstrzemięźliwszy w słowach niż były polski premier.

Tusk na konferencji prasowej kilka dni temu, w obliczu brexitowego kryzysu, stwierdził, że w piekle powinno istnieć specjalne miejsce dla tych, którzy promowali wystąpienie Wielkiej Brytanii z UE, nie mając na nie planu. Farage odpowiedział na Twitterze: „Po brexicie będziemy rządzić naszym krajem bez takich niewybranych przez nikogo, aroganckich zbirów jak ty. Dla mnie to raj!".

Mówiąc najdelikatniej, Tusk nie ułatwia i tak trudnego zadania. Przede wszystkim jednak – niezależnie od tego, jak oceniamy decyzję Brytyjczyków – swoją postawą dowodzi tylko, że mieli powody, żeby chcieć się wymeldować ze wspólnoty, w której nominat szefów rządów, na którego nikt nie głosował, nieustannie wychodzi ze swojej roli, żeby pouczać tych, za którymi stoi demokratyczny mandat. ©℗

eprasa.pl 3ed46125cf

Idźcie i nauczajcie... pluralizmu religii

Krystian Kratiuk

W dniu rozpoczęcia wizyty papieża w Zjednoczonych Emiratach Arabskich sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej, kard. Pietro Parolin, powiedział, że rozpoczyna się nowy rozdział w dialogu międzyreligijnym. Trudno w to nie wierzyć

Dialog z islamem jest dla papieża Franciszka jednym z priorytetów. W tym właśnie celu dwa lata temu pojechał do Egiptu, a w tym roku obok Abu Zabi odwiedzi także Maroko.

Dlaczego jednak to dialog z islamem ma być priorytetem? Dlaczego nie dialog z judaizmem czy z innymi wyznaniami chrześcijańskimi? Odpowiedź wydaje się prosta – Watykan zdaje się uznawać tamte sprawy za „załatwione". Wszak w sprawie dialogu z wyznawcami judaizmu wiele zrobili już Jan Paweł II i Benedykt XVI, a dzisiejsze interpretacje dokumentu „Nostra aetate" (o stosunku do innych religii) mówią nawet o tym, że Kościół nie ma już misji wobec Żydów. Co się zaś tyczy dialogu wewnątrzchrześcijańskiego, sam papież Franciszek uczynił w tej sprawie bardzo wiele w przededniu 500-lecia buntu Lutra, kiedy to pojechał do Sztokholmu, by mówić o jedności i braterstwie z tamtejszą luterańską „prymaską", a w Watykanie przez chwilę pojawił się pomnik założyciela tego rozłamowego ruchu.

Teraz pora więc na islam. Papież już u zarania pontyfikatu uczynił znamienny gest. W Wielki Czwartek 2013 r. umył nogi muzułmance. Później wiele razy ciepło wyrażał się o wyznawcach tej religii, często pomijając w swych wypowiedziach chrześcijan cierpiących prześladowania z rąk islamistów.

CO ŁĄCZY, CO DZIELI?

Chrześcijan i mahometan łączy wiara w jednego Boga – i katolicy, i muzułmanie wierzą w jednego Boga, ale nie w tego samego. Wyznawcy islamu uważają Chrystusa za jednego z wielkich (choć nie największych) proroków, z szacunkiem odnoszą się do Jego Matki, którą my, katolicy, nazywamy Najświętszą.

Tutaj podobieństwa się kończą. Allah bowiem, wbrew retorycznym sztuczkom coraz agresywniej podejmowanym przez publicystów z Kościoła otwartego, nie jest Bogiem, w którego wierzą katolicy. My uznajemy Boga w Trzech Osobach, Boga, który miał Syna i któremu pozwolił umrzeć za odkupienie naszych grzechów. A islam nie jest religią odkupienia – literalnie tymi słowami posłużył się św. Jan Paweł II w książce „Przekroczyć próg nadziei". Koran wprost zaprzecza istnieniu Trójcy Świętej – w surze 4,171 czytamy bezpośredni zwrot do chrześcijan: „Wierzcie w Boga i Jego posłańców i nie mówcie – Trzy!". Co więcej, Jezusowi odmawia się w islamie prawa do bycia nie tylko Bogiem, lecz także Synem Bożym. Mahomet uważał bowiem, że Bóg Abrahama nie może mieć żadnego syna – nie dość, że miałoby to być niegodne, to jeszcze gdyby Bóg miał syna, nieuchronnie doszłoby między nimi do walki o władzę niebieską – uważał założyciel islamu.

Już z tej ostatniej, stricte religijnej przyczyny łatwo wywnioskować, że porozumienia między chrześcijaństwem

eprasa.pl 3ed46125cf

FOT. VATICAN MEDIA/REUTERS/FORUM

a islamem być nie może – a przecież z tych i dziesiątków innych różnic wynikają również ogromne dysproporcje cywilizacyjne, takie jak stosunek do bliźniego, miejsce kobiety w społeczeństwie, rola nauki, estetyki czy rozumienia małżeństwa.

WIĘCEJ NIŻ DIALOG MIĘDZYRELIGIJNY

Papież Franciszek patrzy jednak na islam nie tylko jak na religię monoteistyczną, a więc w jakiś sposób bliską chrześcijaństwu. Zdaje się patrzeć na islam przede wszystkim jako na religię, ale i filozofię, którą wyznają setki tysięcy imigrantów próbujących nielegalnie przedostać się do Europy. Na ich cierpienie papież jest bardzo wrażliwy, czemu daje wyraz niezwykle często, głośno i dosadnie. Wielu Europejczyków wciąż jednak uważa masy przybywające z Afryki i Bliskiego Wschodu za kulturowo obce m.in. właśnie z powodu religii i wynikających z niej obyczajów – a to stanowi widzialną przeszkodę na drodze do pełnej integracji.

I to właśnie owa integracja pozostaje głównym celem pontyfikatu papieża Franciszka – a jest to cel stricte polityczny. Ojciec Święty uważa bowiem, że idea multikulturalizmu nie tylko się nie skompromitowała, lecz także jest najbardziej chrześcijańską spośród idei. Namawia więc do jej realizowania przy każdej okazji.

Do tego służyć miała także wizyta w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Dość wspomnieć fragment podpisanej tam przez papieża i wielkiego imama Al-Azhara deklaracji, brzmiący: „Pluralizm i różnorodność religii, koloru, płci, rasy i języka są wyrazem mądrej Woli Boga. I z Bożej Mądrości wypływa prawo do wolności wyznania oraz wolność w różnieniu się pomiędzy sobą. Dlatego odrzuca się wszelkie próby zmuszania ludzi do przyjmowania określonej religii oraz kultury, podobnie jak narzucenie jednego modelu cywilizacji, którego inni nie akceptują". Oto nie ma już jednego modelu cywilizacji, nie można nikogo zmusić do przyjęcia jakiejś kultury, nawet jeśli jest w niej gościem, gdyż – na przykład – uciekł przed kulturą zgoła inną, znacznie bardziej opresyjną.

Dodatkowo należy głęboko się zastanowić, czy – jak czytamy w podpisanej deklaracji – „różnorodność religii" rzeczywiście „jest wyrazem mądrej Woli Boga". Bóg w Trójcy Jedyny sam siebie określa mianem Boga zazdrosnego, a pierwsze przykazanie, które nam przekazał, brzmi: „Nie będziesz miał Bogów cudzych przede mną". Czy jego Syn, gdy mówił do apostołów: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody, udzielając im chrztu w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego", naprawdę miał na myśli pragnienie zaistnienia „pluralizmu religii"?

CO DALEJ?

Wydawać się może, że na naszych oczach spełnia się wizja z najczarniejszych przepowiedni, które jeszcze do niedawna wydawały się fantasmagoriami blogerów – wizja tworzenia ponadreligijnego porozumienia w celu ubóstwienia człowieka. Do takich zresztą pomysłów nawiązywało hasło spotkania zorganizowanego w Abu Zabi, brzmiące: „Międzyludzkie braterstwo". Podobnie odczytać można logo wizyty w Maroku – krzyża wpisanego w półksiężyc…

Do takich planów odnoszą się już jednak nie tylko anonimowi internauci, lecz także dobrze rozumiejący, co się dzieje w Kościele, hierarchowie. W ubiegłym tygodniu wywiadu jednemu z włoskich portali udzielił kard. Gerhard Müller, były prefekt Kongregacji Nauki Wiary, pozbawiony tej funkcji przez papieża Franciszka. Skrytykował tendencje do „promowania idei wspólnej, synkretycznej religii oraz podkreślania rzekomej jedności pomiędzy wszystkimi ludźmi, niezależnie od ich wierzeń i przekonań". – Uniwersalna religia nie istnieje, istnieje uniwersalna religijność, wymiar religijny, który pociąga wszystkich ludzi ku tajemnicy. Czasami krążą absurdalne idee, opisujące papieża jako przywódcę lewicowej międzynarodówki lub przywódcę uniwersalnej religii, ale to tezy absolutnie przeciwne ustanowieniu Chrystusowego prymatu. Pan Jezus ustanowił prymat Piotra, a także zasadę jego papieskiej sukcesji z powodu Piotrowego wyznania wiary: „Ty jesteś Chrystus, Syn Boga żywego". To jest treść papiestwa, to głos wyznania wiary Kościoła, a nie przewodniczącego ONZ – powiedział kard. Müller.

Czy jednak w dzisiejszych czasach rzeczywiście trudno byłoby wyobrazić sobie istnienie takiego swoistego „ONZ wszystkich religii"? Spoiwem łączącym mogłyby stać się umiłowanie pokoju na świecie, troska o ekologię, dzieła charytatywne, otwartość na „innego" i ogólnie „bycie dobrym człowiekiem". Absolutnie zakazano by nawracania na inne religie i przypominania „tego, co dzieli" – czyli np. radykalnych różnic teologicznych…

800 LAT PÓŹNIEJ

Franciszek przyjął papieskie imię na cześć świętego, który postrzegany jest dziś – bardzo niesłusznie – jako pierwszy piewca tolerancji. Wizyta Ojca Świętego w ZEA przypadła w czasie niezwykłej rocznicy. Równo osiem stuleci temu na ziemie opanowane przez wyznawców Mahometa przybył bowiem św. Franciszek z Asyżu i również rozmawiał z przywódcą muzułmanów.

Chociaż osobiście nie walczył z mieczem w dłoni, to przybył tam wraz z krucjatą, mającą na celu wyswobodzić chrześcijan spod jarzma wyznawców islamu. Gdy stanął przed sułtanem – świadom ryzyka poniesienia męczeńskiej śmierci – mówił do niego z mocą i odważnie zachęcał do przyjęcia wiary w Chrystusa.

Świat przez ostatnie 800 lat zmienił się nie do poznania. Kościołowi na radykalną zmianę wystarczyło znacznie mniej czasu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ed46125cf

Widma irlandzkiej przeszłości

Wybuch samochodu pułapki w Derry 20 stycznia 2019 r.

FOT. CHARLES MCQUILLAN/GETTY IMAGES

Teresa Stylińska

Czy powrót granicy będzie oznaczać powrót terrorystów?

Niedawny wybuch samochodu pułapki w północnoirlandzkim mieście Derry, jak nazywają je katolicy, czy też Londonderry, jak mówią protestanci, przeciwnicy brexitu odebrali jak potwierdzenie najczarniejszych obaw. Oto zwiastun terroru, który po latach uśpienia budzi się, by znów nękać mieszkańców Irlandii, zwłaszcza Północnej. W Derry nie było ofiar, ale antybrexitowcy już wiedzą, że to dopiero początek. Jeśli Wielka Brytania opuści Unię Europejską, a Irlandię Północną oddzieli od republiki widoczna granica, to terroryści wyciągną ukryte karabiny i skonstruują nowe bomby.

Pytanie fundamentalne brzmi następująco: Czy jest to zagrożenie realne, czy może raczej bardzo poręczny, łatwy do użycia straszak? Skwapliwość, z jaką antybrexitowcy szermują argumentem o powrocie przemocy, skłania do mniemania, że ma on raczej charakter taktyczny. Ma przemówić do wyobraźni i wpłynąć na nastroje społeczne.

W grze, która się toczy w Londynie i na Wyspach Brytyjskich, dozwolone są wszelkie chwyty – choćby po to, by doprowadzić do nowego referendum (czy byłoby to uczciwe wobec wyborców, to zupełnie inna sprawa). Jednak by nowe głosowanie skończyło się po myśli przeciwników brexitu, trzeba najpierw odpowiednio urobić opinię publiczną. Czy znajdzie się argument bardziej nośny niż zagrożenie dla życia i bezpieczeństwa? W porównaniu z tym bledną też przecież przywoływane niedogodności życia codziennego po brexicie, takie jak utrata pracy po drugiej stronie granicy.

ZWODNICZY SPOKÓJ

Istnieją oczywiście przesłanki skłaniające do mniemania, że terroryści mogą się zaktywizować. Wiadomo, że małe organizacje, wyrosłe z dawnych potężnych grup paramilitarnych, kupują broń i rekrutują chętnych. Jednak skala tych działań jest na razie niewielka. Zdaniem policji i służb specjalnych o wiele większe zagrożenie stanowią dziś wracający do Irlandii ludzie ISIS.

Kwestia granicy między Irlandią Północną a Irlandią – po brexicie granicy brytyjsko-unijnej – okazała się najtrudniejszą ze spraw, z którymi muszą się dziś zmierzyć Londyn i Bruksela. Gdyby chodziło o granicę z innym krajem, a nie z Irlandią, z którą Brytanię wiele łączy, ale jeszcze więcej dzieli, nie byłoby pewnie problemów aż tak wielkich. W tym jednak wypadku na bieżące kwestie gospodarcze, handlowe i szeroko rozumiane społeczne nakłada się bolesna przeszłość i sprzeczne oczekiwania. Przeszłość to podział Irlandii i długie lata terroru. A przyszłość – to nadzieje katolików, że pewnego dnia obie części Irlandii połączą się w jedno państwo, i protestantów, że to nigdy nie nastąpi.

Czasy, gdy Irlandia Północna jako najbardziej trapione przez terror miejsce w Europie stale gościła na łamach gazet, to odległa przeszłość. Od ponad 20 lat panuje tu spokój, choć nieco zwodniczy – bo do pojednania dwóch społeczności, a zatem trwałego pokoju ciągle jest daleko. Katolicy

eprasa.pl 3ed46125cf

i protestanci nadal osobno żyją, uczą się i bawią. Dlatego czytelnikom należy się krótkie przypomnienie zawiłości, które leżą u podstaw dzisiejszych komplikacji.

Gdy w 1921 r., po kilku wiekach podległości wobec Korony Brytyjskiej, licznych, krwawo tłumionych powstaniach i kilkuletniej wojnie domowej, rodziła się wolna Irlandia, za niepodległość zapłaciła poważną cenę: podziału kraju. Pod władzą Wielkiej Brytanii pozostało sześć z 32 hrabstw. Kryterium podziału było wyznanie. W sześciu hrabstwach Ulsteru, w przeciwieństwie do reszty Irlandii, niemal w stu procentach katolickiej, dwie trzecie stanowili protestanci – potomkowie dawnych szkockich osadników.

Jednak w Ulsterze katolicy zawsze byli obywatelami drugiej kategorii, dyskryminowanymi pod każdym względem: dostępu do pracy, edukacji, mieszkań i oczywiście udziału we władzy. W połowie lat 60. doprowadziło to do otwartego wybuchu niezadowolenia i protestów ulicznych i w tym momencie na widownię wkroczyły stare i nowe organizacje paramilitarne, broniące nie tylko interesów swych społeczności, lecz także ich bezpieczeństwa. Po stronie katolickiej przebudziła się założona w 1916 r. Irlandzka Armia Republikańska. Przez ponad 30 lat w Ulsterze, a także w Irlandii i Wielkiej Brytanii, dokonano setek, jeśli nie tysięcy zamachów, które pochłonęły ponad 3,5 tys. ofiar.

ŻYCIE NA STYKU

Drogę do pokoju utorowało porozumienie zawarte w Belfaście w Wielki Piątek, 10 kwietnia 1998 r., przez cztery strony – przedstawicieli ulsterskich katolików i protestantów oraz władze Wielkiej Brytanii i Irlandii. Kojarzy się ono przede wszystkim z zaprzestaniem terroru i ze złożeniem broni przez organizacje paramilitarne. Dla ludzi żyjących w cieniu terroru było to pewnie najważniejsze. Z czasem nie mniej istotne okazały się decyzje wiążące Ulster z Irlandią na poziomie, nazwijmy to, ludzkim. Na przykład to, że jego rdzenni mieszkańcy mogą wybrać obywatelstwo: brytyjskie, irlandzkie albo też oba. Że mogą w republice pracować, kształcić się czy korzystać z opieki zdrowotnej. Że zasady te działają w obie strony, bo analogiczne prawa, poza obywatelstwem, zyskali mieszkańcy republiki.

W ten sposób usankcjonowano miejsce Ulsteru na styku Wielkiej Brytanii i Irlandii. W dodatku porozumienie zawiera passus mówiący, że w przyszłości Irlandia Północna może zostać przyłączona do republiki, jeśli będzie to wolą większości jej mieszkańców. Dla IRA zaś zawarcie ugody nie oznaczało porażki, nawet jeśli w konsekwencji musiała ogłosić zaprzestanie walki i oddać posiadane zasoby broni (co dotyczyło, rzecz jasna, także lojalistów protestanckich). Jeżeli IRA zrezygnowała z walki zbrojnej, to dlatego, że na tej drodze katoliccy republikanie osiągnęli wszystko, co mogli osiągnąć. Przyszedł czas na nowe, polityczne działania.

Porozumienie wielkopiątkowe w żadnym razie nie było początkiem drogi ku zjednoczeniu, ale poniekąd można je było tak odbierać. Zniknęła bowiem widoma, najbardziej drażniąca oznaka podziału wyspy: granica z republiką. Granica od zawsze była mocno strzeżona, a podróżni podlegali dokładnej kontroli. Porozumienie otworzyło nową epokę: zniknęły posterunki graniczne i celne, zdemontowano też osławione wieże obserwacyjne. Nie mają jednak racji ci, którzy dowodzą, że zlikwidowanie granicy było możliwe dzięki temu, iż i Irlandia, i Wielka Brytania należą do Unii Europejskiej, choć zapewne stanowiło to jakieś ułatwienie. Nie od rzeczy jednak będzie przypomnieć, że Unia powstała 1 listopada 1993 r., a więc blisko pięć lat przed porozumieniem, i przez dobrych kilka lat jej istnienie było bez znaczenia dla zbliżenia obu części wyspy.

Zatarcie granicy było jak pierwszy mały krok ku zjednoczeniu. To zaś przeciwnikom brexitu daje koronny argument: jej przywrócenie, oddalające republikanów od wizji jednej Irlandii, może dać terrorystom doskonały powód do działania. Instalacje graniczne to bardzo łatwy cel, w dodatku o znaczeniu nieledwie symbolicznym.

BEZ ZJEDNOCZENIA

Jednak czy, jak wieszczą zwolennicy pozostania w Unii, brexit może sprawić, że porozumienie wielkopiątkowe legnie w gruzach? Bez wątpienia jest wiele spraw, które będą wymagać uregulowania na nowo: kwestia praw obywateli Unii (skoro 20 proc. mieszkańców Ulsteru ma wyłącznie paszport irlandzki, staną się oni obywatelami Unii poza Unią), pracy, dostępu do uczelni czy świadczeń. Truizmem jest stwierdzenie, że to nie może być łatwe. Tak zwany backstop – powszechnie dziś używany, choć trudny do przetłumaczenia termin wywodzący się z baseballu (bezpiecznik? mechanizm awaryjny? osłona?), praktycznie niczego nie rozwiązuje, bo jedynie przesuwa rozwiązanie na dalszą przyszłość. Pozostawienie Irlandii Północnej w unii celnej z UE na dłuższą metę jest trudne do wyobrażenia.

Ci, którzy zaciekle zwalczają brexit, nie przypadkiem chyba wolą odwoływać się do kwestii bezpieczeństwa niż do wspomnianych powiązań. W roli przestrogi zagrożenie życia sprawdza się o wiele lepiej niż komplikacje życia codziennego. Kogo, poza zainteresowanymi, obchodzi, że chorzy z irlandzkiego hrabstwa Donegal mogliby stracić możliwość leczenia się w północnoirlandzkim Derry, najbliższym dużym mieście? A perspektywa wybuchu bomby – jak najbardziej obchodzi wielu.

Po 1998 r. duże organizacje republikańskie, poczynając od IRA, złożyły broń i oddały posiadane arsenały (lojalistyczne także, ale to nie one są źródłem obecnych obaw). Odtąd uwaga sił bezpieczeństwa koncentrowała się na wyrosłych z IRA ugrupowaniach dysydenckich, takich jak Prawdziwa IRA czy IRA-Kontynuacja, które w ostatnich latach wzięły na cel zwłaszcza funkcjonariuszy policji i więziennictwa. W 2012 r. Prawdziwa IRA połączyła się z mniejszymi grupami pod wspólną nazwą Nowa IRA i to ona, zdaniem policji, stoi za zamachem w Derry.

Właściwe służby, obserwujące poczynania Nowej IRA, oceniają, że ma ona obecnie ponad 50 członków i około 200 sympatyków, zapewniających jej wsparcie (samochody i kryjówki), a przy tym prowadzi regularną rekrutację. Ma też broń. Tylko w latach 2016–2017, według dobrze zorientowanego w tych sprawach dziennika „The Independent", policja przejęła dziewięć karabinów AK-47, pistolet maszynowy, karabinek snajperski i 100 kg materiałów wybuchowych. O ile jednak publicyści i eksperci biją na alarm, ostrzegając, że powrót granicy będzie oznaczać powrót terrorystów, policja zachowuje dystans. Być może dlatego, że przed referendum z 2016 r. Nowa IRA była równie, jeśli nie bardziej, aktywna niż po nim. Jej działalność trudno więc wiązać z brexitem.

A czy brexit może stać się katalizatorem zjednoczenia? Raczej nie. Radykalna katolicka partia Sinn Féin może oczywiście zażądać referendum w tej sprawie, podnosząc argument, że 55 proc. mieszkańców Ulsteru poparło pozostanie w Unii. Sęk w tym, że żyć w jednej Irlandii pragnie jedynie 30 proc.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ed46125cf

Ze Zbigniewem Jagiełłą, prezesem zarządu PKO BP
rozmawiają Piotr Gabryel i Łukasz Zboralski

FOT. PKO BP

Wychodzimy poza świat finansów

eprasa.pl 3ed46125cf

„DO RZECZY": Gdy niemal 10 lat temu obejmował pan stery banku, chciał pan, by PKO BP stał się narodowym czempionem. Udało się?

ZBIGNIEW JAGIEŁŁO: Zadeklarowałem ideę, by z banku przeciętnego powstała instytucja, która byłaby nazywana czempionem narodowym. Coś, czego nadal w Polsce nie mamy, a co jest marzeniem menedżerów, przedsiębiorców – chcieliby pracować w instytucji, której sposób funkcjonowania jest postrzegany pozytywnie, a rozmiar jest większy niż tylko lokalny, polski.

Uważam, że to byłoby dobre dla Polski i Polaków, ponieważ taka instytucja musi patrzeć na swój biznes w skali globalnej. I osoby, które do niej przychodzą do pracy, mając po dwadzieścia kilka lat, jeśli wytrwają w niej 30 lat i osiągną wysokie kompetencje, to przede wszystkim zaspokajają wszystkie swoje materialne potrzeby i mogą – wykorzystując swoją wiedzę – pracować w tzw. sferze publicznej. Bo są do tego przygotowani od strony materialnej i ideowej.

Osoby, które poszły do tej służby publicznej 30 lat temu, nie miały żadnego z tych atrybutów. A ważne jest, by mieć szerokie spojrzenie i być niezależnym materialnie. I mówię to też z własnej perspektywy. Ja miałem duże szczęście w życiu. Przez przypadek w 1995 r. trafiłem do branży finansowej. Okazało się, że zarobki były w niej dużo wyższe niż w innych gałęziach gospodarki. Osiągnąłem sukces zawodowy. I mogę spokojnie patrzeć, co my możemy zrobić jako największy bank w Polsce, instytucja, która ma potencjał, by pewne metody i modele rozprzestrzeniać na inne gałęzie gospodarki. Ulubionym moim motywem przewodnim jest digitalizacja polskiej gospodarki. Ona wkracza wszędzie. Jeśli jako Polacy będziemy umieli wykorzystać ten trend, to wygramy na tym jako jednostki i jako społeczeństwo.

PKO BP w ciągu ostatniej dekady podwoił swe aktywa i ma 300 mld zł. Zapowiada pan, że za 10 lat – w 110. rocznicę powstania banku – może osiągnąć 500 mld zł. Czy to możliwe?

Skala działania to jeden aspekt, i to łatwo mierzalny, bo porównujemy sumę bilansową jednego banku z drugim i widzimy, że PKO BP wybrał najlepszą strategię z możliwych. Ja ją nazywam strategią wzrostu i dochodu – gdy widzimy, że polska gospodarka się rozwija, to powinniśmy rozwijać skalę swojego działania nie gorzej niż gospodarka. To nam się udało. A jednocześnie trzeba dbać, by wzrost nie był okupiony gorszą rentownością – mam na myśli zwrot z kapitału, zwrot z aktywów. I to też PKO BP się udało.

Dziewięć lat temu Pekao SA – drugi wówczas bank w Polsce, będący w rękach włoskiego Unicredit – był niewiele mniejszy od nas. Różnica wynosiła nie więcej niż kilkanaście miliardów złotych aktywów. Jednocześnie był to bank bardziej dochodowy, jeśli chodzi o zysk netto. Od tego czasu zysk PKO zawsze był największy w sektorze, a jednocześnie szybko się rozwijaliśmy. Oba banki są też notowane na giełdzie. Dziewięć lat temu nasza wartość rynkowa też była podobna. Dzisiaj kapitalizacja PKO BP to 50 mld zł, a Pekao SA to 30 mld zł. Można powiedzieć, że to setki naszych menedżerów zapracowały na tę różnicę 20 mld zł. To wielka wartość.

Czy drogą do tych 500 mld zł aktywów jest digitalizacja i mobilność, w której notujecie sukcesy, np. z aplikacją IKO?

Cyfryzacja jest podstawą naszej strategii i pewnie będzie nią jeszcze przez najbliższe lata. Gdy popatrzymy na segment klientów do 35. roku życia, to są głównie ci, którzy chcą korzystać z bankowości tak, jak korzystają z innych sfer życia – m.in. informacji, rozrywki. Czyli głównie w sposób cyfrowy. Dzisiaj nie sposób wyobrazić sobie, że zaczną znów korzystać z listów, telegrafów czy telefonów stacjonarnych. Jeśli bank chce przetrwać następnych 100 lat, to musi adresować swoje usługi do klientów w taki sposób, w jaki oni tego oczekują.

Można powiedzieć, że prowadzimy dziś dwa banki – jeden dla osób zaawansowanych wiekowo, którzy przez 30–40 lat chodzili do oddziałów i chcą to nadal robić, oraz drugi bank – dla osób, które rzadko odwiedzają oddziały, a chcą, by usługa technologiczna była na jak najwyższym poziomie.

Jak PKO BP wychodzi ten drugi, cyfrowy bank?

Nasza aplikacja IKO, oprócz tego, że została uznana za najlepszą na świecie, ma ponad 3 mln klientów. W rynku bankowych aplikacji mobilnych mamy 30-procentowy udział – a nasz ogólny udział w rynku wynosi ok. 17–18 proc., w bankowości detalicznej może trochę więcej, ok. 20 proc.

Widać więc, że wygraliśmy walkę o klientów zaawansowanych technologicznie. Chcemy to kontynuować. Dzisiaj klienci mają aplikację mobilną, a za jakiś czas może będą potrzebowali sterowania głosem. Mamy setki świetnych ludzi, którzy rozwijają te pomysły u nas, w banku. Nie kupujemy tej technologii na rynku – w tym obszarze to nasz bank narzuca trendy.

Jak mocno technologia zmieniła sposób, w jaki klienci korzystają z usług banku?

Gdy w latach 2011–2012 pracowaliśmy nad aplikacją IKO, mierzyliśmy się z różnymi wyzwaniami związanymi z jej wdrażaniem. Jednym z nich była obawa, czy nie utracimy łączności z klientem. Dzisiaj jest odwrotnie. Posiadacze aplikacji mobilnej korzystają z niej w zasadzie codziennie – wykonując transakcje, przeglądając swe zasoby. To oznacza, że my musimy częściej reagować na ich odwiedziny, tylko sposób komunikacji jest już inny.

No i kiedyś bank postrzegany był jako miejsce, w którym jest sejf z pieniędzmi, chroniony kratami i zabezpieczeniami. Te same wysokie standardy bezpieczeństwa musimy teraz budować i utrzymywać w przestrzeni wirtualnej. Jeśli klient ma bank u siebie w smartfonie, to my musimy się starać chronić dostęp do jego środków w sposób elektroniczny. Cyberbezpieczeństwo jest nieodłączną cechą cyfryzacji usług.

Czy PKO BP nie przesadza z „ubankowianiem" polskich dzieci?

Uważam, że w Polsce wręcz za mało robimy w sferze uczenia świata finansów i płatności nie tylko dzieci oraz młodzieży, lecz także osób dorosłych. Jedną z funkcji społecznych jest przecież umiejętność posługiwania się produktami finansowymi. Czym jest kredyt, oszczędzanie, jak być odpowiedzialnym w zaciąganiu zobowiązań. W tej sferze banki i państwo wciąż za mało współpracują ze szkołami i z rodzicami, by przygotowywać młodzież do życia.

Przy okazji – cyfryzacja PKO BP zaczęła się właśnie od dzieci. Kiedy przyszedłem do banku, pokazano mi książeczki SKO – Szkolnych Kas Oszczędności. Pomyślałem, że wszystkie dzieci, które znam, lgną do komputerów, dlaczego więc nie miałyby SKO mieć wirtualnie? Dzisiaj konta SKO są dostępne w ok. 30 proc. szkół w Polsce. W sumie konto SKO i konto Junior posiada prawie 500 tys. dzieci w wieku do 13 lat.

eprasa.pl 3ed46125cf

W ślad za rozwojem SKO otworzyliśmy elektroniczne konto Junior, związane z kontem rodzica. Dzięki niemu dziecko może, pod jego kontrolą, dokonywać wielu realnych czynności bankowych.

Jaką rolę w rozwijaniu banku będą miały przejęcia? Czy widzi pan duże pole do popisu? Bo pana zdaniem PKO BP nie opłaca się przejmować tych z aktywami poniżej 100 mld zł.

Jak większość dobrze funkcjonujących firm mamy dwie podstawowe drogi rozwoju – wzrost organiczny i przejęcia. Patrząc na skalę naszej działalności, nie jest już dla nas opłacalne przejmowanie instytucji, które są za małe. Przy tym w Polsce pojawia się pewne wyzwanie. Posiadanie banku, który nie osiągnął wystarczającej skali, jest problemem. Mamy więc banki, które są za małe, żeby się rozwijać, i z tego samego powodu – że są za małe – nie są atrakcyjne do przejęcia.

Jeśli więc chcielibyśmy jeszcze coś zrobić w tej materii w Polsce, to musielibyśmy przejąć bank, który ma aktywa ponad 100 mld zł. I wówczas skupialibyśmy się już na zapewnieniu jakości i dalszym rozwoju cyfryzacji. Jesteśmy kreatorem polskiego standardu płatności BLIK, utworzyliśmy operatora chmury krajowej. Wychodzimy poza tradycyjne rozumienie świata finansów. Tutaj jest dziś pole do popisu dla banku – tworzenie rozwiązań, które są nie wprost kojarzone z finansami. My np. daliśmy klientom możliwość zdalnego tworzenia tzw. profilu zaufanego, czyli możliwość dostępu do e-administracji, dzięki posiadaniu konta w banku. To należy rozpowszechniać w Polsce, bo kont z elektronicznym dostępem w bankach jest już prawie 37 mln, a realnie korzysta z nich, czyli jest aktywnych, ok. 17 mln. W PKO kont z dostępem elektronicznym jest 8 mln, a aktywnych użytkowników – ponad 4 mln.

PKO BP ma apetyt na różne rzeczy, w tym ubezpieczenia. W których obszarach wypowiada pan wojnę konkurentom?

To jest „wina" naszych klientów – to oni chcą, żebyśmy dostarczali im usługi, których potrzebują. Pytają nas, dlaczego nie można kupić u nas takich czy innych ubezpieczeń. I mają rację! Dlatego powoli wprowadzamy różnego rodzaju ubezpieczenia, począwszy od ubezpieczeń turystycznych związanych z ochroną w czasie podróży czy z posiadaniem kredytu hipotecznego w związku z ryzykiem utraty pracy czy zdrowia. Ostatnia nasza inicjatywa to ubezpieczenia komunikacyjne, gdzie jesteśmy dystrybutorem ubezpieczeń z grupy PZU i kilku innych instytucji.

Od czasu do czasu w przestrzeni publicznej słyszymy o słabości któregoś z banków. Czy nasz system bankowy jest bezpieczny?

Jerzy Kulej, nasz mistrz olimpijski w boksie, mówił, że nie ma boksera odpornego na ciosy, jest tylko źle trafiony. Jeśli system bankowy zostanie silnie trafiony, to ta nasza odporność dopiero wtedy zostanie zweryfikowana.

Uważam, że od pewnego czasu polski system bankowy pękł na pół. Po jednej stronie są banki duże, silne, dochodowe i stabilne. Po drugiej – niedochodowe, których zwrot z kapitału jest za mały, żeby się rozwijać, w związku z tym tworzą ryzyko systemowe. Im dłużej to trwa, tym gorzej dla bezpieczeństwa systemu.

Przy tym banki, które mają słaby zwrot z kapitału i są postrzegane jako potencjalnie ryzykowne, nie znalazły się w tej sytuacji przez przypadek. Podejmowały przez wiele lat działania, które nie były odpowiednio korygowane przez różnego rodzaju instytucje nadzorcze.

Potrzeba długiej i systematycznej pracy, by naprawić tę sytuację, która w ubiegłym roku okazała się niebezpieczna dla stabilności systemu bankowego.

Czy zamieszanie wokół KNF to duże zagrożenie dla systemu bankowego?

To zagrożenie nie bierze się wprost z takiego czy innego nadzoru. Bierze się z działań instytucji nadzorowanych. Możemy wprowadzać różne dodatkowe regulacje, prawo, obostrzenia. One nie zastąpią zwykłej uczciwości, roztropności działania i odpowiedzialności organów korporacyjnych danej instytucji. Przecież są zarząd, rada nadzorcza, akcjonariusze – zwłaszcza posiadający większy mandat kontrolny. Jeśli oni zawodzą, to nadzorca ma ograniczoną możliwość wpływu.

Doszło jednak, jak pan przyznał, do powstania dwóch światów bankowych w Polsce. Czy więc nadzór też nie okazał swojej słabości, skoro do tego dopuścił?

To nie jest problem jednostkowy. Latami instytucje te funkcjonowały niezależnie od tego, kto był w organach nadzorczych. To jest problem systemowy. Mieliśmy do czynienia z pewnym zaklinaniem rzeczywistości – że u nas jest fajnie i dobrze, bo się nic dotąd nie stało.

Nie mieliśmy bowiem kryzysu z prawdziwego zdarzenia. Silnej recesji. Jest takie powiedzenie, że czego nie odkryje audyt, to odkryje recesja. Szczęśliwie dla nas od 1992 r. mamy nieprzerwany wzrost gospodarczy. Mieliśmy momenty słabsze, związane z różnymi kryzysami na świecie, ale nigdy nie doszło u nas do recesji. W związku z tym, co naturalne psychologicznie, wszyscy się rozleniwiliśmy. Bo jest dobrze. A jak jest dobrze, to jest to przecież naszą zasługą...

Od trzech lat funkcjonuje podatek bankowy. Czy nie sprawia on, że polscy przedsiębiorcy mają z tego powodu droższe kredyty od zagranicznych konkurentów?

Gdy tylko pojawiła się ta idea, proponowałem, by zwiększyć wysokość CIT. Uznawałem, że to byłby bardziej transparentny sposób zwiększenia przychodów do budżetu z sektora bankowego, bez zniekształcania aktywów bankowych.

Podatek od aktywów bankowych to ok. 50 punktów bazowych. To wbrew pozorom dużo, jeśli chodzi o system finansowy. I teraz każdy nowo udzielany kredyt zgodnie z rozsądnym rachunkiem ekonomicznym musi zawierać ten dodatkowy koszt. Przez to polscy przedsiębiorcy, którzy konkurują z przedsiębiorcami z innych krajów, mają większy koszt finansowy. W związku z tym, że nie jesteśmy w strefie euro, stopy procentowe w Polsce są na wyższym poziomie. Gdyby zachować stały parytet euro do złotego, to z punktu widzenia przedsiębiorcy mamy wyższy koszt pieniądza w Polsce wynikający z wyższych stóp procentowych (w strefie euro ujemna stopa procentowa to 0,05 proc., a w Polsce dodatnia – 1,5 proc.). Do tego dokładamy 0,5 proc. brutto podatku od aktywów bankowych i mamy różnicę 2 proc. na niekorzyść polskiego kredytobiorcy, zakładając, że marże kredytowe są na takim samym poziomie.

Warto się więc zastanowić, co można zrobić, aby nawet lekko skorygować ten podatek, czy to poprzez zamrożenie wielkości aktywów, od których ten podatek jest pobierany, czy też poprzez zróżnicowanie wielkości podatku od poszczególnych klas kredytów. Dopóki mamy wysoki wzrost gospodarczy, dopóty on przesłania rosnące w tle problemy sektora bankowego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ed46125cf

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

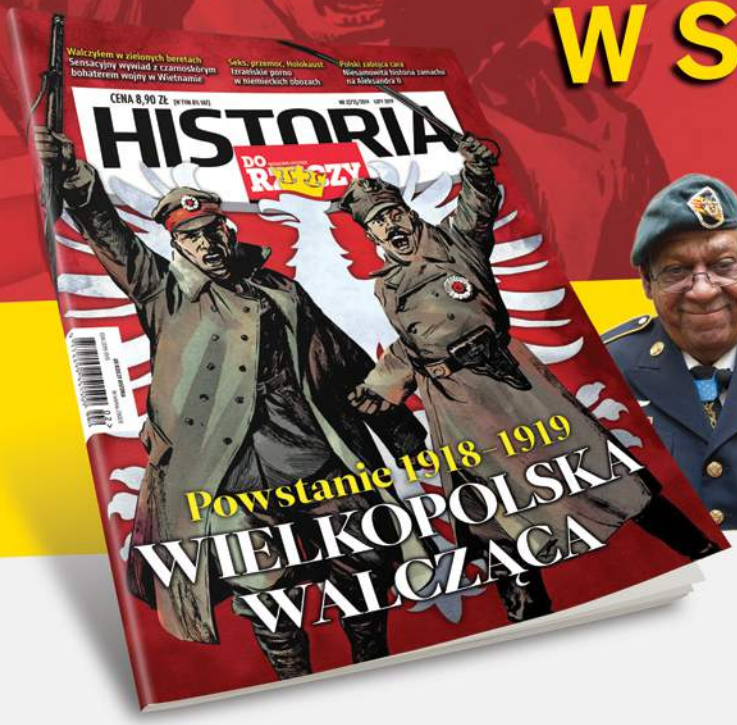

WALCZYŁEM W WIETNAMIE
WYWIAD Z BOHATEREM ZIELONYCH BERETÓW

Marek Rezler – **Wielkopolska Walcząca**
Marcin Bartnicki – **Niemiecki plan ataku na Warszawę**
Piotr Zychowicz – **Seks, przemoc i Holokaust**
Piotr Włoczyk – **Tajemnica syberyjskiego meteorytu**
Nikołaj Iwanow – **Zagadka zdrady generała NKWD**
Zvika Greengold – **Byłem asem pancernym Izraela**
Piotr Semka – **Rosenbergowie: śmierć atomowych szpiegów**
Sławomir Koper – **Polski zabójca cara**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 3ed46125cf

Taki mamy klimat

FOT. DOMINIK CAJDA/REPORTER

Tomasz Teluk

Polska jeszcze przez dziesięciolecia pozostanie węglowym mocarstwem. Światu także nie grozi zielona rewolucja dopóty, dopóki nie włączą się w nią najwięksi emitenci zanieczyszczeń i dwa mocarstwa

O tym, jak płonne są nadzieje zielonych, aby świat tańczył, jak im ekolodzy zagrają, świadczy historia szczytów klimatycznych ONZ, zwanych w skrócie COP (Conference of Parties). Protokół z Kioto okazuje się faktyczną porażką, bo przez lata ignorowały go USA czy Chiny, a okresowo, w zależności od sytuacji politycznej, opuszczały go Australia, Rosja czy Kanada. Prawdopodobnie podobny los spotka porozumienie paryskie.

W Europie funkcjonuje system ograniczania emisji oparty na mechanizmie pozwoleń rozdzielanych odgórnie przez Unię Europejską. Faktycznie jednak każdy kraj oraz każde liczące się przedsiębiorstwo zadbały, aby otrzymać tyle pozwoleń, ile trzeba, a może nawet więcej, aby upłynnić nadwyżkę na rynku.

Porozumienie paryskie (COP21) było pierwszą próbą osiągnięcia globalnego konsensusu w sprawie emisji gazów cieplarnianych. Jego sukces był połowiczny. Udało się ustalić wspólną deklarację oraz przyrzeczenia o redukcji emitowania dwutlenku węgla przez poszczególne kraje.

UGRAĆ SWOJE

To dzięki polskiej delegacji z porozumienia paryskiego znikły postulaty „dekarbonizacji", czyli stopniowej eliminacji węgla z koszyka energetycznego. Zastąpiono je pojęciem „neutralności klimatycznej".

To, że Polsce udało się uzyskać gwarancje rozwoju, bez hamowania energetyki opartej na spalaniu paliw kopalnych, do dziś z dumą przypomina były minister środowiska prof. Jan Szyszko. Jego sukcesem jest też promowana strategia pochłaniania dwutlenku węgla przez masę roślinną, która użytkuje CO_2 w procesie fotosyntezy. Nasza delegacja dowodziła, że dzięki powiększaniu areału lasów natura jest w stanie absorbować nawet jedną trzecią przemysłowej emisji tego gazu.

W Katowicach miała zostać opracowana techniczna metoda wdrożenia porozumienia paryskiego. Jednak wydaje się, że na pierwszy plan wysunęła się deklaracja o sprawiedliwej transformacji podpisana już na początku szczytu. W niej bardziej niż na klimacie skupiono się na zachowaniu miejsc pracy i bezpieczeństwie socjalnym pracowników.

Jeśli dodać do tego węglowy PR konferencji, to Polska po raz kolejny ugrała to, co chciała. Jeszcze przez dziesięciolecia jesteśmy bowiem skazani na węgiel jako podstawowe źródło energii.

CZARNE ZŁOTO EUROPY

Od początku tysiąclecia nad Wisłą zmniejsza się zarówno wydobycie węgla kamiennego, jak i zatrudnienie w górnictwie. W 2000 r. wydobywano u nas ponad 103 mln ton węgla rocznie, w zeszłym roku było to już niespełna 66 mln

eprasa.pl 3ed46125cf

ton. Kurczy się także zatrudnienie w sektorze. W 2006 r. kopalnie dawały pracę 119 tys. osób, a w zeszłym roku nad i pod ziemią pracowało tylko 83 tys. ludzi. Prognozy nie są optymistyczne dla górników. Według Instytutu Badań Strukturalnych do 2030 r. w branży może ubyć nawet 20 tys. miejsc pracy. Jeśli strategia UE i rządu się nie zmieni do 2050 r., to pracę straci kolejne kilkadziesiąt tysięcy ludzi, a zatrudnienie w górnictwie może oscylować wokół 27 tys.

Nie oznacza to wcale oszczędności dla państwa. Górnicy na emeryturę idą w sile wieku, a na ich świadczenia musi pracować kilka osób. Co prawda wyniki spółek górniczych się poprawiły, ale tylko dlatego, że węgiel jest coraz droższy.

Jeszcze kilka lat temu można było bronić tezy, że dzięki taniemu lokalnemu surowcowi, jakim jest węgiel kamienny, Polska należy (obok Danii – jedynego eksportera energii) do najmniej uzależnionych od importu energii krajów Unii. Dzisiaj Polska importuje 12,6 mln ton węgla, czyli o 70 proc. więcej niż przed rokiem. Blisko 9 mln ton surowca niskiej jakości pochodzi z Rosji. To mniej więcej tyle, ile produkuje jeden z najbardziej efektywnych zakładów w Polsce – Lubelski Węgiel „Bogdanka".

Mimo oparcia polskiej energetyki na spalaniu paliw kopalnych dotychczas udaje się realizować cele klimatyczne, przy niezachwianiu polskiego sektora energetycznego, choć bieżące podwyżki cen energii są przecież efektem unijnej polityki klimatycznej. Przedstawiciele rządu raz po raz podkreślają, że naszemu krajowi udało się zmniejszyć o jedną trzecią emisyjność elektrowni węglowych.

Oprócz inwestycji technologicznych Polska zamierza także zwiększać jakość surowca. Ostatnie zmiany w prawie zakazały importu węgla niskiej jakości. Kluczowe dla jakości powietrza w miastach są emisje spalin z samochodów oraz palenie byle jakim paliwem bądź odpadami.

ZDERZENIE CYWILIZACJI

Staje się coraz bardziej ewidentne, że strategia komunikacji pod dyktando organizacji reprezentujących najbardziej skrajne poglądy na ochronę środowiska jest najsłabszą stroną debaty publicznej nad problemami zmian klimatu. Im bliżej każdego COP, tym głośniejszy wrzask, który ma sparaliżować nas strachem. Niestety, większość „klimatycznych alertów" należy do kategorii fake news.

Jak inaczej bowiem traktować wypowiedź prof. Szymona Malinowskiego z Instytutu Geofizyki Uniwersytetu Warszawskiego i szefa portalu Naukaoklimacie.pl, który w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" stwierdził, że wskutek zmian klimatu wyginiemy w ciągu kolejnego pokolenia? Albo felieton telewizyjny, który sugerował, że jedną z konsekwencji globalnego ocieplenia będzie powrót do… kanibalizmu?

Można przypomnieć przewidywania Ala Gora, polityka, który za swój wkład w walkę o klimat otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla w 2007 r. – twierdził, że pokrywa lodowa biegunów Ziemi bezpowrotnie zniknie do roku 2014 r.

Starcie cywilizacji widoczne było od pierwszych dni Szczytu Klimatycznego w Katowicach. Dla organizacji ekologicznych oczywiste jest, że planetę może uratować tylko osobnik o skrajnie lewicowych poglądach.

Państwa rozwijające się mają brać pożyczki i kupować od krajów bogatych wiatraki oraz technologie fotowoltaiczne. A potem dotować je na potęgę

Dla wizytujących Śląsk szokiem okazał się wszędobylski węgiel, traktowany z wyjątkowym obrzydzeniem. Dla wielu uczestników nie do przyjęcia okazało się, że w konferencyjnym menu występuje mięso. Kilka organizacji ekologicznych nie tylko wyraziło swoje święte oburzenie, lecz także przy okazji przytoczyło wiele kalkulacji, z których wynikało, że produkcja mięsa jest zabójcza dla klimatu.

Od dawna w obowiązującej strategii komunikacji obowiązuje praktyka „zero tolerancji dla odmiennych poglądów", mimo ewidentnych wpadek, takich jak choćby wyciek e-maili pięć lat temu przed Szczytem Klimatycznym w Warszawie, gdy okazało się, że czołowi naukowcy pracujący dla IPCC (Międzynarodowy Panel ds. Zmian Klimatu) fałszowali pomiary, aby udowadniać podwyższanie się globalnych temperatur.

Stąd na przykład dehumanizacja dyskutantów, poddawanie ich presji i ostracyzmowi. Zwolenników tezy o naturalnych przyczynach zmienności klimatu określa się mianem „negacjonistów klimatycznych".

TRUDNE POROZUMIENIE

W wyniku dominacji w dyskusji poprawności politycznej PiS mówi właśnie takim językiem, bojąc się stracić głosy elektoratu centrowego. Politycy kluczą więc, przyznając, że oczywiście klimat trzeba chronić, a globalne ocieplenie to dla nich problem priorytetowy. W rzeczywistości jednak promują rodzime górnictwo i dają górnikom gwarancje zatrudnienia na lata.

Wręcz niemożliwe okazuje się wypracowanie takiego konsensusu, aby ponad 200 państw świata mówiło jednym głosem. Było to widoczne w Katowicach. Na COP24 zabrakło przywódców największych emitentów z Europy – Niemiec i Francji, nie mówiąc już o innych – z USA, Rosji czy Chin. Zresztą Donaldowi Trumpowi, tak jak każdemu republikaninowi, przez gardło nie przejdzie termin „globalne ocieplenie", a sam prezydent zapowiedział, że Stany Zjednoczone do 2020 r. wycofają się z porozumienia paryskiego. Niepokojące dla ekologów sygnały przyszły także z Brazylii. Tam prezydent elekt Jair Bolsonaro oświadczył niespodziewanie, że ten kraj wycofuje się z organizacji kolejnego Szczytu Klimatycznego COP25. Pokrzyżowało to szyki urzędnikom z ONZ, którzy już w Katowicach chcieli ogłosić organizatora kolejnego spotkania z Ameryki Południowej.

Na to, o co rzeczywiście chodzi w tym całym zamieszaniu z globalnym ociepleniem, rzucili światło przedstawiciele Banku Światowego. Biurokraci z BŚ złożyli deklaracje, że tworzą ekstrafundusz, który będzie pożyczał pieniądze na projekty proekologiczne, które mieszczą się w ramach porozumienia paryskiego. Na ten cel zostało przeznaczone aż 200 mld dol. w ciągu najbliższych pięciu lat.

Międzynarodowa finansjera postawiła więc sprawę jasno. Jak zwykle chodzi o pieniądze. Państwa ubogie i rozwijające się mają ustawić się na końcu tego procesu rozdzielczo-nakazowego: zadłużać się, brać pożyczki, zamykać swoje kopalnie i kupować od krajów bogatych wiatraki i technologie fotowoltaiczne. Potem wdrażać je u siebie, dotując na potęgę. A to, że podatnicy z biedniejszych krajów będą spłacali owe długi przez kolejne kilkadziesiąt lat? Cóż, to nieważne. Walka z cieplarnianą apokalipsą musi przecież kosztować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest prezesem Instytutu Globalizacji.

eprasa.pl 3ed46125cf

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Emerytury po Tusku

Jak odbudować zaufanie, które zrujnował Donald Tusk? Rządzący politycy dziś dwoją się i troją, próbując przekonać Polaków, by z ufnością potraktowali startujący za kilka miesięcy rządowy program PPK – pracowniczych planów kapitałowych – i masowo się z niego nie wypisywali. I już widać, że stoi przed nimi nie lada wyzwanie po zimnym prysznicu, jaki przyszłym emerytom sprawił rząd Tuska, który w 2014 r. bezceremonialnie zagarnął im z kont w otwartych funduszach emerytalnych ponad 150 mld zł – aż połowę ich pieniędzy odłożonych tam na starość.

„Nie powtórzy się historia z OFE" – już w tytule swego artykułu w „Rzeczpospolitej" zapewnia Bartosz Marczuk, wiceszef Polskiego Funduszu Rozwoju, odpowiedzialny za wdrożenie PPK. Czy teraz, po tym wszystkim, uda się odbudować zaufanie Polaków do tzw. drugiego filaru emerytalnego – nie nadszarpnięte, lecz właśnie wprost zdruzgotane przez ekipę Tuska? Oczywiście nie da się tego wykluczyć, lecz nie wydaje mi się, by było to możliwe w najbliższym czasie. Najpierw w pamięci ludzi musi się zatrzeć fatalne wspomnienie o tamtym oszustwie władzy, czego koniecznym warunkiem jest to, by nie spotkało ich kolejne.

Na razie rokowania dla programu PPK – pracowniczych planów kapitałowych – są co najwyżej umiarkowane. Co prawda w sondażu agencji Randstad „aż" 64 proc. przebadanych pracowników chce pozostać w nowo tworzonym systemie, a „tylko" 33 proc. z niego wystąpić (3 proc. jeszcze nie zdecydowało, co uczyni). Jednak kto wie, czy wnioski płynące z tego oraz innych badań opinii publicznej i tak nie są nazbyt optymistyczne? A gdy przyjdzie co do czego, czyli nadejdzie czas odkładania z własnej pensji kolejnych pieniędzy na kolejne konto emerytalne, nie okaże się, że chętnych będzie jeszcze mniej?

W końcu nie wszyscy muszą chcieć uwierzyć zmasowanej kampanii rządzących polityków, z uporem wskazujących, że PPK w żadnym przypadku nie można porównywać do OFE, bo teraz to już są „naprawdę" i „na pewno" prywatne pieniądze na prywatnych kontach przyszłych emerytów, których żaden rząd nigdy nie znacjonalizuje i nie ukradnie. Przecież o OFE kolejne rządy przez niemal 20 lat mówiły dokładnie to samo, a potem rząd Tuska w jedną noc zrobił coś dokładnie przeciwnego.

Na domiar złego rząd Morawieckiego do tej pory nie przesądził, że pozostałe w OFE pieniądze, niemal 150 mld zł, nadal tam w całości pozostaną. Albo – w najgorszym razie, co w swoim czasie publicznie zapowiadano – trzy czwarte z nich trafi na „naprawdę prywatne" Indywidualne Konta Zabezpieczenia Emerytalnego przyszłych emerytów, a pozostała jedna czwarta – zgodnie z tymi zapowiedziami – zostanie przez rząd znacjonalizowana i wytransferowana do Funduszu Rezerwy Demograficznej. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Dlaczego umieramy

Niedawno GUS opublikował dane, z których wynika, że w 2018 r. zmarło 414 tys. Polaków, najwięcej w skali roku od czasu II wojny światowej. Urodziło się tylko 388 tys. dzieci, więc jako naród kurczymy się, co nie przeszkodziło naszej gospodarce osiągnąć ponad pięcioprocentowe tempo wzrostu gospodarczego.

Według demografów wzrost liczby zgonów wynika z tego, że pokolenia obecnych seniorów po siedemdziesiątce, poczęte w latach wyżu demograficznego, są coraz liczniejsze. Polaków umarło jednak więcej, niż wynika tylko z pogarszającej się demografii. Z danych historycznych wiemy, że dwie główne przyczyny zgonów to choroby krążenia (43 proc. zgonów) oraz nowotwory złośliwe (26 proc.) i prawdopodobnie tak też było w 2018 r. Nie ma jednak jeszcze danych za miniony rok, więc można tylko spekulować na podstawie historycznych trendów i dostępnej wiedzy.

Zwiększona umieralność może być powodowana czynnikami, które oddziałują obecnie i które uległy znaczącej zmianie w ciągu roku. Przykłady takich czynników to: pojawienie się śmiercionośnej epidemii, konflikt zbrojny, znaczące pogorszenie jakości usług służby zdrowia, gwałtowny wzrost liczby wypadków drogowych, zabójstw lub samobójstw itp. Pamięć jest zawodna, ale nie przypominam sobie, aby w 2018 r. media w Polsce donosiły o anomaliach w którymkolwiek z wymienionych potencjalnych czynników wzrostu liczby zgonów.

Dlatego bardziej prawdopodobne jest, że obserwujemy skumulowane w czasie działanie czynników długofalowych, które odpowiadają za zdrowie człowieka. Te czynniki to m.in.: długoletnie nawyki żywieniowe, aktywność ruchowa, używki, odpowiednia profilaktyka lub jej brak oraz odpowiednie przyjmowanie leków. Nałogowy palacz, który często je fast foody, ma dużą nadwagę, rusza się wyłącznie między samochodem, fotelem w pracy i kanapą przed telewizorem, ma wysokie nadciśnienie i zapomina brać leki, prawdopodobnie jest bardziej narażony na wylew niż miłośnik ryb i warzyw, uprawiający nordic walking trzy razy w tygodniu, dzięki czemu zachowuje szczupłą sylwetkę.

Jest jednak jeszcze jeden ciekawy czynnik. W USA przeprowadzono badanie – pod kontrolą lekarzy grupie sędziwych seniorów odstawiono połowę leków, które regularnie przyjmowali. W grupie porównawczej wszystkie leki pozostawiono. Okazało się, że osoby, które brały mniej leków, żyły dłużej i w lepszym samopoczuciu. Co prawda dotyczy to USA, gdzie ludzie jedzą tabletki garściami, ale warto i o tym pamiętać.

Zdrowa dieta, regularny ruch kilka razy w tygodniu i zachowanie umiaru w konsumpcji używek to recepta na długie życie w dobrym zdrowiu. To nasz patriotyczny obowiązek. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl 3ed46125cf

TEST „DO RZECZY": ACER TRAVELMATE X3410

Wytrzymała, aluminiowa obudowa, szerokie kąty widzenia, niezła wydajność i niższa niż u topowych producentów cena – to największe zalety biznesowego laptopa tajwańskiej firmy Acer.

Wykonany niemal w całości z aluminium niewielki, 14-calowy notebook wygląda elegancko. Ze smukłą czarną, matową obudową ładnie kontrastują srebrne zawiasy. Szkoda tylko, że na obudowie umieszczono brzydko zrobione logo.

Laptop robi wrażenie solidnie wykonanego: nic się nie odkształca, nie trzeszczy ani nie ugina. Producent chwali się nawet, że ten model laptopa przeszedł w USA osiem najważniejszych testów klasy militarnej, w tym np. badanie odporności na wysokie i niskie temperatury oraz badanie wytrzymałości przy upadku z wysokości 122 cm. Po stronie plusów można również wpisać sporą liczbę portów (m.in. trzy USB 3.0, jedno USB typu C, HDMI i VGA).

Gorzej jest z wagą. 1,64 kg to całkiem sporo jak na mobilny sprzęt, choć oczywiście tragedii nie ma. Wieczorną pracę ułatwia podświetlona klawiatura z przyjemnym, wyczuwalnym skokiem klawiszy. Z kolei zaletą touchpada jest opcja obsługi gestów.

Niezłą wydajność zapewniają procesor IntelCore i7 ósmej generacji oraz szybki system pamięci DDR4 (testowany egzemplarz miał 16 GB pamięci RAM). Wielu konkurentów oferuje jednak wydajność na wyższym poziomie. Bateria o pojemności 5170 mAh wystarcza na pięć–siedem godzin pracy.

Wyświetlacz IPS o rozdzielczości Full HD (1920 x 1080) ma szerokie kąty widzenia (178 stopni) i niezłą jakość. Czerń jest wyraźna, a kontrast głęboki. Minusem jest stosunkowo słaba jasność maksymalna na poziomie ok. 260 nitów, podczas gdy większość biznesowych konkurentów oferuje jasność maksymalną na poziomie ok. 300 nitów.

Głośniczki grają wystarczająco głośno, ale jakość dźwięku nie porywa. Szczególnie słabiutki jest bas. Acer TravelMate X3410 nie jest jednak urządzeniem multimedialnym, lecz typowym laptopem biznesowym, który dobrze sprawdzi się w pracy biurowo-administracyjnej.

Cena wersji z 16 GB pamięci RAM i 512 GB dysku SSD wynosi 4999 zł.

Jacek Przybylski

MAŁA ZOSIA CZY LALECZKA CHUCKY?

Pamiętają państwo film, właściwie całą serię filmów, o demonicznej laleczce Chucky, której już sam wygląd odstraszał? Notabene – kolejna odsłona krwawego horroru odbędzie się w tym roku, i to w formie zarówno filmu, jak i serialu. Przerażające. Dość przerażająco, choć zapewne nie takie były intencje konstruktorów, wygląda też Little Sophia – lalka-robot przeznaczona dla dzieci od lat 7 do 13 i mająca nauczyć ich podstaw kodowania (nie mylić z Komitetem Obrony Demokracji).

Mała Zosia jest siostrą wyprodukowanej w 2017 r. przez firmę z Hongkongu – Sophie, czyli pierwszego inteligentnego robota, który oficjalnie otrzymał obywatelstwo jednego z krajów (Arabii Saudyjskiej). Ma 36 cm wzrostu, rozpoznaje twarze, chodzi, śpiewa, gra, rozmawia, opowiada dowcipy i tańczy, a przy tym wszystkim uczy maluchy języków programowania: Blockly i Python.

Patrząc na buźkę owej małej Zosi, jednego można być pewnym – nie nauczy ona małolatów poczucia estetyki i piękna, za to być może oswoi z koszmarami czasów dorosłości. Urządzenie może spodobać się rodzicom – fanom wczesnej edukacji maluchów, także kosztem spokojnego, pięknego dzieciństwa. Konserwatywni rodzice pozostaną zapewne przy tradycyjnej lalce Barbie, która co prawda nie tańczy, nie śpiewa, ale też nie wróci do dzieciaka w sennych koszmarach.

Firma Hanson Robotics, która Little Sophie chce wypuścić na rynek, zbiera fundusze na uruchomienie produkcji. Małą Zosię można więc zamówić na Kickstarterze, wpłacając ok. 450 zł. Dostawa w grudniu.

ODKURZACZ DO PAKOWANIA

Podobno najmocniejszy na rynku, ręczny i można go ze sobą zabrać na biwak. Tak przynajmniej przekonują producenci urządzenia o nazwie Pacum, które – jak sama nazwa wskazuje – ma być pomocne przy pakowaniu. Jak to działa? Ano ciągnie powietrze jak smok wawelski wodę z Wisły. Przykładając go do zapakowanej w foliowe worki odzieży, którą zamierzamy ze sobą zabrać w podróż, uzyskujemy efekt „wysysający" powietrze z paczki, co znacząco zmniejsza jej objętość i wagę. A w dodatku w ten sam sposób można spuścić dokładnie powietrze z dmuchanego materaca, piłki plażowej czy koła ratunkowego. Ubijanie bagażu nogami i siadanie na walizce przestaje być trendy.

Żeby kupić Pacum, trzeba wyłożyć ok. 120 zł na Kickstarterze. Dostawa gadżetu w czerwcu. ©℗

Wojciech Wybranowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 3ed46125cf

Strategia na raka

Katarzyna Pinkosz

Tani, dostępny, skuteczny przy każdym nowotworze – pod koniec stycznia biotechnologiczna firma z Izraela ogłosiła, że w ciągu roku zaprezentuje przełomowy lek na raka. Przełom będzie, ale dzięki metodzie drobnych kroków – odpowiadają polscy eksperci

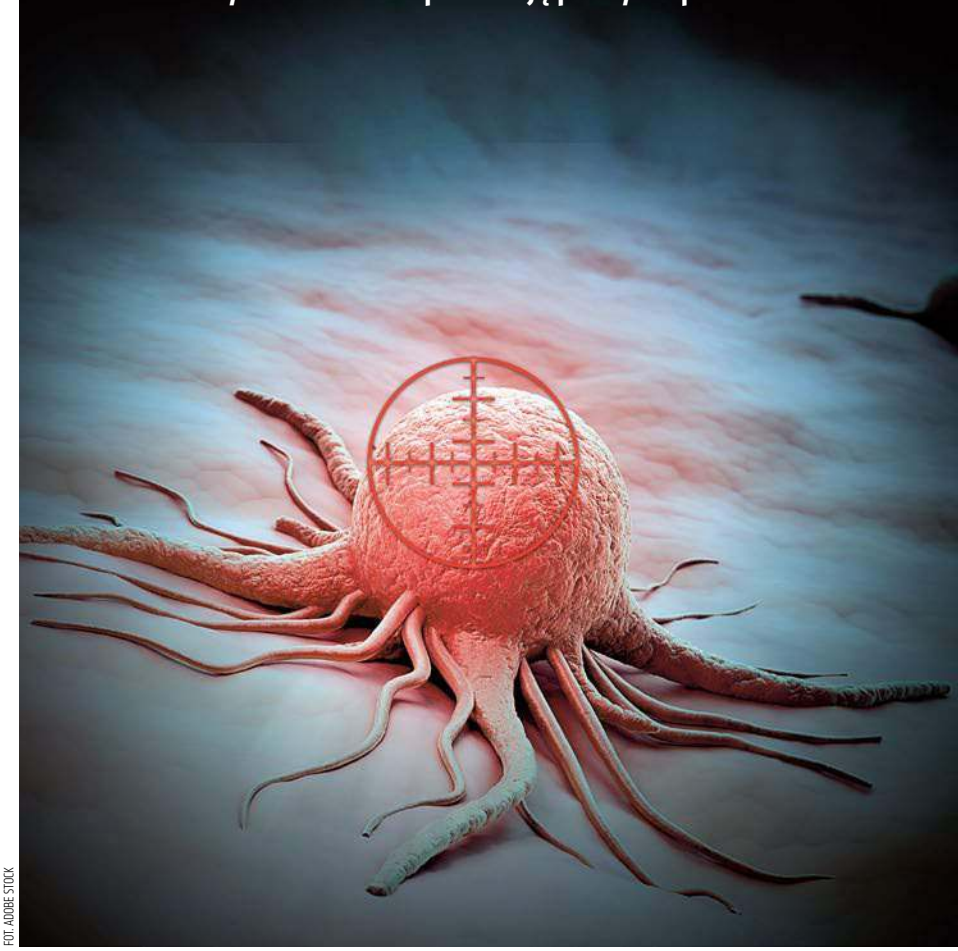

FOT. ADOBE STOCK

Zapowiedź izraelskiej firmy Accelerated Evolution Biotechnologies, że już za rok będzie miała skuteczny od pierwszego podania lek na każdy rodzaj nowotworu, w dodatku pozbawiony silnych skutków ubocznych, wzbudziła więcej powątpiewania niż nadziei. Terapia MuTaTo (multi-target toxin, czyli wielozadaniowa toksyna) miałaby być czymś w rodzaju „antybiotyku na raka", który sprawi, że komórka nowotworowa nie będzie w stanie się bronić i mutować. Na razie naukowcom z Izraela udało się przeprowadzić badania na myszach, więc do zastosowania u ludzi droga wydaje się jeszcze daleka.

– Cieszę się, że znakomite ośrodki naukowe pracują nad wynalezieniem kolejnego nowego leku, jednak jeszcze go nie mamy, a nawet gdy nowa terapia zostaje zarejestrowana, wiemy o niej w zasadzie tyle, że jest bezpieczna, dobrej jakości i skuteczna. Dopiero późniejsze stosowanie u pacjentów, którzy mają różne współistniejące dolegliwości, powoduje, że dowiadujemy się o leku coraz więcej – mówi ostrożnie dr Leszek Borkowski, farmakolog kliniczny, a zarazem pacjent onkologiczny.

Eksperci przyznają jednak, że w leczeniu wielu nowotworów na naszych oczach dokonuje się rewolucja. – W swojej karierze zawodowej miałem możliwość obserwowania, jak zmienia się leczenie. Dzisiaj się wydaje, że chemioterapia osiągnęła pułap swoich możliwości. Nadal ją stosujemy, jednak coraz częściej wykorzystujemy leczenie celowane, nakierowane na konkretny podtyp nowotworu, a także immunoterapię, dzięki której odblokowujemy i aktywizujemy system odpornościowy. Dzięki biologii molekularnej, genetyce i immunologii lawinowo rośnie liczba nowych cząsteczek, które są w badaniach klinicznych. Kilkanaście leków rocznie jest rejestrowanych, a prawdopodobnie będzie ich jeszcze więcej – przyznaje prof. Jan Walewski, onkolog i hematolog, dyrektor Centrum Onkologii-Instytutu im. Marii Skłodowskiej-Curie.

CEGIEŁKA DO CEGIEŁKI

W ciągu ostatnich 30 lat leczenie zmieniło się na tyle, że rak – choć nadal budzi lęk – coraz częściej u niektórych pacjentów zmienia się w chorobę przewlekłą, z którą można żyć wiele lat, stosując po kolei kolejne terapie. Nie oznacza to, że choroba stała się łatwa

eprasa.pl 3ed46125cf

w leczeniu – wręcz przeciwnie, komórka nowotworowa to wyjątkowo trudny przeciwnik. Stosowane terapie są skuteczne zwykle tylko przez pewien czas, komórki nowotworowe mutują i potrafią uciec stosowanemu leczeniu. Kolejne leki jednak znów na pewien czas zatrzymują postęp choroby, cofają ją, usypiają.

Nadal wyleczenie jest możliwe tylko w przypadku wczesnego rozpoznania, kiedy nie ma jeszcze przerzutów – dlatego tak ważne jest, by korzystać z badań profilaktycznych i iść do lekarza jak najszybciej, gdy pojawiają się niepokojące objawy. Coraz częściej jednak nawet z bardzo zaawansowanym nowotworem można żyć wiele lat. – Profesor Judah Folkman, twórca koncepcji leczenia antyangiogennego [uniemożliwiającego otaczanie się nowotworu siatką naczyń krwionośnych, które umożliwiają jego odżywianie – przyp. red.], powiedział kiedyś, że nowotwory da się leczyć tak jak choroby przewlekłe, np. nadciśnienie tętnicze czy cukrzycę. Stworzył koncepcję „raka bez choroby". Czyli: rak jest, ale jego rozwój zostaje zahamowany i pacjent żyje – mówi prof. Marek Wojtukiewicz, kierownik Kliniki Onkologii Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku.

Nowa koncepcja leczenia zaawansowanych nowotworów to właśnie leczenie sekwencyjne, cegiełka po cegiełce: leczenie drugiej, trzeciej, czwartej, a nawet piątej i kolejnych linii. Pacjenci w zaawansowanych stadiach nowotworu często są w bardzo dobrym stanie ogólnym, po wielu nie widać choroby. Są aktywni rodzinnie, społecznie, często też zawodowo.

– W niektórych nowotworach mamy więcej leków niż wiedzy, jak je ze sobą zestawić. Dlatego potrzebne są dalsze badania kliniczne, w tym badania niekomercyjne, czyli prowadzone niezależnie od firm farmaceutycznych, żebyśmy wiedzieli, jak najlepiej stosować terapie – przyznaje prof. Walewski.

POLICZYĆ KOSZTY

Nowe terapie są niekiedy bardzo kosztowne (niedawno wprowadzoną terapię zmodyfikowanymi genetycznie limfocytami T firma wyceniła na niemal pół miliona dolarów od pacjenta), dlatego żaden system ochrony zdrowia na świecie nie jest w stanie zapewnić wszystkich nowych leków. W Polsce, mimo poprawy w ostatnich latach, nadal często brakuje leków, które są dostępne w innych krajach UE, nawet naszego regionu. Pacjenci, u których choroba powróciła, dowiadują się więc, że choć w innym kraju mieliby jeszcze możliwość leczenia, to w Polsce praktycznie nie ma im już nic do zaproponowania. – Słyszę czasem od decydentów: Mamy już refundowane trzy, cztery leki w tej chorobie, więc po co kolejny? Odpowiadam, że ma on inny mechanizm działania, który do tej pory nie był wykorzystywany. Dlatego musimy zmieniać wytyczne postępowania i programy lekowe – mówi dr Leszek Borkowski.

Podaje przykład zaawansowanego raka prostaty: jeden z leków, który w większości krajów już od dawna jest podawany przed chemioterapią, w Polsce nadal może być zastosowany dopiero po takim leczeniu. – Nawet dla laika jest jasne, że jeśli podamy skuteczny lek wcześniej, to łatwiej zlikwidować komórki nowotworowe, gdyż są jeszcze nieprzygotowane do walki, a organizm jest silniejszy – tłumaczy dr Borkowski.

Innym przykładem są leki stosowane przy obecności mutacji w genie HER-2. Mogą je otrzymać pacjentki z rakiem piersi, u których ta mutacja została wykryta, ale chorzy z rakiem płuca, z taką samą mutacją, już nie. Podobnych sytuacji będzie coraz więcej: te same leki coraz częściej okazują się skuteczne w nowotworach o różnej lokalizacji, mających tę samą mutację genetyczną. Dlatego jeszcze przed rozpoczęciem leczenia celowanego u każdego chorego powinno się wykonać badanie genetyczne. Niestety, w wielu szpitalach w Polsce takich badań się nie wykonuje.

– Nikt jeszcze 20 lat temu nie mógł sobie wyobrazić, że będą takie możliwości leczenia jak dziś, jednak rak jako choroba przewlekła to ogromne koszty dla systemu. Konieczne są większe pieniądze na ochronę zdrowia. Jeśli chcemy ją mieć na takim poziomie jak na Zachodzie, to musimy płacić więcej – przyznaje prof. Piotr Czauderna, chirurg onkolog, koordynator Sekcji Ochrony Zdrowia Narodowej Rady Rozwoju przy Prezydencie RP.

WCZEŚNIEJ LECZYĆ

Skuteczność leczenia onkologicznego w Polsce poprawia się, ale wciąż odbiega od efektywności w innych krajach UE. Przyczyną jest nie tylko brak niektórych nowoczesnych leków w refundacji, lecz także późne rozpoznanie nowotworu i opóźnienia w podjęciu leczenia. W Polsce nadal raka częściej rozpoznaje się w stadium zaawansowanym, kiedy nie ma już szans na całkowite wyleczenie. Przykład: czerniak skóry, którego można zdiagnozować dzięki prostemu badaniu w gabinecie dermatologicznym. Mimo to w Polsce nadal 30 proc. pacjentów zaczyna terapię w zaawansowanym stadium choroby.
– W Niemczech średnia grubość leczonego czerniaka to poniżej 0,8 mm, w Polsce – poniżej 2 mm, dlatego wyniki leczenia mamy gorsze – przyznaje prof. Piotr Rutkowski, kierownik Kliniki Nowotworów Tkanek Miękkich, Kości i Czerniaków Centrum Onkologii-Instytutu im. Marii Skłodowskiej-Curie.

Jeśli chcemy być skuteczniej leczeni, to musimy zmienić styl życia i częściej się badać

Jeśli chcemy być skuteczniej leczeni, to musimy zmienić styl życia i częściej się badać. – Profilaktyka i częstsze korzystanie z badań przesiewowych powinny należeć do głównych celów Narodowej Strategii Onkologicznej, którą będziemy przygotowywać – tłumaczy prof. Piotr Czauderna.

Strategia ma być oparta na Cancer Planie, opracowanym przed kilku laty przez prof. Jacka Jassema i Polskie Towarzystwo Onkologiczne. Nowy dokument ma jednak być przyjęty i realizowany przez rząd, co może zapewnić odpowiednie środki finansowe na jego realizację.
– Na pewno profilaktyka powinna być jednym z celów strategicznych, bo jest stosunkowo tania, a możemy dzięki niej zmniejszyć zachorowania na wiele nowotworów i wykrywać je wcześniej – przekonuje prof. Czauderna. Podaje przykład Australii, gdzie zgłaszalność na badania przesiewowe znacznie się poprawiła po zainwestowaniu w reklamę w mediach społecznościowych.

Osobom, które już zachorowały, profilaktyka już nie wystarczy. Potrzebne są szybsza diagnostyka i rozpoczęcie leczenia, możliwość wykonania badań genetycznych, dostęp do skutecznych terapii. Pacjenci czekają też na zapowiadane od dawna zmiany organizacyjne, takie jak stworzenie ośrodków kompleksowego leczenia raka piersi, jelita grubego, prostaty, płuca, w których byliby otoczeni dobrą opieką.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3ed46125cf

GRZECHY PIASTÓW

Bolesław, który stracił Polskę

JACEK KOMUDA

Bolesław II Rogatka, urodzony pomiędzy 1225 a 1230 r., był najstarszym synem Henryka Pobożnego, zabitego przez Tatarów na polu bitwy pod Legnicą w 1241 r. Odziedziczył większość ziem królestwa polskiego – pod jego władzą znajdował się nie tylko Śląsk, lecz także: ziemia krakowska, praktycznie cała Wielkopolska, ziemia lubuska, a uzależnione były: księstwo opolskie i ziemia sandomierska.

Bolesław rok po roku tracił wszystko, co odziedziczył, rujnując dzieło jednoczenia kraju przez Henryków śląskich – ojca i dziada. Za życia zamienił Legnicę w zbójeckie gniazdo – żyjąc jak współczesny mu niemiecki raubritter – rycerz rozbójnik. Specjalizował się – można by rzec – w porwaniach przeciwników, przetrzymywaniu ich w loszku i wymuszaniu w ten sposób ustępstw politycznych. Jednocześnie był urzeczony rycerską kulturą – pomiędzy wojnami i awanturami urządzał turnieje, podróżował po kraju z ulubionym minstrelem. Do dziś jest księciem bardzo nielubianym przez polskich historyków, zwłaszcza Pawła Jasienicę.

Kroniki zanotowały trzy przydomki Bolesława: Łysy – calvus, jak podaje „Kronika polska", Rogatka – „Rocznik Traski", zachował się też Dziwny, ponieważ nie zawsze zachowywał się rozsądnie – nawet z punktu widzenia ludzi żyjących w połowie XIII w. Jego rejestr gwałtów, a przede wszystkim namiętnych uprowadzeń, jest długi i miał związek z wojnami, które prowadził, próbując utrzymać resztki dziedzictwa. Zaraz po objęciu rządów utracił ziemię krakowską na rzecz Konrada Mazowieckiego. Równocześnie w Wielkopolsce Przemysł I rozpoczął skuteczną walkę o uwolnienie dzielnicy spod władzy syna Henryka. Na koniec Bolesław popadł w konflikt z własnymi braćmi – Henrykiem sławem

FOT. WIKIPEDIA

– którzy uwięzili go w Legnicy, wymuszając podział Śląska na dwie części – wrocławską i legnicko-głogowską. Na tej ostatniej osiadł uwikłany jednak ciągle w wojnę z bratem Henrykiem. W trakcie walki o Śląsk, szukając pomocy, oddał arcybiskupowi Magdeburga połowę ziemi lubuskiej, będącej kluczem do królestwa polskiego – całość przejęli potem margrabiowie magdeburscy. Pomimo pomocy niemieckiej książę został pokonany po raz drugi. Wtrącony do więzienia przez Przemysła I oraz brata Konrada musiał oddać mu Głogów.

Bolesław II, który zaczynał rządy jako władca większości ziem Polski, skończył więc jako lokalny książę na Legnicy. Już wtedy dopuszczał się okrucieństw. Na przykład w trakcie walk z braćmi podpalił w Środzie kościół razem z mieszczanami, którzy się tam schronili.

Kolejne lata wiązały się z jeszcze większymi konfliktami – z książętami i możnymi. Przynajmniej jeden zakończył się dla księcia fatalnie – konflikt z Kościołem. W 1256 r. Bolesław porwał biskupa wrocławskiego Tomasza i uprowadził go do Wlenia, a potem do Legnicy, następnie więził go przez pół roku. W odpowiedzi abp Pełka rzucił na Rogatkę klątwę, a nawet kiedy w końcu Bolesław uwolnił duchownego, w 1257 r. synod w Łęczycy ogłosił wyprawę krzyżową przeciwko Rogatce, który nieświadomy zagrożenia beztrosko planował w tym samym czasie… porwanie swego brata Konrada Głogowskiego. Został jednak przechytrzony i sam znalazł się w więzieniu; zmuszono go do przyjęcia pokuty i pokajania się przed Kościołem. W 1261 r. w pokutnym stroju przybył razem z rycerzami pod katedrę we Wrocławiu, gdzie prosił wysłanników papieskich o zdjęcie klątwy, ofiarował datki na budowę katedry, a także obiecał odszkodowanie dla bp. Tomasza. Uzyskał cofnięcie klątwy, jednak nie porzucił dawnego – rogatego rzekłbym – stylu życia. W 1277 r. porwał Henryka IV Probusa, zamierzając wymusić na nim oddanie części dzielnicy wrocławskiej. Za schwytanym ujęli się jednak król czeski Przemysł Ottokar II oraz Henryk III Głogowski i Przemysł II z Wielkopolski. W starciu pod Stolcem rycerski rzekomo Rogatka uciekł z pola bitwy, jednak niespodziewanie jego syn Henryk Brzuchaty przejął dowodzenie i wygrał, tracąc jednak wielu rycerzy.

Była to już ostatnia awantura księcia. W 1278 r. zmarł, pozostawiając po sobie opinię szaleńca i okrutnika. Rogatka utrzymywał licznych niemieckich najemników, jednak – jak uważa Kazimierz Jasiński – nie był zniemczony. „Kronika książąt polskich" podaje, że kaleczył mowę szwabską tak dalece, że wywoływało to śmiech obecnych. Nie wiadomo, czy w ogóle nie miał problemów z wymową, bo z kolei Długosz pisze, iż „mówił tak niewyraźnie i prędko, że budził u słuchaczy śmiech i urąganie. Krętacz w czynach i obyczajach, pochopny w wyrokowaniu". ©℗

eprasa.pl 3ed46125cf

ZDROWY DESER OD WICEMINISTER SPORTU

Od pewnego czasu większą część mojej diety stanowią warzywa i owoce. Dobrze to robi mojemu zdrowiu i sylwetce.

Pośród owoców pierwszoplanową rolę odgrywają te, z których słynie nasza świętokrzyska ziemia, czyli jabłka z sandomierskiego zagłębia sadowniczego. Zaproszono mnie tam trzy lata temu i wtedy zostałam oczarowana przez jabłka. Jem je pod każdą postacią: na surowo, w sałatkach, do naleśników, w deserach.

Polecam swój przepis na szarlotkę na zimno, bez cukru, bez tłuszczu, bez mąki, bez jajek, bez pieczenia, do indywidualnej modyfikacji.

Składniki:

- 4 jabłka (dwa duże, dwa małe)
- rodzynki
- cynamon
- orzechy
- płatki zbożowe

Przygotowanie:

Dwa duże jabłka obieramy, szatkujemy na plastry i obficie skrapiamy cytryną. Obieramy dwa małe jabłka, wykrawamy gniazda nasienne, dorzucamy do nich kilka łyżek namoczonych rodzynek i doprawiamy cynamonem, a następnie miksujemy, by powstał z tego sos. Następnie przygotowujemy kruszonkę, miksując kilkanaście orzechów, 3–4 czubate łyżki dowolnych płatków zbożowych i opcjonalnie 2–3 łyżki namoczonych wcześniej rodzynek. W salaterce układamy plastry jabłek, na to wykładamy stopniowo sos i posypujemy kruszonką.

Szarlotkę możemy zostawić na noc w lodówce, jeżeli zaś chcemy jeść ją od razu, dodajemy więcej namoczonych rodzynków.

Życzę twórczej inspiracji przy przygotowywaniu tego deseru. Smacznie, szybko, zdrowo, tanio i lokalnie. Polecam polskie jabłka. ©℗

oprac. raw
Anna Krupka jest wiceministrem sportu, posłanką.

FOT. STEFAN MASZEVSKI/REPORTER

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Ostrożnie: pestycydy!

Warzywa i owoce to fundament zdrowej diety. To wiemy. Co jednak nasz organizm otrzymuje w pakiecie z marchewką, tego już nie. Pestycydy. Ale ile? Czy są warzywa i owoce wolne od tego świństwa albo takie, w których jest go mniej? Pewność można mieć tylko wtedy, kiedy coś wyhodujemy we własnym ogródku. Produkty oznaczone jako „bio" również nie powinny budzić niepokoju. A co z resztą?

Dziennik „Le Figaro" publikuje raport francuskiej organizacji Przyszłe Pokolenia badający obecność środków ochrony roślin w owocach i warzywach. Ich obecność stwierdzono w 72,6 proc. owoców i 41,1 proc. warzyw. Dlaczego owoce są bardziej szkodliwe niż warzywa? Dlaczego w jednych jest mniej zanieczyszczeń niż w innych? W których chemii jest mniej? Odpowiadają François Veillerette, dyrektor Przyszłych Pokoleń, i Catherine Levesque, autorka książki „Le grand livre antitoxique" („Wielka księga antytoksyczna").

Zależy to od położenia geograficznego, stopnia uprzemysłowienia, od rodzaju drzewa, na którym owoc rośnie, od jego skórki. Wśród najmniej zanieczyszczonych owoców na pierwszym miejscu jest awokado – 23,1 proc. „Ma twardą skórkę, która chroni owoc i ogranicza dostęp owadów – odpowiada Veillerette. Wymaga zatem mniej sztucznych środków". Na drugim miejscu jest kiwi – niski poziom pestycydów – 27,1 proc. zawdzięcza włochatej, dość grubej skórce. Śliwki i mirabelki – 34,8 proc. – pozostają stosunkowo czyste, gdyż rosną dziko na terenach wiejskich. Dodatkowo przed zanieczyszczeniami chroni je wysoki pień. Najwięcej pestycydów zawierają winogrona, mandarynki, czereśnie, grejpfruty, truskawki, brzoskwinie i pomarańcze – stwierdza francuski raport. Na czereśnie i truskawki polskiego pochodzenia wzięłabym poprawkę – przypuszczam, że nasze uprawy są mniej przesycone chemią. U nas truskawki są owocami sezonowymi – kupujemy je prawie prosto z pola, nie transportuje się ich samolotami, tak jak hiszpańskich, które kupujemy od marca…

FOT. ADOBE STOCK

Jeśli chodzi o warzywa, to chroni je ziemia i dzięki niej są mniej wystawione na choroby. Znaczenie ma też wygląd: karczoch i bakłażan mają skórkę o wiele grubszą niż czereśnia, truskawka czy winogrona, i przez to wymagają mniejszej ochrony chemicznej. Według francuskiego raportu najmniej zanieczyszczonymi warzywami są kukurydza, szparagi, buraki i kalafiory – wszystkie mają mniej niż 7 proc. Natomiast ostrożnie z sałatą, selerem naciowym i papryką. ©℗

eprasa.pl 3ed46125cf

NOWY ZNAK UŁATWI ŻYCIE KIEROWCOM

Ministerstwo Infrastruktury pokazało dwa nowe znaki informujące o odcinkowym pomiarze prędkości. Znaki będą ustawiane na początku i końcu kontrolowanego odcinka drogi. Co ważne, na znaku pojawi się wreszcie informacja przypominająca kierowcom, jaka jest dopuszczalna prędkość jazdy. Takie rozwiązanie ma zapobiec nadmiernemu zwalnianiu i niepotrzebnemu spowalnianiu ruchu. Jeśli auto pokona dany odcinek zgodnie z przepisami, to zdjęcia zostaną automatycznie skasowane z bazy danych. Jeżeli zaś kierowca nie zdejmie nogi z gazu i przekroczy średnią prędkość, to otrzyma mandat.

LIMITOWANA WERSJA SPORTOWEGO BMW

Tylko 400 egzemplarzy serii BMW M850i xDrive Coupe First Edition planuje wypuścić na rynek koncern z Bawarii. Specjalnie dla ekskluzywnej First Edition stworzono nowy lakier. Auto odróżniają także czarne końcówki układu wydechowego oraz lakierowane na wysoki połysk 20-calowe obręcze kół ze stopów lekkich.

Ulepszenia topowej edycji obejmują także zmiany w wykończeniu kabiny. Szczęśliwi posiadacze tego cudeńka otrzymają skórzaną kierownicę M-Sport, skórzaną tapicerkę, podsufitkę z alcantary w kolorze nawiązującym do lakieru karoserii oraz system stereo firmy Bowers and Wilkins. Każdy egzemplarz będzie też specjalnie oznaczony fabrycznym numerem, który podkreśli jego elitarność. Opcjonalnie można zażyczyć sobie np. dach z włókna węglowego czy karbonowe zderzaki. Wszystkie samochody z limitowanej edycji mają pod maską 4,4-litrowy silnik twin-turbo V8 o mocy 523 KM i momencie obrotowym wynoszącym aż 750 Nm. Moc przenoszona jest na obie osie, a za błyskawiczne przełączanie biegów odpowiedzialna jest przekładnia Steptronic. Od zera do pierwszej setki auto przyspiesza w zaledwie 3,7 s. Prędkość maksymalna została zaś elektronicznie ograniczona do 250 km/godz. Pierwsze egzemplarze trafią do klientów wiosną tego roku. Cena nie została jeszcze oficjalnie ogłoszona, ale poniżej miliona złotych raczej nie spadnie.

BUGATTI DO ODBIORU

Niecały rok od debiutu na targach motoryzacyjnych w Genewie pierwszy egzemplarz Bugatti Chiron Sport trafił do bogatego klienta. Pod maską sportowego wozu z tytanowym układem wydechowym zamontowany jest silnik o pojemność 8 l, o mocy 1500 KM i o momencie obrotowym wynoszącym 1600 Nm. Auto od zera do pierwszej setki rozpędza się w zaledwie 2,5 s, do drugiej setki – w 6,5 s, a do 400 km/godz. – w 32,6 s. Cena nowego egzemplarza: co najmniej 20 mln zł.

NOWY POMYSŁ INFINITI

QX Inspiration, muskularny samochód osadzony na 22-calowych kołach, to zapowiedź nowego SUV-a średniej wielkości japońskiej marki premium. Całkowita długość auta koncepcyjnego wynosi 4650 mm. Wnętrze auta, które zadebiutowało na targach w Detroit, jest równie futurystyczne co karoseria. Kabina jest wykończona luksusowo, choć minimalistycznie.

„ZIELONE" ODCINKI AUTOSTRADY

Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad ogłosiła przetarg na pilotażowy odcinek „zielonej drogi", na którym mają znajdować się punkty ładowania samochodów elektrycznych. Przetarg obejmuje dwa odcinki dróg łączące duże aglomeracje miejskie: Wrocław z Katowicami (A4) oraz Łodzią (S8). Pilotażowy projekt dotyczy m.in. dzierżawy miejsc pod budowę punktów ładowania pojazdów elektrycznych na 13 miejscach obsługi podróżnych (MOP--ach). Na każdym z nich mają stanąć po dwie ładowarki. Cena jednej szacowana jest na ok. 270 tys. zł. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 3ed46125cf

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY

TYGODNIK „DO RZECZY"

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

+

W PREZENCIE **BIOGRAFIA** ZBIGNIEWA HERBERTA

AUTORSTWA JOANNY SIEDLECKIEJ „PAN OD POEZJI"

~~357 ZŁ~~ > **140,00 ZŁ** < OSZCZĘDNOŚĆ 217 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 3ed46125cf

EWA POLAK-PAŁKIEWICZ

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Straszny dwór

Kiedy go wystawiono po raz pierwszy, w Warszawie, 28 września 1865 r., był rzeczywiście straszny – dla Rosjan. Polska widownia przyjęła operę Moniuszki owacją na stojąco. Cenzura zdjęła z afisza spektakl już po dwóch przedstawieniach. Jedna z najpiękniejszych oper powstałych w XIX w., której dziś, po przypomnieniu przez Operę Królewską, towarzyszą zachwyt, wzruszenie i komplementy całego świata muzycznego, została przez okupantów przekreślona. Czego się przestraszyli Moskale? Czy chodziło o coś, co kryje się pod staroświeckim słowem „honor"? Tak nie do strawienia dla naszych sąsiadów zza jednej i drugiej granicy, wywołującego bolesny skurcz na twarzach dzisiejszych komisarzy Unii Europejskiej.

Moniuszko i Chęciński dobrze wiedzieli, po co opowiadają Polakom po klęsce powstania styczniowego historię dwóch romantycznie zakochanych rycerzy na tle XVII-wiecznego pejzażu szlacheckiego i tego wszystkiego, czemu dwór polski musiał służyć: ocaleniu ojczyzny od nawałnic, które się przetaczały przez kraj. Przez cały ten wiek Rzeczpospolita przypominała jeden obóz wojenny. A jednak przepędzaliśmy intruzów.

„Niebezpieczeństwo leży nie w sile naszego przeciwnika, ale w nas samych. W naszym egoizmie, w naszej inercji, w naszym zakłamaniu, a wreszcie w braku poczucia obowiązku... W tej wygodzie zbyt łatwo dopuszczamy do naszej klasy wzbogaconych nuworyszów, a ci – przyjmują tylko zewnętrzne cechy naszej klasy, wewnątrz pozostając nieestetycznymi chamami, którzy myślą, że pieniądze są równoznaczne z nobilitacją… – autor trylogii o odchodzącym w przeszłość świecie ziemiańskim, Mieczysław Jałowiecki, cytuje rozmowę z niemieckim arystokratą tuż przed I wojną światową. „Czy pan kiedykolwiek przemyślał, co to jest »arystokratyzm obowiązku«?... Każdy z nas, którego los obdarzył posiadaniem, nazwiskiem, przywilejami, nie powinien zapominać, że ciąży na nim poważny dług względem otoczenia… Niezapłacony dług wzrasta z roku na rok, stacza się jak kula śnieżna, przeistaczając się w lawinę… Socjalizm pochłonie przede wszystkim nas, ale, co gorsze, pochłonie cały świat, zniszczy odwieczną kulturę. A co w zamian da światu? Przypuszczam, że gorszą niewolę…".

Szlachta Europy w XVII i XVIII w. była najliczniej reprezentowana właśnie w Polsce. Byliśmy twardym orzechem do zgryzienia dla naszych wrogów, dokąd ten „naród polityczny" Rzeczypospolitej był nieprzekupny, twardy, bitny. Nie uciekał od „spłacania długu". Czy kimś na kształt nowej szlachty nie są dziś ci Polacy, którzy od lat stanowią owe stałe 30 proc. popierające w wolnych wyborach polityków zdolnych do rządzenia krajem po męsku i odpowiedzialnie, co w realiach dzisiejszego świata przypomina taniec na linie nad przepaścią? 30 proc. – dużo to czy mało? Na pewno o wiele za dużo dla Rosjan i Niemców.

Polacy epoki szlacheckiej czynili dobry użytek ze swojego rozumu, wiary, talentów gospodarczych i męstwa, brzydząc się wszelką formą niewoli (co nie znaczy, że rodaków niższego stanu potrafili przed nią obronić). Dodając do tego fantazję i dowcip, czyli poczucie dystansu, wyrośliśmy w cywilizacyjną potęgę. Dzisiaj różni postmarksistowscy mędrkowie jeszcze potrafią pokrzykiwać, że „szlachta zgubiła Polskę". A kto miał „gubić"? Chłopi? Mieszczanie?

Prawdziwy arystokratyzm to zawsze pełnienie obowiązków wobec innych. Niepogardzanie nikim, nieangażowanie się w roszczenia i pretensje. Czy te 30 proc., zdolne do zrozumienia, jaka jest faktyczna sytuacja naszego państwa, zostanie – w obliczu działań zazdrośników i podstępu, który jest zawsze tą najbardziej nowoczesną bronią – nową polską szlachtą i wypełni powierzoną jej przez Opatrzność misję? Czy będzie prawdziwymi „arystokratami obowiązku"? Czy pozostaniemy strasznym – dla nieprzyjaciół – dworem? ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 3ed46125cf

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Monetyzowanie Stefana

Przyznam, że to jest prawdziwa afera, bo łatwo ją zrozumieć i można ją streścić w jednym zdaniu. Jak afery nie można streścić w zdaniu, to nie jest afera, to znaczy może i jest, ale nie będzie nośna, nie będzie się o niej szeroko rozmawiać i dyskutować. A w tej sprawie jest polityk, jest seks i jest korupcja. To jest coś! Wygląda to naprawdę odstręczająco, czyli – z punktu widzenia medialności tematu – bardzo interesująco.

Chociaż tego pana Stefana to jest mi trochę żal. Bo to już jest przesada, no naprawdę. No po co o tej fasolce po bretońsku informować (chociaż to ciekawe i pobudza wyobraźnię, takie smaczki. Może niewłaściwe jest tu słowo „smaczki"? To oczywiście mało romantyczne połączenie, bo do uścisków i pieszczot pasują truskawki i szampan, a fasolka po bretońsku to się inaczej kojarzy, zostawmy tę dygresję, bo się robi niesmacznie) i o tym zarwanym przez jego figle łóżku po co informować? Tylko się ludzie denerwują. Przecież tu chodzi o wątek biznesowy i korupcyjny, a nie że 29 razy z tymi dziewczynami, chociaż ma lat ponad 70.

Ci ludzie, tacy nieszczerzy. Bo z jednej strony potępienie, że takim harcownikiem seksualnym się okazał, a przecież uchodził za statecznego polityka, i to konserwatywnego, więc nie wypada, a z drugiej strony, to sam się łapię na tym, że (ale się nie przyznam, żeby była jasność, w razie czego się zwyczajnie wyprę) przecież niezły samiec z rozbuchaną potrzebą silną i mocą w lędźwiach niezaprzeczalną, że tyle razy z tymi dziewczynami. Więc może w człowieku kiełkować na poziomie podświadomości rodzaj jakby zazdrości u starszych mężczyzn albo u zapracowanych?

Zresztą pan Stefan nie wysłał jasnego sygnału, że on z tymi dziewczynami nic w ogóle nic, tylko powiedział, że prokuratura teraz się tym zajmuje, żeby przykryć sprawę tzw. taśm Kaczyńskiego (piszę „tak zwanych", bo na niektórych tych taśmach Kaczyńskiego nie ma w ogóle Kaczyńskiego, co jest w pewien sposób nowatorskie).

Wracając jednak do wątku pana Stefana – mimo dużego zawirowania w jego życiu i prawdopodobnie zakończenia kariery politycznej trzeba przecież patrzeć optymistycznie w przyszłość i zastanowić się (jak to mówią menedżerowie) nad monetyzowaniem tematu, czyli czerpaniem korzyści finansowych z głośnego wydarzenia medialnego. Ja tu nie będę podpowiadał, ale zaznaczę tylko, że tu jest olbrzymi potencjał i na rynku gadżetów (Jurny Stefan – ja bym to natychmiast zastrzegł jako znak towarowy), i na rynku różnych takich medykamentów.

Po pewnej pracy i metamorfozie, którą pan Stefan musi przejść, może się stać symbolem siły, witalności i męskości w dojrzałym okresie życia. Czego z serca życzę wierny maksymie „Zawsze patrz na jaśniejszą stronę współżycia". ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Tęczowa historia

Finał amerykańskich rozgrywek Super Bowl za nami. Chociaż na boisku niespodzianek nie było i po raz szósty – zapisując się w annałach futbolu amerykańskiego – wygrał zespół New England Patriots, prawdziwa historia pisała się gdzie indziej. Jak doniosła NBC News, oponenci Patriotów, Los Angeles Rams, „stworzyli w ten weekend historię, wystawiając w trakcie meczu dwóch męskich cheerleaderów". I teraz zwykła neutralna uwaga, o której jednak w mediach zachodnich nikt nie wspomniał: czarnoskórych homoseksualistów, z których jeden występował w delikatnym makijażu. BBC dodało, że „jest rok 2019", więc „to się po prostu musiało wydarzyć".

Kiedyś wydawało mi się, że pisanie historii to była szarża kawalerii Aleksandra Macedońskiego pod Issos, ale – jak widać – sporo się od tego czasu w humanistyce zmieniło. I to zmieniło w sensie dosłownym, ponieważ od 1 lutego New Jersey zostało drugim amerykańskim stanem, w którym prawo nakłada obowiązek nauczania „historii ruchów LGBTQ" w szkołach publicznych. Napoleon Jinnies i Quinton – bo tak nazywają się cheerleaderzy – będą być może za jakiś czas jako bohaterowie podręczników promować „inkluzywny i otwarty model kulturowy". Przynajmniej tak uważa demokratyczny gubernator Phil Murphy, który podpisywał dokument. Według nowego prawa od roku szkolnego 2020/2021 w planie lekcyjnym pojawią się dodatkowe zajęcia na temat „politycznego, ekonomicznego oraz społecznego wkładu osób homoseksualnych albo transgender w dzieje świata" – czytamy w „USA Today", które dodaje, że liderzy ruchów obywatelskich „wyrażają zadowolenie z takiego stanu rzeczy, umożliwiającego uczniom równocześnie pełniejsze zapoznanie się z historią Stanów Zjednoczonych, której mogą być częścią".

Jak w kontekście wspomnianego już Aleksandra wyglądałaby taka lekcja historii? Czy uczeń Arystotelesa pokonał Dariusza III dlatego, że był biseksualny? W jaki sposób jego preferencje wpłynęły na bieg dziejów? Czy to znaczy, że każdy, bez względu na to, kim jest, może osiągnąć wielkość?

Na pierwsze pytanie historia wojskowości odpowiada w sposób następujący: nie, pokonał Dariusza, ponieważ zastosował śmiały manewr taktyczny z użyciem ciężkiej jazdy. Odpowiedź numer dwa: tak, miała wpływ, choćby w kontekście zażyłości z kochankiem Hefajstionem i decyzji o wielożeństwie oraz wiązaniu swoich dowódców (często wbrew ich woli) z perskimi arystokratkami. Aby odpowiedzieć na pytanie trzecie, nie trzeba być historykiem. To, kogo kochamy, nie stoi na przeszkodzie w czynieniu rzeczy wielkich. I stać nie powinno. Tylko po co dodatkowe lekcje, skoro uczniowie o większości z tych kwestii mogą się dowiedzieć z programu już istniejących przedmiotów? To jest dopiero ciekawe pytanie. ©℗

eprasa.pl 3ed46125cf

OKIEM BLOGERKI

Biedroń wyprostuje sumienia

KATARYNA

ROBERT BIEDROŃ: ***Naszą najważniejszą wartością jest wspólnota, nie chcemy już więcej wojny polsko-polskiej, chcemy wzajemnego szacunku, chcemy dialogu.***

Jak na kogoś, kto w każdym wywiadzie podkreśla chęć zakończenia wojny polsko-polskiej, Robert Biedroń wybrał oryginalną strategię. Rozpętanie wojny światopoglądowej i – nie bójmy się tego słowa – walka już nie tylko z Kościołem instytucjonalnym, lecz także bezpośrednio z katolikami to nie jest dobry pomysł na budowanie czegokolwiek poza własną pozycją na skrajnej lewicy. Wśród postulatów, o których można i trzeba rozmawiać, takich jak likwidacja Funduszu Kościelnego czy finansowania religii z budżetu, w programie Wiosny, znalazły się takie, które wyglądają na prowokację, zwłaszcza że po drodze trzeba by było także złamać w kilku miejscach konstytucję. Może jednak konstytucja łamana w służbie postępu tak nie boli.

Gdyby Biedroniowi udało się zostać premierem, poprowadziłby nas na ideologiczną wojnę, jakiej jeszcze nie widzieliśmy i której nie dałoby się wytłumaczyć względami innymi niż walka z samą religią poprzez systemową dyskryminację wierzących. Jedną z obietnic Biedronia jest wprowadzenie aborcji na życzenie przy jednoczesnej likwidacji klauzuli sumienia, nie tylko więc każda kobieta będzie mogła na życzenie – a zapewne także za darmo, z pieniędzy których NFZ wiecznie brakuje na ratowanie życia – poddać się aborcji, ale państwo Biedronia zmusiłoby każdego lekarza pod groźbą zwolnienia z pracy do jej przeprowadzenia, nie pozwalając lekarzowi odmówić własnoręcznego zabicia nienarodzonego dziecka. Kwestię dostępności usług medycznych trzeba uporządkować, ale trzeba (i naprawdę można) to zrobić bez gwałcenia sumień setek lekarzy, którzy szli na medycynę, żeby życie ratować, a nie je odbierać. Skutkiem ubocznym masowego łamania sumień byłaby zapewne ucieczka kolejnych ginekologów do prywatnych gabinetów, dzięki czemu kobiety dostałyby prawo do aborcji, ale kosztem jeszcze dłuższych kolejek do ginekologa. A wszystko tylko po to, żeby połamać kilka sumień w imię ideologicznej wojny z Kościołem.

W 2015 r. Trybunał Konstytucyjny, jeszcze w „słusznym" składzie, oceniał konstytucyjność klauzuli sumienia i orzekł, że „prawo do sprzeciwu sumienia powinno być uznane za prawo pierwotne względem jego ograniczeń. Wolność sumienia każdego człowieka jest kategorią pierwotną, którą prawo konstytucyjne oraz regulacje międzynarodowe jedynie poręczają. Wolność sumienia – w tym ten jej element, którym jest sprzeciw sumienia – musi być respektowana niezależnie od tego, czy istnieją przepisy ustawowe ją potwierdzające. Ustawodawca nie może więc dowolnie kształtować albo znosić tego »przywileju«, lecz musi respektować konstytucyjne warunki ustanawiania ograniczeń wolności i praw człowieka i obywatela".

Ciekawe, czy Biedroń zna ten wyrok, a jeśli tak, to czym uzasadni swój postulat pozbawienia tysięcy lekarzy ich pierwotnego prawa. Bo ja innego uzasadnienia niż ideologiczna wojna z cudzymi sumieniami nie znajduję, nie znalazł go też Trybunał Konstytucyjny. Biedroń powinien się na coś zdecydować, nie da się budować wspólnoty, obiecując wojnę totalną. Niestety, na razie szczerze brzmią tylko okrzyki bojowe, przestrzeni na wspólnotę nie znajduję. ©℗

PODSŁUCHANE

Fasolkę polecam

Stefan, musimy coś z tym zrobić.
Ale z czym, Michał? Nie zawracaj mi głowy, ja mam teraz inne problemy.
Właśnie! Ludzie już nawet piszą na mój mejl i proszą, żebym ci przekazał. Ba, ludzie – kobiety! Stary, ja takiego powodzenia nie miałem nawet, jak byłem w ZChN-ie!
Co piszą?
No popatrz, tu na przykład pani Alina z Grudziądza, pięćdziesiąt cztery lata: „Rozpala mnie myśl o panie Stefanie.
Proszę mu przekazać, żeby zadzwonił, jak będzie w Grudziądzu..." i tu numer.
I takich mejli codziennie jest ze dwieście.
No, ale co ja mam zrobić?
Załóż konto na Instagramie, na Twitterze – żeby wielbicielki mogły do ciebie pisać bezpośrednio. Przecież ja nie mogę robić za twoją sekretarkę, muszę mieć czas na chodzenie do TVN.
A zdjęcia jakieś przysyłają?
A bo to jedno? Od groma zdjęć. Tylko pewnie większość ściągnięta z sieci.
Dobra, pomyślę.
Ale słuchaj – bo mnie to dręczy od początku: co ty właściwie robiłeś z tą fasolką? Tylko jadłeś czy coś tam jeszcze...
Kazałem sobie kiedyś nalać pełną wannę fasolki i my do tej wanny – hop!... No wiesz. Bardzo ekscytujące, polecam. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Ja zostanę szefem rządu, a Schetyna wicepremierem i szefem MSWiA".

ROBERT BIEDROŃ, *lider partii Wiosna, kreśli swoje plany polityczne na ten rok*

eprasa.pl 3ed46125cf

fot. Jerzy Gumowski

Hebraizmy

Najpierw dwie refleksje ogólne. Przeszłość bywa równie nieprzewidywalna jak przyszłość. Co tyczy państw lub narodów (gdy niespodziewanie dla nich przywołane zostają ich dawne zbrodnie, prawdziwe lub wyimaginowane), ale też pojedynczych osobników (kiedy wywleczone zostają ich stare grzechy, prawdziwe lub zmyślone). I druga konstatacja: pod pewnymi względami nic się od czasów Jaskini (czyli od pra–prawieków) nie zmienia — *„big fucks small”* (duży gnębi małego). Teraz już mogę przejść *„ad rem”*, do tematu znęcania się Żydów nad Polską (dzisiejszą i dawną), polskością i Polakami. Głównymi sprawcami Holocaustu, która to egzegeza jest dla żydowskich polonofobów (miliony!) *„oczywistą oczywistością”*, bo udowodnił ją *„naukowo”* tak wielki uczony jak Herr Gross, pisząc demaskatorskie książki i mówiąc całemu światu (wywiad dla **„Die Welt”**), że Polacy mają *„ohydne oblicze”*, gdyż *„faktycznie podczas wojny zabili więcej Żydów niż Niemców”*. A basowały mu autorytety tubylcze (akademicy Grabowski Jan i Engelking Barbara, pisarka Tokarczuk Olga, tudzież podobni z kręgów Platformy i *„michnikowszczyzny”*). Padają w tych kręgach kuriozalne sformułowania (np. że podczas Holocaustu Żyd był bezpieczniejszy za drutami *„nazistowskiego obozu koncentracyjnego”* niźli gdzie indziej wśród Polaków), a lekceważone są świadectwa przeciwne, jak choćby wielkiego pianisty, Władysława Szpilmana (*„Mnie ratowało, z narażeniem życia, co najmniej trzydziestu Polaków. Najniebezpieczniejszy dla Żyda był inny Żyd. Policja żydowska była najokrutniejsza”*) czy sekretarza generalnego Sekcji Żydowskiej CKZZ, Szmula Zygielbojma (*„Polska ludność współczuła Żydom i udzielała im wszelkiej możliwej pomocy”*). Prof. Bolesław Orłowski: *„Żydzi winni są nam wdzięczność bardziej niż jakiemukolwiek innemu narodowi. Czemu więc przypisać, że mają do nas większe pretensje niż do tych, którzy ich prześladowali i krzywdzili? Czy tylko dlatego, że jesteśmy łatwiejszymi «chłopcami do bicia»?...”* (2014). Tak — to może nie sprawczy, ale wykonawczy powód. *„Big fucks small when it's possible”*.

Ten gojożerczy antypolonizm zaczął się równo sto lat temu. Żydzi ówcześni zdążyli już zapomnieć kto ich opiekuńczo przygarnął przed wiekami (kiedy byli z całej Europy wypędzani ogniem i mieczem), Polskę traktowali jako raj na Ziemi (zwąc ją właśnie *„Rajem Żydowskim”* — *„Paradisus Iudaeorum”*), zapragnęli więc sformalizować stan posiadania 3 milionów priwiślińskich starozakonnych. A. D. 1919 poseł Sejmu Ustawodawczego Izaak Grünbaum zgłosił w imieniu Koła Mniejszości Narodowych wniosek, by odradzająca się Polska została mianowana *„państwem polsko–żydowskim”*, czyli Judeopolonią, lecz socjalistyczny poseł Mieczysław Niedziałkowski ripostował z trybuny: *„ — Mowy nie ma, panie Grünbaum, Polska będzie polskim państwem!”*, i Sejm przychylił się ku temu zdaniu. Co Żydów rozwścieczyło, zaś głupie antysemickie wybryki endeckie *„międzywojnia”* też zrobiły swoje. Jednak dopiero *„Shoah”* (Zagłada) wywołała (i to dopiero pół wieku po niej!) furiacką nienawiść fałszywie kierowaną, bo wobec Polaków zamiast wobec germańskich sprawców. Gdy tylko ta nienawiść eksplodowała, ostro ją skarcił światowej sławy żydowski wirtuoz skrzypiec, sir Yehudi Menuhin (wywiad dla **„La Stampy”**): *„ — Okazuje się, że prócz żydowskiej monokultury umysłowej, w której główną wartością jest pieniądz, mamy też monokulturę mściwej nienawiści, będącej chorobą umysłową frustratów”* (1996).

∞

„hebraizm” *(słownikowo: „Zwrot żydowski przeniesiony do innego języka”)*

∞

Owa nienawiść stała się pepinierą/wylęgarnią kontrpolskich łgarstw. Czasami piramidalnych wprost. Światowe żydowskie media regularnie ilustrują materiały o *„polskim antysemityzmie”* zdjęciami sprofanowanych nagrobków z cmentarzy żydowskich we... Francji. Żyd Steven Fulop, burmistrz Jersey City, chcąc wywalić tamtejszy katyński monument przezywa marszałka polskiego Senatu, Stanisława Karczewskiego, *„antysemitą”* i *„białym nazistą”*, dodając, że Karczewski *„neguje Holocaust”* (mógł jeszcze dołożyć kanibalizm, satanizm i zoofilię, byłyby równie adekwatne, lecz się powstrzymał). Znana publicystka, jankeska Żydówka Applebaum, głosi tam, że pisowskie władze lansują *„kupuj polskie!”* w ramach kampanii antysemityzmu. Od lat młodym Izraelczykom przyjeżdżającym do Polski dla zobaczenia niemieckiej fabryki śmierci Auschwitz–Birkenau (*„Marsz żywych”*) antypolskie organizacje żydowskie finansowane przez władze Izraela wręczają broszurkę z klarowną instrukcją nienawidzenia gospodarzy (*„Wszędzie tam będą was otaczać Polacy. Będziemy ich nienawidzić za ich udział w tych zbrodniach...”*, itd.), a gdy telawiwska ambasada RP wydaje broszurę odpierającą ów stek kłamstw, Tel Awiw zabrania ją rozpowszechniać, pod pretekstem, że autorzy użyli słowa *„Niemcy”* miast właściwego: *„naziści”*. Mógłbym ciągnąć tę listę kontrpolskich kalumni długo, lecz nie zezwala felietonowa szczupłość miejsca. Graf Aleksander Pruszyński poinformował mnie o kapitalnym sformułowaniu prof. Mirosława Dakowskiego skierowanym do szkalujących Polskę Żydów: *„Jak wy przestaniecie o nas kłamać, to my przestaniemy mówić o was prawdę”*.

Mówienie tej prawdy bywa bolesne dla wojujących Żydów. Choćby fakt, że jak się okazało: prawie 100% antysemickich przejawów wandalizmu (mazanie gdzie się da żydożerczych haseł i symboli) to robota żydowskich prowokatorów, tak na Zachodzie, jak i na Wschodzie. Wschodnie udokumentowane sięgają r. 1967, kiedy w sowieckiej Estonii zbeszczeszczono żydowski cmentarz, a sprawcą okazał się człowiek żydowskiej ambasady, *„weteran syjonizmu”* Salomon Dolniak. Zachodnie tyż są pikne. Żydowska studentka z George Washington University, przyłapana nocą podczas malowania swastyk na drzwiach komnat akademika (2007), tłumaczyła się (tak jak Dolniak), że chciała tylko *„pokazać czego dopuszczają się antysemici”*. Identyczne powody wyłuszczali wszyscy inni capnięci: trzej Żydzi z synagogi smarujący kontrżydowskie hasła na żydowskich gmachach w marylandzkim Pikesville (2008), agent Mosadu Ivaylo Ivanow rysujący swastyki oraz wiszące Gwiazdy Dawida na synagogach Nowego Jorku (2009), żydowskie małżeństwo graffitujące swastykami i antysemickimi obrzydliwościami (*„Brudny Żyd”*, itp.) drzwi paryskich domów (2015), Żyd paskudzący tym samym marsylskie samochody (2018), etc. Wszystkim uszło to bezkarnie, bo *„żydowska tożsamość zapewnia nietykalność”* (2018; diagnoza niemieckich dziennikarzy Martina Doerry'ego i Moritza Gerlacha).

Motywacją do pisania niniejszego felietonu stała się dla mnie aktualna heca warszawska. Ledwo wycierpieliśmy upokorzenia po przeczołganiu nas *„nowelizacją ustawy o IPN”* (a i tak Jack Rosen, szef American Jewish Congress, uznał polsko–izraelski kompromis za *„sprzeczny z ustaleniami historyków”*, bo nie akcentujący pierwszorzędnej holocaustowej winy Polaków) — Żydzi znaleźli nowy kontrpolski pejcz. Co jest rezultatem wcześniejszych naszych wazeliniarstw wobec nich — każde kolejne łaszenie się polskich władz bardziej uskrzydla ich butę. Świeżym pretekstem stała się inicjatywa (Ministerstwo Kultury) budowy Muzeum Getta. Nowogrodzka sądziła, że Żydzi, widząc to kolejne *„wchodzenie im w tyłek”*, okażą wdzięczność, tymczasem żydowskie środowiska akademickie (tak izraelskie, jak i polskie) z dziką furią opluły pomysł, przeklinając *„polskie autorytarne władze”*, które *„fałszują historię, i dalej chcą ją fałszować dla wybielania Polaków, czemu nowe muzeum bez wątpienia będzie służyć”*.

Wielce szanowni panowie ministrowie: może już dosyć tych wazeliniarskich judaizmów–idiotyzmów? ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 3ed46125cf

Graj, gdzie chcesz i kiedy chcesz
LOTTO JEST WSZĘDZIE

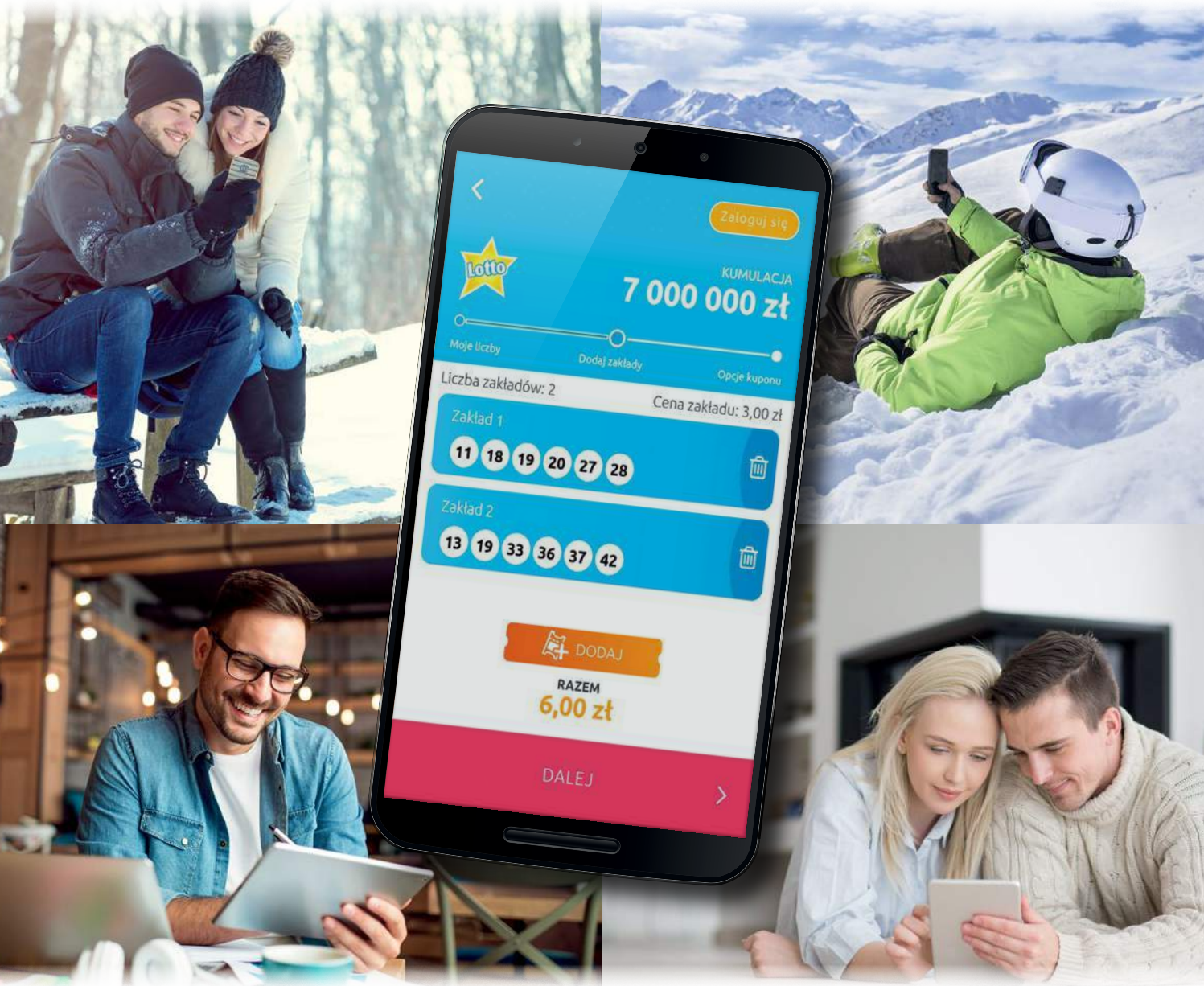

Gdy wygrasz, damy Ci znać

Graj w punktach LOTTO i na

lotto.pl

eprasa.pl 3ed46125cf